

Anna Klara Majewska

# ROK NA MAJORCE

 WIELKA LITERA

**Anna Klara Majewska**

# **Rok na Majorce**



## INKARNACJA

Spadam stąd!

Pudła, paki, kartony. W przejściu, na podłodze, wszędzie. Po sufit. Szare i pękate podpierają ściany jak zawstydzone grubasy na dyskotece. Meble w bąbelkowej folii, pościel w plastikowych torbach, rysunki w tubach i pamiątki w rozsypce. Te spakować najtrudniej.

*Time to say goodbye* – zawył Andrea Bocelli ze starego, kuchennego radia. Stosownie do okoliczności. DJ stacji Antenne Wien chyba czytał w moich myślach. – *Con te partiro!* – zapiszczałam najczystszy fałszem i zaraz zamknęłam wychodzące na dom Beethovena okna. W lecie często kręcili się tu japońscy melomani.

Kilka hitów Minionego Tysiąclecia później zakleiałam ostatni karton. Ten z pamiątkami.

Prościej byłoby to wszystko wyrzucić. Brzydki serwis obiadowy ze złotym szlaczkiem, zdobycz ostatnich lat PRL-u. I posrebrzane sztuce spod lady, wzór Księstwo Warszawskie. Haftowane cepeliowskie obrusy, serwetki, bieżniki. Szklane wazony, opalizujące kieliszki. Nigdy nieużywane i paskudne. Nikomu niepotrzebne. A jednak wciąż nie miałam serca pozbyć się posagu, nawet teraz, gdy moje małżeństwo z Robertem Blumem, lat trzydzieści dziewięć obecnie i dwadzieścia osiem w dniu ślubu, było już tylko wspomnieniem.

Pudło ze zdjęciami z koślawym napisem nabazgranym czerwonym flamastrem: „Magda – wiek XX” też tu zostanie. Czarno-białe fotografie z matury A.D. 1985, dziewczyny w plisowanych spódnicach, torebki ze świńskiej skóry i spalone trwałą włosy. I wyświechtany indeks, Wydział Architektury Wnętrz. Ma już chyba sto lat, a dokładnie szesnaście. Pierwsze projekty wiedeńskich mieszkań i szkice dla naszej spółki Hermad Interiors, Herbert Hoelzl i

Magdalena Blum. Niemowlęce ubranka Michasia, jego rysunki. Wczesne abstrakcje, przedszkolne początki malarstwa figuratywnego, faza batalistyczna... Serca „dla Maam od Mihac”, i potem kilka dla „Mutti”. Wyblakłe zdjęcia z dawnych podróży, z jugosłowiańskiej plaży i greckiego kempingu, i te wciąż mocno kolorowe z podróży poślubnej, z egzotycznych wysp, z luksusowych hoteli. Stare listy, jakieś kartki pocztowe, bilety, foldery. Makulatura.

Nie wyrzucę. Nie rozstanę się tak ostatecznie i nieodwołalnie ze swoją przeszłością. Przeprowadzałam się z nią do kolejnych mieszkań, upychałam w nowych szafach, zapełniałam piwnice. Teraz, ograniczona do Rzeczy Najważniejszych, zmieściła się w kilkunastu kartonach.

Moje buty. Moje skarby. Najdroższe. Najcenniejsze. Zbierane, kolekcjonowane, wypastowane, na cedrowych prawidłach, we flanelowych woreczkach i oryginalnych pudełkach. Na każdym polaroid z zawartością, opis i rocznik. Jak najlepsze wina. Ale zabiorę tylko trzy ostatnie sezony i oczywiście najnowsze, wiosna–lato 2001. Nie mówiąc już o botkach Jimmy’ego Choo, które w sklepach będą dopiero jesienią, a które zawdzięczam romansowi mojego sąsiada z jakimś włoskim stylistą. Chyba buchnął je z pokazu. Wiosną, gdy wyprowadziłam je na spacer po Grabenie, Caro umierała z zazdrości. Roczники 1990–1998 zostają. Choć to tylko dwa kartony, po ostrej selekcji. Ale nie wyrzucę, są prawie nowe, w końcu mam tylko dwie nogi, kiedy miałam nosić?

Przechowam u Maksa w piwnicy.

– Dwanaście metrów, sucha, przewiewna komórka. – To wszystko, co miał mi do zaoferowania po naszych trzech wspólnych latach.

Kutas!

Obiecał, że jeszcze dziś się tym zajmie.

– Ale dopiero wieczorem, Megi. Spedycja i tak nie zabierze wszystkich twoich butów! – szydził Maximilian hrabia von und zu T., z krwią błękitną jak woda w basenie i sercem oddanym cesarsko-królewskiej tradycji, bo już chyba nie mnie.

Z precyzją i zawziętością zaklejał wczoraj paczki, jakby chciał mieć pewność, że wszystko zostanie spakowane, zawinięte, zaklajstrowane na sicher, na zawsze. Najchętniej ja też.

Tragarze przyjechali wczesnym popołudniem.

– Verdammte Scheisse, pudła za ciężkie! – przeklinali. Żadne nie powinno ważyć więcej niż dwadzieścia kilogramów, przecież przysłaliśmy instrukcję.

– Co tam pani napakowała? Książki chyba? No i na co to? – Spocony blondyn otarł czoło, trochę zbyt demonstracyjnie jak na mój gust.

– To buty. Chyba kolekcja Kéliana, niektóre są z metalowymi okuciami, faktycznie mogą trochę ważyć...

Spojrzał na mnie, jakby nie rozumiał. A Stephane Kélian to przecież artysta, mistrz formy, rzeźbiarz butów. Przy nim nawet Blahnik jest zwykłym rzemieślnikiem!

– Już wszystko? Dostanę jakieś pokwitowanie? Liczyliście kartony?

Nie, pokwitowania nie będzie, nie liczyli, trzeba było uprzedzić, ale piwa by się jeszcze napił.

– Ma pani gotówkę? Tysiąc dwieście marek! Pamięta pani, szylingów nie bierzemy. Nur Deutsche Mark!

Tak, pamiętałam, tysiąc dwieście, szaleństwo jakieś. Średnia krajowa. Pięć par butów sprzed rozwodu albo dziesięć teraz. No trudno. Odliczyłam banknoty.

Do nocy wietrzyłam mieszkanie z woni niemieckiego potu i hiszpańskich szprotów, które zjedli na obiad. Zamiotłam podłogę, wyrzuciłam śmieci. Zostały tylko rośliny i zgrzewka piwa w lodówce. Dla nowych lokatorów.

I kartony, które miał zabrać Max. Nie zabrał, przysłał SMS-a: „Liebe Megi, nie dam dziś rady, muszę odebrać Livię z lotniska. xxx”.

Zatrzasnęłam więc drzwi. I moje wiedeńskie życie. Na zawsze.

\* \* \*

Następnego dnia wylądowałam w Palmie.

Pierwszy raz nie na wakacje, nie na próbę, nie na chwilę. Może na zawsze. Wiecznie zielone palmy, różowe bugenwille i błękitne niebo będą teraz moje! Nareszcie! Witaj, nowa ojczyzno bez słoty, mrozu i kataru! No i bez Maksa von und zu T.

Hotel Montemar na dwie noce w pakiecie z przelotem i obiadową kolacją w superofercie last minute. Do kompletu tanie auto z internetu. Radośnie kolorowa strona *Happy Cars* nie zapowiadała obitej karoserii, przerdzewiałych felg, braku czwartego biegu oraz stylistycznie dobranego pracownika o karnacji krówek ciągutek. Uśmiechnął się do mnie trzema złotymi zębami, zamachał kartką z nagryzmołoną nazwą wypożyczalni i bez słowa zawiózł rozklekotanym busem na prowizoryczny parking daleko od lotniska. Jęknęłam na widok samochodu.

– ¿Que pasa?<sup>[1]</sup> – spytał tak, że bałam się odpowiedzieć, i wręczył mi kluczyki. Szybko zmieniłam klapki na rasowe mokasyny z nopami, oryginalne car shoes, ręcznie szyte obuwie prawdziwego kierowcy. Przyglądał mi się rozbawiony. Ignorant! Odjechałam z ulgą, gdy po trzeciej próbie silnik w końcu zaskoczył.

Rzęchem z trzema biegami i z mapą na kolanach jeździłam od mieszkania do mieszkania, i każde kolejne okazało się większą porażką. Obskurne klatki schodowe, zapach wilgoci, metalowe okna zżarte przez słone powietrze,

hałaśliwe ulice, smród ze smażalni ryb. Dlaczego nie wpadłam na to, że słowa „lujo” – luksusowy, nie należy rozumieć dosłownie, a widok na morze, owszem, będzie, jeśli się mocno wychylić z balkonu? Zdecydowanie inaczej niż na dołączonych do ogłoszeń zdjęciach, które wertowałam w internecie przez ostatnie dwa tygodnie.

Ostatni na mojej liście był mały, szeregowy domek.

Trochę błądziłam, nim dojechałam do Cas Catala, a potem na calle Llaut, ulicę Kutrową. Była to spokojna uliczka, która przecinała porośniętą piniami, łagodnie opadającą ku morzu skarpe. W górze ulicy w dwóch połączonych asfaltowym podwórkiem rzędach stały szeregowy domki, pomalowane na kolor starego kisielu, zwieńczone stromymi dachami z beżowej, pofalowanej dachówki. W ich małych ogródkach rosły drzewa pomarańczowe, palmy i bugenwille. Sama słodycz na wąskiej granicy bezguścia. Od razu mi się spodobało. Na przedostatnim domku powiewał krzywo powieszony napis *Se alquilla* – do wynajęcia. Podeszłam do niego i wspierałam się po murze jak złodziej, kompletnie przy tym rujnując lewy mokasyn nowych tods'ów. Wolałabym sobie obetrzeć kolano niż ten wart ćwierć pensji but z limitowanej edycji „Monza”. Na pewno już nie do dostania.

Ukazał się ni to taras, ni patio z murowanymi ławami, kolumnami sięgającymi pierwszego piętra, na których całkiem bez sensu spoczywały betonowe belki, tworząc bardzo umowne zadaszenie. Na tarasie smutek subtropików – kilka ledwo żywych roślin w doniczkach, szczątki suchego pnącza na ścianach, dwa połamane drewniane krzesła i kawałek gumowego węża. Olbrzymie tarasowe okno zasłonięte brudną żaluzją, na której ktoś napisał palcem guarro<sup>[2]</sup>, wieńczyło ten osobliwy obraz.

Ale ja w tym tarasie z tandetnej, różowej terakoty zakochałam się od pierwszego wejrzenia. Zadurzyłam się w

fantazjach o śniadaniach w cieniu oliwkowych drzewek, zamarzyłam o hamaku, o palmach, których też jeszcze nie było, o leniwych popołudniach i jeszcze paru niebieskich migdałach, których nie przewidywał mój budżet. Zapatrzyłam się w ten widok na całą palmeńską zatokę. Na niebo, zawsze błękitne. Na katedrę. Na port. Na morze! ¡Vista al mar! Mogłabym się na to gapić całe życie.

Dwadzieścia cztery godziny później, gdy wróciłam na calle Llaut, przed bramą czekała na mnie pośredniczka, duża blondyna, wyspiarska klasyka wieku menopauzalnego. Przepalona słońcem, pomarszczona jak suszona śliwka, wciśnięta w za małą o numer brzoskwiniową sukienkę z elastycznej koronki, która rozciągała się w większe ażury na brzuchu i biodrach, tworząc dziwaczne, wynaturzone wzory. Gdyby tylko wciągnęła brzuch...

– Silke z Silke Immobilien! – Podała mi na powitanie uzbrojoną w brokatowe tipsy dłoń, ciężką od złotej biżuterii, i jednym fachowym spojrzeniem oceniła moją wiarygodność.

Lustracja nie wypadła chyba najlepiej. Polka, samotna, chwilowo niepracująca. W kucyku, bez makijażu, w wytartych džinsach i japonkach wyglądałam na wieczną studentkę, a nie na trzydziestopięcioletnią kobietę, matkę dziecka, bądź co bądź architektkę. Czułam, jak z moich stu osiemdziesięciu centymetrów kurczę się przy niej do rozmiaru mniej niż zero, w rozmiarówce amerykańskiej. Natychmiast wyczuła moją niepewność i dobiła mnie jednym celnym spojrzeniem.

Maszerowała pomiędzy rzędami domków przez dziedziniec, który pełnił funkcję parkingu, placu zabaw i śmietnika, rytmicznie stukając obcasami w asfalt; eins, zwei, eins, zwei. Biegłam za nią, wsłuchując się w rzucane z szybkością karabinu maszynowego słowa.



– Ratatam, rratatam! Dom jest niezwykle praktyczny. W idealnym stanie, to tutaj rzadkość. Ratatam! Jest piękny wspólny ogród! Dobra okolica, bezpieczna! Trrrr! Jest dużo chętnych. Achtung!

W furtce w głębi dziedzińca, tam gdzie zaczynał się osiedlowy ogród, co było przesadnym określeniem na kilka palm wokół basenu, stał niewysoki mężczyzna ubrany w lotniczy mundur. Kapitan Iberii? Pewnie przyleciał prosto z pracy. Silke promieniała, gdy jego drobna, kobieca dłoń zniknęła w jej łapie. Przywitaliśmy się, a on zalał mnie potokiem słów wypowiedzianych dziwnym dyszkantem. Mówił tak szybko, że zrozumiałam jedynie, że casa<sup>[3]</sup> jest bardzo preciosa<sup>[4]</sup>, a przecież uczyłam się hiszpańskiego „na wszelki wypadek” już parę lat, jeszcze w ramach tajnych przygotowań do wymarzonego wyjazdu.

Domek był malutki, ale jakimś cudem na pięciu przyklejonych do skarpy półpiętrach i zaledwie stu dwudziestu metrach mieścił z dziesięć różnych pomieszczeń.

– Jedenaście, bardzo wygodnie! – sprostowała Silke.

Na samym dole znajdował się salon z wyjściem na taras. Cztery schodki wyżej, na poziomie furtki, z małej sieni przeszklone drzwi prowadziły do kuchni i gospodarczego patio, a po drugiej stronie niewiele większa od mojego stołu wnęka uchodziła za jadalnię. Trochę wyżej mieściła się główna sypialnia z widokiem na morze i łazienka z widokiem na sąsiada, bezpośrednio spod prysznicza zresztą, a na kolejnym pięterku dwie klitki i przylegająca do nich łazienka zostały mi przedstawione jako pokoje dziecięce. Na poddaszu architekt zaplanował nie wiedzieć czemu gościnną toaletę, chwilowo nieczynną, i małą pracownię z wyjściem na solarium, czyli dyskretny tarasik na dachu, mieszczący co najwyżej jednego opalającego się golasa. I to małego.

Nie zdążyłam się nawet dobrze rozejrzeć; ciota-kapitan się śpieszył, może na samolot, a Silke najwyraźniej nie chciała inwestować więcej czasu w niepewny interes. Niecierpliwie wcisnęła mi wypełnioną papierami białą kartonową teczkę z wielkim złotym S w koronie. Pasowało do jej pierścionków.

– Tu są wszystkie szczegóły, opłaty, aktualny czynsz. Proszę się zapoznać, w ogłoszeniu był mały błąd. I niech się pani szybko decyduje, kapitan Sanchez już ma jednego klienta... Żeby potem pani nie żałowała, domy w tej okolicy idą jak świeże bułeczki! Szkoła międzynarodowa jest niedaleko.

– Tak, wiem. Być może zapiszę do niej syna. Jutro pani odpowiem w sprawie domu.

Królowa „S” niezgrabnie wgramoliła się do golfa cabrio w kolorze sorbetu cytrynowego.

– Rok szkolny tuż-tuż! – próbowała przekrzyczeć warkot dieslowskiego silnika. – Zaraz przyjadą nowe żony, jak co roku, i nic pani nie znajdzie!

Czyje żony? Kapitana? Muzułmanin?

Wróciłam do hotelu dziwnie nakręcona. Minęłam „obiadokolację w pakiecie”, którą czuć było już od progu, i bardzo już vintage’ową windą w kolorze starego złota wjechałam na trzecie piętro. W moim wąsko pojętym pokoju jednoosobowym na jeszcze węższym łóżku rozłożyłam zdobycze ostatnich dwu dni. Trzy metry papierów. W górnym rzędzie zdjęcia mieszkań, które odwiedziłam. Cztery podobnie urządzone apartamenty; podłoga z burej terakoty, wysłużone meble z białego ratanu, beżowa glazura i smętne, zagracone sprzętem AGD, balkony. Nie ma mowy! Dziecko, przyzwyczajone do majestatu wiedeńskiej secesji, przeżyje szok, a ja będę musiała zaczynać dzień od prozacu i kończyć butelką whisky.

Niżej ułożyłam całą zawartość eleganckiej teczki z literą S w koronie; szczegółowy opis w trzech popularnych na wyspie językach, obok skserowane fotografie, na których domek prezentował się bajkowo, i przy samej poduszce standardową umowę najmu. Właścicielem domku był kapitan Encarnación Sanchez-Garron. Cóż to za imię? Sprawdziłam w słowniku: Inkarnacja, Ucieleśnienie! Damskie imię! Kapitan Inkarnacja jednak był kobietą?

Z czasem pełne patosu i chaosu hiszpańskie imiona przestaną mnie dziwić. Poznam Dolores (Cierpienie), spotkam Iluminadę (Oświeconą), będę sąsiadką Concepción (Poczęcia, pewnie niepokalanego), kran naprawi mi Currito (Pewniaczek), a dostawcą mrożonek okaże się niejaki Jesús z Girony. Plejada bohaterów jasełek!

Domek kusił. Gdyby nie ta cena – inna niż w ogłoszeniu i wyższa, niż planowałam. Uzbierałoby się na dobry samochód za kilka lat... Po co mi nowy samochód? Przywiozę tu mój stary. Będę żyć naprawdę oszczędnie, zacisnę pasa. Co za idiotyczne powiedzenie – zacisnę pasa! W moim i tak zawsze robiłam dodatkową dziurkę, żeby nie spadał. Może raczej nie kupię nowych kozaków od Prady, choć w tym sezonie są po prostu boskie...

Otworzyłam butelkę czerwonego wina, przezornie nabytego po drodze w supermercado, i razem z winem oraz kawałkiem sera manchego, gryzionego wprost z papieru, postanowiłam czekać na oświecenie. Odwieczny dylemat – serce czy rozum, i zwykle porażka tego ostatniego. Czy mnie w ogóle stać na takie porażki? A jeśli nie znajdę pracy i pójdę z torbami (z tymi od Louisa Vuittona, najpiękniejszej pamiątce po Robercie Blumie, będzie nawet stylowo). Siedziałam w oknie mojego pokoju, który był tak tani, że nie miał balkonu, i szukałam odpowiedzi w ciemnej otchłani, która szumiała jak morze. Znalazłam ją w połowie butelki Manto Negro.

„Zdecydowałam się! Masz kogoś, kto może sprawdzić umowę?” – wystukałam SMS-a do jedynej znanej mi osoby na wyspie, Rosy Weintraub.

„Zadzwoń do mojego adwokata. Ma na imię Angel. Angel Porreras. Mówi po niemiecku. Zaraz wyślę ci jego wizytówkę. Powodzenia!”.

Angel! Wymawiany z hiszpańska przez „h”. Anhel. Adwokat ma na imię Anioł! Niebiosa mi go zesłały! To znak, że muszę wznieść się ponad przyziemne sprawy. Żegnaj, Prado! Witaj, domku!

[1] (hiszp.) – O co chodzi?

[2] (hiszp.) – brudas

[3] (hiszp.) – dom

[4] (hiszp.) – piękny

## ANIOŁ

W pierwszych dniach sierpnia, po trzech tygodniach spędzonych w deszczu i w rozbudowanym domku letniskowym „Brda Lux” na Pojezierzu Suwalskim, wróciłam na Majorkę. Zakatarzony Michaś obiecał zaopiekować się połamaną w kościach babcią, a ja przyrzekłam mu, że nadrobi wakacje jesienią. W końcu przeprowadzaliśmy się na wyspę, gdzie sezon trwa cały rok.

Skuszona atrakcyjną ceną i obiecującą, szczególnie z mazurskiej perspektywy, nazwą, zatrzymałam się w hotelu Sol, dwa kroki od Paseo Maritimo. Hotel był bardziej niż podły, ale postanowiłam przetrwać te kilka nocy. Za zamkniętym oknem przez całą noc huczała niekończąca się procesja samochodów, niecierpliwe klaksony, warkot motocykli, czasem sygnał policyjnego auta. Kolorowe światło migającego vis-à-vis neonu wpadało przez zbyt oszczędnie skrojone zasłony z bistoru w żółtobrazowy rzucik, więc przewiązałam sobie oczy czarną podkolanówką jak skazaniec przed egzekucją. W uszy wepchnęłam zielone zatyczki, przezornie wyniesione z samolotu, a na poduszce położyłam sprany ręcznik, by nie czuć zapachu spoconych tu kiedyś głów czy wypalonych w łóżku papierosów, i zapadłam się w wyleżały materac. Teraz musiałam tylko zasnąć, jak najprędzej. Rano muszę być piękna. Dla Angela. Mojego Anioła.

Angel Porreras, adwokat. Wiek – z głosu trzydzieści parę. Głos – aksamitny.

Prosił, żebym przyjechała jak najszybciej, bo zbliża się Ferragosto, a on wtedy, w te najgorsze upały, wybiera się jak co roku na północ Peninsuli. Tam temperatury są przyjemniejsze, plaże szerokie, a on uwielbia „beach life”! Już widziałam jego piękne, seksowne ciało na Playa de la Concha, której sama nazwa działała na mnie jak

afrodyzjak. Jego męskie, umięśnione łydki w granatowych wodach Atlantyku. Smagły, koniecznie owłosiony tors, płaski, wymodelowany brzuch... Zachód słońca, interesująca, opalona twarz... Niebo powinno być pełne takich aniołów, a nie wymoczków w białych sukienkach.

W pokoju było duszno, pościel ze sztucznego włókna przylepiała się do ciała. Twardy materac uwierał w plecy. Minęła kolejna godzina. Nie zasnę!

Eksmałżonek, Robert Blum, triumfowałby upojony widokiem swej byłej małżonki w czymś tak dużo gorszym niż jego ulubiony Ritz, którego progi wraz z rozwodem stały się dla mnie Himalajami. Eksnarzeczony, Max von und zu T., przez swe wieczne różowe okulary dostrzegłby w tym uroczą ekstrawagancję, dziwaczny wybryk dobrze zarabiającej projektantki. Ekspsychotherapeutka, Edda, która leczyła mnie skutecznie z rozwodowej traumy i nieskutecznie z kompulsywnego kupowania butów, zdiagnozowałaby teraz strach przed bankructwem i głodową śmiercią. I pewnie słusznie. To dlatego zarezerwowałam hotel Sol. Był najtańszy. I najbliższy miejsca, gdzie miałam się spotkać z Aniołem.

A matka zatarłaby ręce.

„Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz!” – zakrakałaby do telefonu swe życiowe credo.

Racja, nie pościeliłam sobie najlepiej. W każdym tego słowa znaczeniu.

Nie miałam żadnego planu, budżetu, oferty pracy ani czekającego na mój przyjazd kochanka. Miałam tylko marzenia. I to chyba od zawsze. Wszystko inne – Polska, Austria, zima, śnieg, błoto, szarówka – to był stan przejściowy. Zimny i brudny.

„Marzniesz, bo nic nie jesz i jesteś za chuda” – diagnozował ojciec, grubo smarując chleb domowym smalcem.

Nieprawda! Kraina Szczęśliwości była po prostu gdzie indziej. Na plaży, pod palmą, pod wiecznym słońcem i z ciepłymi wieczorami. Najbliżej na Majorce. Banalna Arkadia, dostępna niemal na wyciągnięcie ręki, dwie godziny lotu.

Majorka. Piękna wyspa, la isla bonita. Raj. Oliwkowe gaje, pomarańczowe doliny, kwitnące migdały, turkusowe zatoczki, bezkresne morze i wieczne słońce. Serotonina, dopamina, wszystkie hormony szczęścia codziennie za darmo spadające z nieba. Domy z jasnego kamienia biologicznie wrosnięte w krajobraz, magiczny świat, koronkowe kamienice, katedra z disnejowskiej bajki, miasteczka zaklęte w czasie. Ludzie, którzy nie pędzą, nie spieszą się, smakują życie powoli. Dzieci, głośne, wesołe, niezasmarkane, szczęśliwe.

A ja?

Marzyłam, by stać się częścią tego idealnego świata, żyć powolnym i jasnym dniem, chodzić po piasku i nie nosić w zimie szalika. Pić wino do obiadu i do kolacji. Codziennie. Nie patrzeć, jak drzewa gubią liście, nie widzieć upływającego czasu. Wszystko odkładać na jutro, ale żyć dzisiaj. Nie marznąć, nie mieć kataru i zrywać w ogrodzie pomarańcze.

To przecież musiało się udać! Sto tysięcy rezydentów, uciekinierów przed zimnem północnej Europy czy samym sobą nie mogło się mylić. Mieszkali tu, żyli, pracowali, dawali sobie radę. Dlaczego więc nie ja i Michaś?

Ale matka grzmiała.

– Cóż to za nieodpowiedzialność, zabierać dziecko tak daleko od ojca, dziadków, cywilizacji, szkół, lekarzy! Michaś nas potrzebuje! I jeszcze na dodatek wyspa! I z czego tam będziesz żyła? Skąd weźmiesz klientów na te swoje biura? Tam przecież są same hotele! Przemyśl to sobie! Przemyśl to sobie dobrze!

Więc myślałam. Już przez całe trzy lata przepychanek z Maksymem i w czasie zeszłorocznych wakacji u Rosy myślałam, żeby tu uciec. Obejrzałam szkoły, sprawdziłam lekarzy, nawet kiedyś umówiłam się z Herbertem, że dokończymy wspólne projekty korespondencyjnie, a to oznaczało pewne finansowe bezpieczeństwo przez pierwsze miesiące. Ale wciąż nie podejmowałam decyzji. Raz podcinał mi skrzydła strach, raz matka swym chirurgicznym skalpelem doktor weterynarii Krystyny Dziubak-Kalińskiej. Ciach, prach, nigdzie, aniołku, nie polecisz. Orłem nie jesteś!

Aż któregoś dnia to właśnie Michaś stał się pretekstem do wyjazdu, a ściślej rzecz ujmując, Christine Kowalsky, wychowawczyni jego klasy. Spod jej pióra wyszła dopisana na świadectwie szkolnym opinia, że z uwagi na swe zagraniczne pochodzenie, urodzony w Wiedniu Michał Blum powinien kontynuować naukę w szkole zawodowej.

– Matura nie będzie mu do niczego potrzebna. Zresztą nie potrafi nawet pisać bez błędów! – wyjaśniła, patrząc mi prosto w oczy.

– Bo jest dyslektykiem! A niemiecki zna przecież od urodzenia!

Wzruszyła ramionami.

Myślałam, że śnię, że to niemożliwe, żeby to grube babsko, ta przez cztery lata zasypywana torcikami wedlowskimi ukochana nauczycielka, zamieniła się nagle w rasistowską sukę. Żeby jednym bazgrołem przekreśliła przyszłość mojego syna i skazała go na społeczny niebyt!

– Może katolicka szkoła integracyjna go przyjmie... – rzuciła na pożegnanie.

Katolicka? Po moim trupie!

Wieczorem na biurku Michasia znalazłam rysunek przedstawiający rozjechaną przez czołg czerwoną plamę z napisem „gupia baba”. Autor właśnie zażywał kąpieli.



Co to ma być?

– Generał ją przejechał! – odpowiedział i zniknął pod białą pianą w wannie.

Generał, często wspomagany przez wielką armię, zawsze pojawiał się w krytycznych momentach życia – podczas rozwodu, zmiany szkoły, przed wizytą u dentysty. Sprawa była więc poważna.

W tej sytuacji nawet matka zgodziła się, że priorytetem jest jak najszybsze wyrwanie Michasia ze szcęk austriackiego szkolnictwa zawodowego. Wnuk bez dyplomu w ogóle nie wchodził w rachubę.

– Niech się więc uczy w Polsce. Tereska załatwi mu miejsce w szkole Przymierza Rodzin – podsumowała.

– Psycholog zabronił – skłamałam. – Za duża zmiana.

– To ja już sama nie wiem! Ale maturę musi mieć!

Więc dla tej matury musieliśmy wyjechać i nikt się nie zorientował, że tak naprawdę chodziło o słońce, palmy i morze, no i też trochę o uwolnienie się od Maksa, niezdecydowanego na wszystko i niegotowego na nic.

Obudziłam się po paru godzinach niezdrowego snu, mokra od potu, spuchnięta i zeszywniała. Błady potwór z podkrażonymi oczami, co idealnie podkreślała świetlówka nad lustrem. Nawet pięciu hollywoodzkich wizażystów nie dałoby rady zrobić ze mnie człowieka. Trudno, nie będę bóstwem, boginią Anioła, nie powalę go na kolana ani na skrzydła.

Mieliśmy się spotkać za niecałą godzinę, w kawiarni przy Paseo Maritimo, nadmorskim deptaku ciągnącym się wzdłuż całej zatoki w Palmie. Liczyłam, że zaprosi mnie na lunch, w końcu mieliśmy sobie tyle do powiedzenia. Zasugerowałam nawet restaurację, podobno niezłą, tuż obok hotelu, w którym się zatrzymałam. Nieśmiało wspomniałam o tym Angelowi podczas ostatniej rozmowy telefonicznej, ale ten od razu odrzucił moją propozycję. Nie

miał dla mnie tyle czasu, a poza tym niedawno, gdy podczas ważnego lunchu z klientem zamówił tam smażone krewetki, jedna z ostatnich okazała się smażonym karaluchem. Nie zrobił awantury, tylko dyskretnie, choć z obrzydzeniem, przełknął rozgryzionego owada. Mdlilo go cały dzień, a w nocy pojechał na pogotowie. Nie będzie więcej tam jadł. No dobrze, więc umówiliśmy się w Café Darsena. Niezobowiązująco. Na kawę. Pół godziny, czas to pieniądz.

Przez ostatni miesiąc Angel, Człowiek-Anioł, który Połknął Karalucha, jak złośliwie ochrzciły go moje przyjaciółki, i co jednak ujęło mu trochę seksapilu, był intensywnie obecny w moim życiu. Niemal codziennie pisywał do mnie maile, czasem raczył mnie przez telefon swym aksamitnym głosem i uroczym hiszpańskim akcentem, który przydawał językowi niemieckiemu południowego ognia. Rozmowy i maile były jak najbardziej służbowe, tylko sporadycznie pozwalał sobie na niewinną prywatną dygresję.

Kiedyś w postscriptum napisał, że sam szuka mieszkania, co w Palmie nie jest takie proste, bo chciałby duże attico w centrum, ale z widokiem na zatokę. SAM szuka! Samotny, singiel, do wzięcia! Adwokat. Ideał! Surfujący po falach Morza Śródziemnego umięśniony Adonis. Postawny i męski właściciel precyzyjnie wyrzeźbionej sylwetki. Macho z tym specjalnym błyskiem w oku i białymi zębami. Morze testosteronu z doktorskim tytułem nauk prawniczych. Wymarzona znajomość na dobry początek. A może i na dłużej?

Aniele mój, uważaj, nadchodzę!

Nadchodzę w najnowszych szpilkach od Manolo Blahnika, okrutnie seksownych i morderczo niewygodnych. Nieprzyzwoicie drogich (ale w końcu to inwestycja – w nowy związek – z dużym prawdopodobieństwem zwrotu!) i

zupełnie nieodpowiednich na spacer po betonowych płytach nadbrzeża. Aniele, do ciebie kuśtykam, do ciebie!

Darsena, którą wybrał na nasze spotkanie, nie była specjalnie romantycznym miejscem, ale rozciągający się z niej widok na zatokę, port, drogie jachty i gigantyczną katedrę okazał się wart siedzenia na niewygodnych krzesłach. Schowałam zapuchnięte oczy za ciemnymi okularami, największymi, jakie miałam, i zajęłam strategiczne miejsce pod światło – lepiej, by nie widział, jak mój naprędce zrobiony makijaż rozplywa się w sierpniowym upale.

Piłam już drugą kawę, Angela nie było.

Wybetonowane nabrzeże, na którym gęsto ustawiono stoliki, coraz bardziej się zapełniało. Przeważali goście w nieokreślonym wieku, ciemni, kędzierzawi, głośni. Hiszpanie od urodzenia wyglądają staro. Taka uroda. Siedzieli w większych grupach, pili colę z lodem i dużo się śmiali. Turyści zawsze zamawiają bez lodu, bo boją się zatruć. Brzydkie niemieckie pary w średnim wieku, aroganckie w swym nieapetycznym wakacyjnym negliżu zajmowały stoliki bliżej wody.

– Komm Helga, bierz ten nad wodą! – przepychali się.

Nieciekawe blade albo czerwone od słońca twarze, koślawe sylwetki, obowiązkowy przewodnik po Palmie i popielniczka pełna petów.

– Un cohrtadou, pohr favohhr<sup>[5]</sup> – kaleczyli język, niezdolni wymówić czystego hiszpańskiego O czy prawdziwego R.

Leniwa kelnerka udawała, że ich nie słyszy. Nie dziwiłam się jej. Ale w końcu stawiała przed nimi małe filiżanki z kawą i szklaneczkę z rachunkiem.

– Więcej mleka! – upominali się, nieświadomi kulinarnego faux pas. Cortado, tak jak espresso, może mieć w sobie tylko kilka kropel mleka, tyle by złagodzić gorycz

kawy, nie więcej.

Słońce paliło coraz bardziej, zaczynałam przyklejać się do rozgrzanego oparcia metalowego krzeselka. Gapiłam się na ciemny wzór, który kawa zostawiła wewnątrz filiżanki. Może coś z niego wyczytam, jak z fusów.

Anioła nie było. Rozglądałam się, ale żaden zabójczo przystojny Banderas nie nadchodził. Może pomyliłam miejsca? Jest jakaś inna Darsena? Sięgnęłam po telefon. Przepadł gdzieś w torebce, a przecież dopiero co był.

– ¡Hola! ¡Buenas días! Czy pani Magdalena? – usłyszałam znajomy głos. Miły, aksamitny, męski. Podniosłam wzrok.

Przede mną stał wątlej budowy mężczyzna w kwiecie andropauzy. Lekki jak piórko brzydkiego kaczątka. Ostre słońce bezlitośnie podkreślało potrudzikowe dzioby na kościstej twarzy. Ciemne okulary zasłaniały oczy, ale mały, haczykowany nos i wąskie, sine usta zupełnie nie przypominały Banderasa. Co za cios! Prosto w serce i mój debet na poczet Manolos. Uśmiechnęłam się zmieszana, zbyt miło i sztucznie.

Wyciągnęłam rękę na powitanie, Angel to zignorował i złożył dwa siarczyste całusy na moich policzkach – un beso, cmok, dos, cmok. Po hiszpańsku.

– Przepraszam za spóźnienie, ale mój przyjaciel miał dzisiaj problemy z samochodem, a ja sam nie prowadzę... – wyjaśnił i pokazał stojącego opodal białego mercedesa cabrio. Siedzący za kierownicą smagły młodzieniec w zbyt obcisłej, rozpiętej do połowy różowej koszuli zamachał do nas przyjaźnie. Gej jak z obrazka. Przyjaciel? Może kolega po prostu?

Angel uśmiechnął się, westchnął i posłał przyjacielowi buziaka. A jednak! To nie ja będę pływać w morzu z dziobatym Adonisem! Chłopak chwycił w locie niewidzialnego całusa i przyłożył sobie do serca, a drugą

ręką wskazał z uśmiechem aprobaty moje szpilki. Koneser! Chociaż on! Pomachałam do niego, od razu go polubiłam.

– No to, señora – zwrócił się teraz do mnie, odsuwając krzesło – przejdźmy do rzeczy. Umowę pani zna, początek najmu piętnastego sierpnia, ale klucze może pani dostać nawet jutro! – Wyciągnął z czarnej teczki papiery. – Podpisujemy? Jest pani pewna?

Nie, ja już niczego nie byłam pewna.

<sup>[5]</sup> (hiszp.) – Espresso, proszę.

## ROSA

Też sobie pani wymyśliła! Przeprowadzać się w środku lata! Na takie upały to normalni ludzie do domu wracają, do Niemiec! – Tragarz rzucił kolejne pudło przed drzwi mojego domku. Wniesienie do środka nie było w cenie, ale gdy paki zagraciły już całe obejście, a nawet zaczęły dosięgać furtki sąsiada, za dyskretnie wciśnięty banknocik zgodzili się poustawiać meble w pokojach. Jak one urosły przez ten miesiąc! Kanapa zajęła pół salonu, a wstawienie do sypialni łóżka, mimo że w kawałkach, raz na zawsze zlikwidowało dostęp do jednej szafy wnękowej. Na szczęście były dwie. Stół niemal całkowicie wypełnił jadalnię, a tryptyk namalowanych przeze mnie obrazów w końcu zawisł na za krótkiej ścianie jako dyptyk.

Była połowa sierpnia i żar lał się z nieba cały dzień, nocą temperatura nieznacznie spadała. Do tego w środku lata ogrzewanie działało pełną parą i żadna siła nie mogła go wyłączyć.

– Tylko „hesa” może to zrobić! – krzyczała do telefonu kapitan Inkarnacja Sanchez.

Co za hesa? Kaloryfery, całkowicie pozbawione termostatów, rozgrzewały pomieszczenia do czerwoności, a z kranów uparcie leciał rdzawy wrzątek. Ogrzewanie nie jest na Majorce czymś oczywistym, zwykle występuje pod postacią klimatyzatora, który w razie potrzeby – według nich rzadkiej – wieje gorącym powietrzem. Moje najprawdziwsze wodne kaloryfery były więc wśród tutejszych systemów grzewczych mercedesem. Mercedesem bez hamulców.

Po trzech nieprzespanych nocach w hotelu Sol i dwóch dniach w piekle gorących kaloryferów nadeszła odsiecz w postaci telefonu od Rosy, aktualnie bawiącej w Tyrolu. Rosa, jak wszyscy rezydenci, każdego lata uciekała przed

upałami, a swój dom wynajmowała letnikom, w tym raz i mnie. Teraz zadzwoniła zmartwiona, że jacyś klienci odwołali swój przyjazd, a to mogłoby oznaczać śmierć głodową Manuela, psa wielorasowego, który pilnował jej włości. Od razu zgodziłam się sypać mu suchą karmę w zamian za wygodne łóżko i dach nad głową. Dom Rosy był chłodny i przestronny, wyposażony w maty do medytacji i chińskie gongi oraz, co najważniejsze, w zimną wodę i w miarę wygodne futony, jeśli wygodny futon to przypadkiem nie oksymoron.

Rosę znałam z Wiednia, gdzie parę lat wcześniej miała przystojnego męża filmowca, dwóch synów i piękny dom. Któregoś dnia, który okazał się początkiem końca oraz powodem ucieczki na Majorkę, gościnnie pani Weintraub przygarnęła pod swój dach nieszczęśliwą przyjaciółkę z Monachium, Verenę. Biedaczka właśnie miała za sobą przykry rozwód z brutalnym Bawarczykiem. Mąż Rosy, Pepi, człowiek niezwykle empatyczny, współczuł Verenie całym sercem i jeszcze jednym, jak się potem okazało, kluczowym organem. Po jakimś czasie rezydentka wróciła do Monachium, a Pepi Weintraub zmarkotniał. Wkrótce z Bawarii nadeszły radosne wieści – Verena spodziewała się dziecka. Trochę głupio wyszło, bo akurat z mężem Rosy. Ta natychmiast spakowała walizki, synów, psa i wyniosła się najpierw z domu, a potem na Majorkę, byle dalej od niewiernego męża. Nim jednak Rosa na stałe opuściła Wiedeń, zdążyła poznać dobrze zapowiadającego się studenta rzeźby o seksownie złamanym nosie i skłonności do chodzenia boso. Zakochała się w nim bez pamięci, bo uwielbiała artystów. Tilo, idealny bad boy, zawładnął jej sercem i ciałem, oraz ciałami kilkunastu innych kobiet w mieście, co Rosa zrekompensowała sobie jednorazowym bzykankiem z nieznanym sobie bliżej mężczyzną. Gdy zjechała na Majorkę, Tilo wrócił do łask i pomógł w

przeprowadzce, tym bardziej że Rosa się zorientowała, że z ich związku narodzi się dziecko. Bad boy wciągnął działkę dłuższą niż zwykle i głęboko westchnął, co ciężarna rozumiała prawie jako sakramentalne tak. Zamożni teściowie in spe regularnie przekazywali Rosie alimenty w imieniu jeszcze niesamodzielnego syna, bo Tilo zniknął w otchłani uczelni. Obladowani prezentami przyjeżdżali odwiedzać małą Leilę, a nawet rozpoczęli budowę letniego domu w Santa Eulalia, by być bliżej ukochanej wnusi. Leila tymczasem wyrosła na dwuletniego blond aniołka o niebieskich oczach, co trochę zaniepokoiło babcię, jako że obie rodziny były raczej smagłe, a korzenie po mieczu sięgały nawet Hiszpanii, o czym świadczyło również nazwisko – Torres. Babcia Torres podkraśla więc wnusi ośliniony smoczek, ucięła pukiel jasnych loczków i wraz ze szczoteczką do zębów swego jedynaka wysłała do laboratorium w Baden. Jej przypuszczenia się potwierdziły. Rosa była szczerze zdziwiona, obiecała zwrot alimentów i święty spokój w przyszłości. Musiała jeszcze tylko odszukać biologicznego ojca Leili, którego nazwiska nie знаła, a gdy się to w końcu udało, umówiła się na spotkanie z tym całkowicie jej obcym człowiekiem. Miało to miejsce ponad trzy lata po zapomnianej gorącej nocy, nieszczęśnik zdażył się od tego czasu ożenić i spłodzić nowe, tym razem legalne potomstwo. Wiadomość o posiadaniu bękarta przyjął dzielnie, choć nikt się tego po skromnym urzędniku z Dolnej Austrii nie spodziewał. Rosa zgodziła się na jego coroczne widzenia z dzieckiem, a Peter Schneidebauer na ustawowe alimenty.

W tym czasie Rosa mieszkała już w swoim dziwnym domu w Portals Nous. Była to dość wytworna okolica, ale dom nie leżał w pierwszej linii od morza, ani nawet w dziesiątej. Dokładnie rzecz ujmując – nie miał żadnego widoku. Był tworem wyobraźni jakiegoś Niemca, który już



w latach sześćdziesiątych zbudował sobie hacjendę z elementami tyrolskimi. Dom, schowany wśród gęstego piniowego lasu, co roku przeżywał inwazję sosnowych gąsienic, które wczesną wiosną spadały z drzew jak pociski, a potem, połączone w długie sznury na kształt wielowagonikowych pociągów, spacerowały po tarasie. Dotknięcie ich skutkowało poparzeniem, swędzeniem, a czasem wysypką, więc Majorkańczycy unikali okolic zaatakowanych przez la procesionaria del pino. Ale Rosa kupiła swój dom w porze roku, gdy niebezpieczne gąsienice zdażyły się już przeobrazić w niewinne motylki.

Kursowałam teraz parę razy dziennie między jej transcendentálną willą, moim tonącym w ukropie domkiem i wielobranżowym supermercado w sąsiedniej miejscowości. Zwoziłam szczotki, szmaty, kupiłam odkurzacz, nowe donice, mało gustowną wycieraczkę z napisem „You again?“, ogrodowe latarnie, a nawet hamak, co było już doprawdy bez sensu, bo domek miast dekoracji wymagał remontu, choć według umowy „został oddany w stanie idealnym”. Było to nad wyraz elastyczne pojęcie, bo ścian nie pomalowano, żaluzje się nie domykały, zardzewiała фуртка skrzypiała, a brak lodówki w kuchni był zastanawiający, gdyż jeszcze miesiąc wcześniej tam była. Czekały mnie spore wydatki, warte nawet kilkanaście par butów.

– Lepiej zadzwoń do Zdenka! – poradziła Rosa, której właśnie przerwałam medytację na alpejskiej łące. – On potrafi wszystko i nie jest drogi. Chyba nie będziesz sama malować?

Dlaczego nie? Na niejednej budowie buty zdarłam.

\* \* \*

Zdenko Dragojević wyznaczył mi rendez-vous na

siódmą rano.

– W lecie tak się tu pracuje – powiedział. – A w porcie nawet i wcześniej.

Z trudem zwlokłam się o świcie, nawet pies jeszcze spał, gdy piłam kawę. O tej porze na ulicach było zupełnie pusto, a powietrze świeżo pachniało piniami i rozmarynem.

Gdy podjechałam pod dom, Zdenko już czekał. Muskularne ciało, łysa głowa, biały podkoszulek i ręce założone na piersi dokładnie tak jak pan na etykiecie butelki z wszystko czyszczącym płynem Mr. Clean. Chorwacka złota rączka prezentował się nad wyraz czysto i solidnie. Od razu mi się spodobał.

– Zdenko?

– Jawohl! Si! Yes. Tak. W jakim języku rozmawiamy?

– Hmm... – Podałam mu rękę. – Próbujemy po słowiańsku?

Otworzyłam drzwi i weszliśmy do środka. Od progu buchnął koszmarny żar, wyjątkowo odczuwalny o rześkim poranku. Zdenko cofnął się.

– Co tu się stało? Saunę masz w salonie czy co?

– Kaloryfery zepsute, ale jak się okna pootwiera...

– Masz piwo? – zapytał.

– Nie, bo nie mam lodówki.

– Eee, to w wannie ostudzimy. – Puścił do mnie oko.

– Nie ma zimnej wody... – Też puściłam oko.

– To ma być jakiś żart czy co? – Zdenkovi wcale nie było do śmiechu.

– Możesz chłodzić się w moim aucie. Mam klimatyzację – zaproponowałam nieśmiało.

Zmiażdżył mnie wzrokiem. Nie miałam wyjścia. Bez zimnego piwa remont nie ruszy. Obiecałam, że do jutra lodówka będzie.

– W takim razie zacznę jutro! Ciao bambina! – Ruszył do furtki.

– Poczekaj! Gdzie ja mam tę lodówkę kupić? Znasz jakiś sklep?

– Jedź na poligono!

Nie, wcale nie żartował. Poligono to podmiejskie centrum przemysłowe, z hurtowniami i wielkimi magazynami. Błąkałam się po ogromnej hali zastawionej chłodziarkami i mierzyłam je stolarską miarką. Ale wszystkie były parę centymetrów szersze niż przewidziana na lodówkę wnęka w mojej kuchni.

Młody sprzedawca w granatowym fartuchu z uwagą przyglądał się swojemu odbiciu w kieszonkowym lusterku.

– ¡Perdón! Szukam lodówki o szerokości pięćdziesięciu dwóch centymetrów – wydukałam, przerywając mu kontemplację.

Chłopak przecząco pokręcił głową.

– ¡No existe! Nie ma! Tylko ta jest tak wąska! – Pokazał na minibar i wrócił do studiowania swej pryszczatej brody.

– Por favor, poszukaj takiej, jakiej potrzebuję! – powiedziałam twardo jak surowa matka, którą wcale nie byłam. A szkoda, bo za kilka lat mój Michaś też będzie takim pryszczatym gnojkiem.

– ¡No existe! – z uporem powtórzył trądzik.

– A na zamówienie?

– ¡No existe! – Teraz skupił się na pryszczu pod okiem.

– Dobra, to biorę tę!

Popatrzył zdziwiony.

– A transport na jutro może być? – spytałam kasjera.

– ¡Passaporto!

– Po co? Nigdzie się z tą lodówką nie wybieram!

– Bez paszportu nie dostarczamy.

– To jutro przywieziecie? – Podałam mu dokument.

– Mañana? Nie, jutro to niemożliwe.

Pojutrze też nie. Może w przyszłym tygodniu, ale raczej nie, bo jest jakieś święto, przypomniał sobie kasjer.

– Naturalmente, przywieziemy ją, jak przyjdzie czas.

Naturalmente. Hydraulik obiecany przez Inkarnację też przyjdzie, jak będzie czas. Nie wiadomo kiedy, ale naturalmente przyjdzie. Po co te nerwy, señorina?

Moja matka, dr wet. Dziubak-Kalińska triumfowała.

– Widzisz, jak to jest! Nie szanowałaś tego, co miałaś! Lekką rączką pozbyłaś się wszystkiego!

„Wszystko” w jej ścisłym i ciasnym umyśle oznaczało poukładane życie, wygodne mieszkanie w porządnej dzielnicy, dobrą pracę, a przede wszystkim szansę na małżeństwo z hrabią najczystszej krwi Maximilianem von T., w którym pokładała duże nadzieje. Za młodu Krysia Dziubak sama bardzo chciała być hrabiną. Po cichu zazdrościła, gdy Max wprowadzał mnie w błękitną krainę wiedeńskiej arystokracji. Wchłaniała jak gąbka z mikrowłókien opowieści o polowaniach, kolacjach czy wyjściach na premiery w Burgtheater, gdzie Max miał abonament w piątym pokoleniu i stałe miejsca z rodowym nazwiskiem i tytułem wygrawerowanym na mosiężnych tabliczkach.

Rozumiała nawet, że tracę czas na coś tak dziwnego jak gra w golfa, wbrew światopoglądowi chadzam na niedzielne koncerty w Kościele Uniwersyteckim czy piekę ciasta na dobroczynne kiermasze organizowane w każdym adwencie przez ciotkę Maksa, księżnę W. W mojej szafie wisiał tradycyjny strój austriacki w wersji dziennej i wieczorowej, niezbędny na rautach w zamkach i pałacach. W polowaniach, na które obstałowałam oficerki, brałam udział bierny z ambony w morawskich lasach lub czynny jako konna nagonka na kuropatwy w krzakach Estremadury i brakowało mi tylko mariażu z hrabią, ostatecznej przepustki do błękitnych sfer.

Matka słuchała tych opowieści zachłannie, a potem powtarzała, odpowiednio podrasowane, koleżankom z

pracy. U znajomego jubilera zamówiła sygnety dla całej rodziny, w końcu pochodziliśmy z zagrodowej szlachty, a wzór wybrała ze starego herbarza. Doszukała się też barona wśród swoich przodków, ćwiczyła dawno zapomniany francuski, w jej przekonaniu esperanto arystokracji, i szykowała się na ślub stulecia, czyli mój z Maksem. W końcu ona, Krystyna Dziubak, miała zostać matką hrabiny Magdaleny von T. Noblesse oblige!

## TERESA

Zdenko Dragojević wysłuchał mojej relacji z poligono i po krótkim namyśle oraz po podniesieniu stawki godzinowej zgodził się na pracę w trudnych warunkach. Będzie malował, mimo braku lodówki i zimnej wody, wystarczy, że co dwie godziny dostarczę na budowę worek z kostkami lodu.

– Chyba nie widzisz problemu?

Widziałam, ale cóż. Dostarczę i co pół godziny. Własnoręcznie skułabym dla niego lodowiec, byleby tylko móc patrzeć, jak zaplamione brudnożółte ściany pomalują się w apetyczną śmietankę. W mocnym świetle południowego słońca wydawały się teraz niemal śnieżnobiałe, ale drobne przełamanie koloru nadawało im szlachetną, miękką głębię. Eggshell, mówią na ten odcień Anglicy, mając na myśli jasne skorupki jajek.

Cały dzień wysypywałam kostki lodu do wanny. Zdenko wpadał do łazienki, ochlapował się zimną wodą, a potem wyławiał spod lodu kolejną puszkę piwa i zaraz wracał do malowania. Uwijał się dosłownie jak w ukropie.

Następnego dnia zaczął montować meble.

– Wynieś to bella na śmietnik! – Pokazał zakurzoną folię, od której właśnie uwolnił tapicerowane białym lnem łóżko. Było brudne i przesiąknięte zapachem zgnilizny i środków dezynfekujących. Przyłożyłam nos do zagłówka.

– Śmierdzi, co? – wycedził prawdę objawioną przez zaciśnięte na śrubokręcie zęby.

– Na szczęście pokrowiec da się wyprać. Daj, zawiozę do Rosy.

Calle Raoul o tej porze było kompletnie wymarłą uliczką. Większość mieszkańców uciekła przed upałami do północnej Europy, a ci, którzy zostali, byli w pracy albo drzemali za zamkniętymi okiennicami. Zaparkowałam pod

domem Rosy przy otwartej na oścież furtce. Manuel nie przybiegł na przywitanie, pewnie skorzystał z okazji i uciekł wytarzać się gdzieś na śmietniku.

Zeszłam po kamiennych schodkach do kuchennego wejścia. Z głębi domu dochodziły jakieś hałasy. Złodziej? Wiedziałam, że tak się skończy wiara Rosy w dobro świata i brak zamków w drzwiach kuchennych. Zawsze podejrzewałam, że dyndające na framudze dzwoneczki feng shui jednak nie załatwią sprawy. Na wszelki wypadek wybrałam numer Zdenka.

– Jak będę krzyczeć, to dzwoń po policję! Jestem u Rosy, ktoś się chyba włamał. To znaczy nie włamał, bo było otwarte – szepnęłam zdenerwowana do słuchawki.

– To w końcu jak? Zdecyduj się – powiedział spokojnie.

– Zostań na linii! Idę tam!

Wzięłam głęboki wdech. Serce łomotało mi jak pociąg w tunelu. Jeszcze jeden oddech. Spodziewałam się najgorszego. Raz kozie śmierć! Wchodzę.

W kuchni, przy zlewie, drobna, przykurczona postać nalewała wody do plastikowej konewki. Nie widziałam jej twarzy, bo miała na głowie biały kapelusz z czegoś imitującego słomkową koronkę. Staruszka ubrana była w bezkształtną sukienkę w różowe stokrotki, grube, cieliste pończochy i ortopedyczne klapki. Wołałabym umrzeć niż nosić takie buty.

Podniosła wzrok znad kranu i uśmiechnęła się.

– A, ty musisz być Madeleine – odezwała się po polsku.

– Tak... Co pani tu robi?

– Podlewam kwiatki – odpowiedziała z prostotą przedszkolaka. – Rosamunde się ucieszy, że ich popilnowałam!

– Rosamunde? Rosa? Rosa Weintraub?

Jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, że za zgrabną Rosą może kryć się potężna Rosamunde. Ofiara miłości

rodziców do Schuberta? Biedaczka!

– Piękne imię! – Staruszka zakręciła kran i z trudem uniosła małą konewkę. – Jestem Teresa, sąsiadka. Mieszkam niedaleko. O tam!

– Pomogę pani! Rosa nic mi o pani nie mówiła...

Wyszliśmy na taras. Posłusznie podlałam wszystkie trzy rośliny, z których dwie były domową hodowlą konopi. Obserwowała mnie uważnie.

– No, to już chyba wszystkie. – Chciałam uwolnić się od jej wzroku. – Nie musi pani przychodzić, będę o nie dbać... obiecuję – uśmiechnęłam się. Niechby już sobie poszła. Coś mnie w niej irytowało.

Ale ona nadal patrzyła na mnie, przekrzywiając śmiesznie głowę.

– Musisz do mnie przyjść na cup of tea i opowiedzieć mi o Polsce. Bardzo długo tam nie byłam, od wojny.

No to wiele by opowiadać. Sześćdziesiąt lat! Nie znoszę historii.

– Dobrze, wpadnę po południu, o piątej jest high tea, prawda? Teraz muszę zrobić pranie i wracać do siebie. Ktoś na mnie czeka...

Odpowiedziała bezzębnym uśmiechem, a ja pomyślałam, że jestem nieasertywną kretynką.

Grono moich znajomych na Majorce rosło. Do Żydówki z nieślubnym dzieckiem dołączył półtorametrowy gej adwokat, chorwacki robotnik i zdemenciała staruszka. Matka by zwariowała na miejscu.

\* \* \*

Teresa mieszkała trzy posesje dalej, w skromnym, niegdyś białym domu z niebieskimi okiennicami, z których farba łuszczyła się dużymi płatami, odkrywając surowe, poszarzałe drewno. Od frontu piętrzyły się przedziwne



sprzęty; zdekompletowane meble, połamane parasole, rower z jednym kołem. Nierówne schody zastawione były dawno niemytymi miskami z psią karmą, zaschniętą w ohydną brązową skorupę. W innych stała brunatna woda. Uschnięte rośliny tkwiły w tanich plastikowych doniczkach. Dlaczego u siebie nie podlewa? Dom duchów, w którym straszy w samo południe.

Teresa, ubrana w odświętną, choć poplamioną błękitną sukienkę z białym koronkowym kołnierzykiem, stała w progu i uśmiechała się do mnie, tym razem pełnym kompletem sztucznych zębów.

– Hello Madeleine... Magdalena, prawda?

– Dzień dobry! To niezwykle, że pani już tyle lat tu mieszka. Kiedyś Polacy chyba nie emigrowali na Majorkę? – Pokonywałam stare schody po trzy stopnie naraz, starając się nie wdepnąć w kocie odchody moimi rzymskimi sandałami z beżowych rzemyków, które kupiłam w supermarkecie razem z lodem dla Zdenka. Jeszcze nigdy nie miałam tak tanich butów.

– Jestem taka Polka nie-Polka. Od Andersa, you know. Wejdz, złotko!

Przy zamkniętych oknach mieszanka woni starości, psiej sierści i kociej uryny ścinała z nóg. Nie było to miejsce, w którym chciałam być. Zacisnęłam zęby. Wytrzymam kwadrans i uciekam.

Staruszka przygotowała się na moją wizytę. Na stoliku przykrytym plastikową serwetą udającą belgijską koronkę ustawiła filiżanki z niedokładnym nadrukiem imitującym rokokowy wzór.

– Siadaj, proszę! – Wskazała na typowy angielski fotel z podnóżkiem.

Zapadłam się w czeluść popsutych sprężyn pokrytych ciemnozielonym aksamitem. Teresa usiadła na małej kanapie przykrytej kraciastym pledem.

– Mam coś pysznego. – Pokazała półmisek z fabrycznie pokrojonym keksem. – Jak się cieszę, że cię poznałam! Nie znam tu żadnych Poliaków – zaszcebiotała kresowym zaśpiewem. – Nu, powie mi, co tam w Polsce słychać.

– Hmm... nie wiem, na czym pani skończyła... Wałęsa, Papież, Gierek, NATO? – wyliczyłam zestaw, który powinna znać. Jakaś samotna sprężyna straszliwie uwierała mnie w tyłek.

– To moja największa joy! – rozpromieniła się.

– Co? Papież? – domyśliłam się. Pasowało do niej jak do każdej emerytki.

– Nie – skrzywiła się – NATO! Wreszcie, po tylu latach...

– Rozumiem.

– Herbatki? Zdejmij mi ten box, proszę. – Pokazała pudło stojące na wielkim laminowanym regale, przykładzie najlepszego duńskiego designu lat sześćdziesiątych.

Z ulgą wstałam z niewygodnego fotela. Tekturowe pudło było ciężkie i zdeformowane od wilgoci. Ostrożnie postawiłam je przy Teresie na winylowej wykładzinie, wzór „perski dywan”. Teresa schyliła się i bladą, trzęsącą się dłonią wyciągnęła z niego jakieś stare zdjęcie.

– To ja. Jeszcze w Wilnie.

– Piękna! – Trochę przesadziłam z tym komplementem.

– To w szkole baletowej?

– Tak, ale krótko w niej się uczyłam... za krótko... bo wojna... – Zamyśliła się. – Jak ja pięknie tańczyłam... i pas marché, i plié... – Zawirowała koślawymi palcami na stoliku.

– A to kto? – Wyjęłam z pudła fotografię przystojnego mężczyzny.

– Anthony, mój mąż. Ach, jak to było dawno... Po wojnie. Już w Anglii. Uczyłam się na pielęgniarkę, a Tony miał fabrykę bandaży. Kiedyś przyszedł do naszego szpitala i tak go poznałam. A potem to on miał już wielką factory i

bardzo dobrze żyliśmy z Tony.

– Bardzo go pani kochała...

– Nie, to zły człowiek. Bardzo zły człowiek. Nie żyje, umarł za karę.

Teresa miała teraz zupełnie inną twarz, siedziała spięta, patrzyła gdzieś w dal i milczała. Wolałam już nie pytać o zdjęcie małego chłopczyka w szkolnym mundurku; na odwrocie czyjaś ręka napisała „Mark, Edinburgh 1965”.

Nagle przebudziła się z odrętwienia.

– Spróbuj ciasta. – Podsunęła paterę.

Miało smak jajek w proszku i esencji migdałowej. Szybko popiłam je zimną herbata.

– A jak się pani znalazła na Majorce? Dlaczego akurat tu?

Nie odpowiedziała, tylko energicznie klasnęła w dłonie, jak mała dziewczynka.

– Cieszę się, że cię poznałam, Magdo. Opowiedz mi o Polsce.

– A pani nie ogląda telewizji? Przecież pokazują czasem coś o Polsce. Mogę pani podrzucić polskie gazety...

– My dear, ja już nie czytam... oczy... – Westchnęła. – A television zostawiłam w Anglii. Jak wszystko... – Westchnęła znowu. – Dla mojej wielkiej miłości, wiesz...

– Opowiem pani o Polsce. – Zmieniłam temat, bo nie chciałam nic wiedzieć o jej namiętnościach. Przerazały mnie. Czy tak tu się kończą wielkie uczucia? Z kotami i w samotności. Zrobiło mi się jej żal. Opowiedziałam więc najpiękniej, jak potrafiłam, jak wszystko zmienia się nad Wisłą, jak przystojni są żołnierze NATO, jak cudnie leżą na nich mundury, jak teraz wycieczki masowo pielgrzymują do Wilna, dbają o cmentarz na Rossie... i jak uwielbiam kuchnię kresową, co też było ewidentnym kłamstwem. Słuchała rozpromieniona.

– Lubisz ptasie mleczko? Weź sobie z fridge, mam go za

dużo – powiedziała, gdy chciałam się pożegnać.

Otworzyłam lepka od brudu lodówkę. Była po brzegi zapchana ptasim mleczkiem, wyschniętymi kiełbasami i skwaśniałym białym serem.

– Skąd pani to wszystko ma? To polskie produkty!

– Imalda gdzieś kupuje, pewnie na targu. Jak wróci z Meksyku, to ją spytamy. Już prawie miesiąc, jak pojechała! Ale ja i tak tego nie jem. Tylko ptasie mleczko, zawsze je uwielbiałam.

– Nikt tu teraz nie sprząta? – Odruchowo chwyciłam gąbkę i przetarłam uchwyt lodówki. – Może potrzebuje pani pomocy?

– Nie, złotko, nie lubię, jak mi się tu ktoś kręci. Imalda wróci, to posprząta.

Pożegnałam się szybko stęskniona za moim własnym życiem.

– Jak się cieszę, Maddy, jak się cieszę! – powtórzyła po raz kolejny. – Kiedy znów do mnie przyjdiesz?

– Wpadnę z Rosą. Z Rosamunde!

– Będiesz teraz moją małą polską córeczką! – krzyknęła, machając mi ze schodów, gdy byłam już przy furtce.

Jeszcze i to! Przyśpieszyłam kroku.

## LA CUCARACHA

Dwa dni później, wraz z pierwszą gwiazdką na niebie, wydarzył się cud, pewnie bonus za dobry uczynek, czyli za wizytę u Teresy. Przyszli panowie z „hesy”, ubrani w granatowe kombinezony i uzbrojeni jedynie w skórzaną teczkę. Dobrze, że jeszcze byłam w domu, bo pojawili się bez zapowiedzi, jak kiedyś była żona Maksa w środku nocy.

– Możemy zamykać! – Starszy z nich z dumą wskazał na swoją torbę jak magik na cylinder. Pewnie zaraz wyjmie z niej królika.

Ruszyli na patio. Tam, za oleandrem, bez trudu odnaleźli szarą skrzynkę. Nie była nawet dobrze zamknięta. Grubszy podał koledze płaski klucz. Tadadadam! Udało się! Zakręcone.

– Ale co będzie w zimie?

– Przyjdziemy odkręcić. Musi pani tylko wcześniej zamówić wizytę.

– To może... ja od razu się zapiszę? – spytałam naiwnie.

– Imposible, my nie zapisujemy, trzeba zadzwonić do centrali, ale dopiero we wrześniu, to przyjdziemy w listopadzie!

Przez noc temperatura w salonie spadła do trzydziestu stopni, a w kranach pojawiła się zimna woda. Świeża, kryształowa, mocno chlorowana, dla mnie miała smak prawdziwego luksusu. Długo trzymałam ręce w jej lodowatym strumieniu, by potem schłodzone na kość przyłożyć do rozgrzanego karku i spoconych policzków. Koła cudownie. Zdenko patrzył na to z lekceważeniem, prychał, odkręcał prysznic i obficie oblewał wodą łysą głowę i opalony tors. Kontemplowałam jego bicepsy i dobrze wyrzeźbiony brzuch, gdy mokry robił ostatnie malarskie poprawki. Był w zwierzęcy sposób atrakcyjny, zdrowy

samiec o uroku siłacza z radzieckiego cyrku. Bez trudu rozerwałby najgrubszy łańcuch. Podobał mi się i jednocześnie mnie odpychał. Z nieukrywaną ciekawością antropologa studiowałam jego ciało. Chyba za intensywnie się na niego gapiłam, bo gdy zszedł z drabiny, wlepił we mnie czarne gały i powiedział:

– Okna gotowe. Możesz wieszać firanki, a ja dopieszczę wreszcie twoje łóżeczko. – Wulgarnie oblizał usta.

Udałam, że tego nie widzę i bez słowa wręczyłam mu hak, na którym miała zawisnąć muślinowa moskitiera.

– A wiatrak powiesimy pod nią? – zapytał. – Na gorące noce, co, bambina?

Tak, na gorące noce, ale bez ciebie, idioto!

Pod wieczór sypialnia była „dopieszczona”, wszystkie obrazy zawisły na ścianach, a czwarta noga od stołu wreszcie się znalazła. To chyba wszystko.

– Skończyłem – oznajmił – ale siłę jeszcze mam!

– Myślę, że już w ogóle skończyłeś. Podliczyłeś godziny? – Sięgnęłam po torebkę. – Nie wiem, czy mam przy sobie całą sumę...

– Nie spieszy się! Pójdziemy wieczorem do portu oblać szczęśliwy koniec?

Zatkało mnie. Z robotnikiem? Nie mogłam tego zrobić matce, wyczułaby telepatycznie.

– Muszę czekać na Adele – skłamałam, ale tylko trochę, bo miała przyjść z rana. – Adios, Zdenko!

\* \* \*

Adela przyszła kwadrans za wcześnie, jakby ciut przed szkolnym dzwonkiem, pewnie z przyzwyczajenia – w swoim poprzednim życiu, w Argentynie, była nauczycielką geografii. Na emigracji sprzątała. I miała referencje.

– Polecam ją z czystym sumieniem – podkreśliła

Felicitas Salud, opiekunka mojego konta w La Caixa. Czy może być coś bardziej wiarygodnego niż czystość sumienia pracownicy banku?

Gdy otworzyłam drzwi, pomyślałam, że to może ktoś z sąsiedztwa przyszedł na skargę, bo znowu zawałam cały śmietnik kubłami po farbie. Adela nie pasowała do moich zbudowanych na latynoskich telenowelach wyobrażeń o południowoamerykańskiej sprzątacze, niepiśmiennej Izaurze o indiańskich rysach. Była elegancka, uczesana w skromny koczek z rudych, lekko siwiejących włosów, ubrana w prostą, gustowną sukienkę w zielono-granatowy wzorek, pamiętającą pewnie dobre czasy w Argentynie.

– Buenas días! Przychodzę od Felicitas!

Prawie dygnęłam, gdy popatrzyła na mnie srogim wzrokiem rasowej nauczycielki. Czułam, że oblałam w przedmiocie stroju, bo moje poszarpane dżinsowe szorty i wybrudzona farbą koszulka bezwstydnie kontrastowały z jej schludnym wizerunkiem chodzącej perfekcji. Jedynie moje markowe klapki ratowały nieco sytuację.

– Przygotowałaś sprzęt? Od czego zaczynamy? – Jasno określiła, kto tu rządzi. – Najlepiej od samej góry! Gdzie się mogę przebrać? – Wyjęła z torby niebieski fartuszek.

Gdy kilka godzin szorowania i moje dwa złamane paznokcie później domek lśnił czystością i pachniał leśnymi kwiatami ajaksu, zabrałyśmy się do rozpakowywania kartonów. Wyciągałam wymięte i lekko zatechłe rzeczy z paczek, a Adela wieszala je na tarasie albo myła w kuchni odwinęte ze starych austriackich gazet talerze, kieliszki, garnki.

– A tu znowu buty? – Załamywała ręce. – Gdzie my to pomieścimy?

– Może na patio?

– Tam stoi już osiem par botas, trzy pary kaloszy i pudło z mokasynami. Nawet ich nie rozpakowałam, nie ma

gdzie stawiać – mruzczała niezadowolona.

Skuliłam się przyłapana na mojej największej słabości.

Z chaosu wyłaniał się nowy salon. Postawiłam na kominku oprawione w stare drewniane ramki zdjęcia, przetarłam posrebrzane świeczniki, poukładałam książki. Zaczęło się robić domowo. Zadowolona i zmęczona położyłam się na chwilę na wielkiej, świeżo wypranej białej kanapie, która stała naprzeciw kominka. Kontemplowałam szybko znikające z marmurowej posadzki mokre plamy po szorowaniu, gdy z przewróconego na bok kartonu coś wyszło. Nie zdążyłam się temu przyjrzeć, bo natychmiast zniknęło pod sofą. Spuściłam głowę z kanapy, i zamiatając włosami podłogę, zajrzałam pod mebel. Dokładnie przed moim nosem siedział olbrzymi czerwony żuk. Hiszpański skarabeusz? Kiedyś miałam taki breloczek z zielonego malachitu. Podobno przynosił szczęście. Może ten też? Pewnie jest pod ochroną.

Zawołałam Adelę, by przyszła zobaczyć czerwonego skarabeusza. Ten, jak na zawołanie, wylazł spod kanapy, wprost pod jej pantofel. Adela aż podskoczyła i z zaskakującą furją rozgniotła rdzawego żuczka. Z jego brzucha wysypały się małe kuleczki.

– La cucaracha! – krzyknęła, rozcierając go butem na miazgę. – Teraz musimy pozamiatać te jajeczka, bo zaraz wylegną się z nich młode!

Stałam sparaliżowana. Cucaracha! Karaluch! Pierwszy w moim życiu.

Nagle zobaczyłam je wszędzie – jak wychodzą spod kuchennych szafek, spacerują po łazience i czają się pod łóżkiem. Wylaziły z otwartych pudeł, z tekturowych tub z rysunkami, z plastikowych worków z pościelą, zewsząd. Na mój widok przystawały ostrożnie albo chowały się pod najbliższym meblem. Znalazłam się na Animal Planet. Coś dla Michasia, który uwielbiał filmy o strasznych



dziwologach natury. Złapałam telefon i opowiedziałam mu historię o inwazji karaluchów. Był zachwycony.

– A nie możesz kilku zostawić na mój przyjazd? – poprosił całkiem poważnie.

– Chyba że w twoim pokoju...

– Tak, zrób im tam terrarium! I zostaw te jajeczka! Pamiętasz, jak hodowałem dinozaura z torebki?

Pamiętałam aż za dobrze. Zaczęło się od dołączonej do zabawki torebki z rzekomymi jajkami dinozaura, a skończyło na wielkim akwarium z żabami na pocieszenie, bo z jajek nic się nie wykluło.

Wieczorem, przed pierwszą nocą we własnym domu, uzbrojona w drewniany tłuczek do mięsa i gumowe rękawiczki, przeszukałam sypialnię. Początek jak z taniego horroru. Na ten widok Robert Blum zwariowałby z radości. Za pomocą latarki przeprowadziłam inspekcję szafy. Czysta. Zajrzałam pod łóżko – na białej podłodze ani śladu. Obejrzałam prześcieradło, nie było ich. Wytrzepałam poduszki. Nic. Uklękałam na środku łóżka i systematycznie wtykałam moskitierę pod materac, aż moja kryjówka stała się szczelna jak szpitalny namiot pacjenta po przeszczepie.

Leżałam w pachnącej słońcem pościeli, owinięta kapą jak kokonem. Byłam piekielnie zmęczona, ale nie mogłam zasnąć. Czuwałam. Wypatrywałam wroga, wsłuchując się w każdy szmer, drżałam na każdy szelest, sprawdzałam po omacku, czy nie ma ich w pobliżu. Bałam się, że gdy zasnę, wejdą mi do ust. Że w ogóle na mnie wejdą, obleżą mnie, pogryzą. Czy one mają zęby? Na pewno roznoszą tyfus. Nakręcałam się coraz bardziej. Wydawało mi się, że słyszę, jak biegają pod łóżkiem, skrobą do drzwi i tylko czekają, aż zasnę.

Szeroko otwartymi oczami skanowałam pogrążone w półmroku otoczenie. Na ścianie obok drzwi do łazienki zauważyłam coś niepokojącego, jakby wybrzuszenie, białe,

w kolorze tła. To nie był karaluch, to było coś jeszcze gorszego, nieznanego. I znacznie większego, jak męska dłoń i pół przedramienia. Nagle się poruszyło. Drgnąłam, ale nie spuszczałam tego z oczu. Ja nieruchomo, i to coś nieruchomo. Ja się poruszyłam, i to też. Prowadziliśmy tę psychologiczną wojnę do rana.

Gdy zaczęło świtać, pierwsze blade promienie słońca zdemaskowały wroga. W miejscu nocnych cudów siedziała kremowa jaszczurka. Była śliczna. Nazwałam ją Frida na cześć mojej ulubionej malarki i natychmiast opowiedziałam Michasiowi o nowym domowniku. Oczywiście poprosił, żebym ją złapała i dokarmiła sałatą do jego przyjazdu. Ale Adela wytłumaczyła mi, że Frida jest darem niebios i powinna biegać po domu głodna, by zjeść wszystkie karaluchy.

– Magdalena, to lepsze od trucizny! Gracias a Dios!<sup>[6]</sup> – Przeżegnała się, wznosząc ku niebu pełne dziękczynienia oczy.

Kapitan Inkarnacja nie była specjalnie zaskoczona inwazją karaluchów. Nie zamierzała też podejmować żadnych kroków, es normal, powtarzała na swoją obronę. Jak dla mnie normalne to nie było. Po południu jednak przyszła, uzbrojona w czerwono-żółtą puszkę zabójczego płynu. Psiknęła nim szybko pod szafki, co zaciekało jednego karalucha na tyle, że wyszedł na środek kuchni. Psikała w niego z całych sił, ale karakon jedynie odszedł pomalutku.

– Chyba się uodporniły! Trzeba będzie wezwać EKSPERTÓW. Postaram się, żeby jeszcze dzisiaj przyszli. – Wyjęła komórkę i wystukała jakiś numer. W temacie karalucha pani pilot okazała się nieźle oblatana.

Expertos en control de plagas. Naprawdę tak się nazywali, zostawili wizytówkę, po tym jak wieczorem wypełnili mój domek trującym gazem za trzydzieści tysięcy

peset. Bez rezultatów. Plaga wyszła z tej akcji bez szwanku. Szczególnie przyjemnie mieszkało jej się w kuchni pod zlewem. Frida prawie nie opuszczała sypialni, czułam się przy niej bezpieczna, chyba nawet się zaprzyjaźniłyśmy i wyglądało na to, że zatrzyma się u nas na dłużej.

– Adela, ona wcale nie chce zjadać karaluchów z kuchni, a tam jest ich najwięcej! – poskarżyłam się, gdy przyszła umyć okna.

– Je, ale je od góry – odpowiedziała enigmatycznie. – Bądź cierpliwa!

I w rzeczy samej – wkrótce na piętrze nie było po nich śladu. Następnie Frida przeniosła się na parter i po tygodniu dokończyła dzieła. A potem zniknęła. Nie wiem, czy zatrzała się toksycznymi insektami, czy wyjadła je co do jednego i po prostu zakończyła swoją misję.

Odważyłam się wreszcie rozpakować uwolnione od karaluchów pudła, w których spoczywało moje rozłożone na części biuro. Zmontowałam stół kreślarski, poukładałam flamastry i akwarele, posegregowałam kartony i kalki. Świat być może poszedł naprzód i posługiwał się komputerem do tworzenia wizualizacji, ja jednak lubiłam tradycyjne rysunki. Herbert zawsze bardzo to cenił, a nawet oprawiał niektóre moje szkice i dekorował nimi ściany.

– Jesteś prawdziwą artystką – mówił. – Od razu widać, że studiowałaś za żelazną kurtyną.

Po południu zadzwonił Max, hrabia von und zu T.

Czyli przegrał ostatnią batalię na żelazne nerwy i okazywanie obojętności. Poległ. A ja wytrzymałam! Nie zadzwoniłam, nie napisałam, choć nieraz mnie korciło, żeby mu powiedzieć, jak bardzo stał się zbędny w moim życiu, nawet w sytuacjach tak ekstremalnych jak walka z karaluchami. Znalazłam dom, szkołę dla Michasia i nowych znajomych, przeprowadziłam się, urządziłam – sama! Dałam sobie radę bez niego. Poczekalam, aż telefon

przestanie dzwonić. Niech spada!

Pod wieczór zadzwonił trzeci raz. Uległam, choć akurat zajęta byłam miłą pogawędką z przystojnym sprzedawcą w dziale obuwniczym w El Corte Inglés.

– Haaalo – ziewnęłam sztucznie znudzonym głosem, puszczając oko do sprzedawcy, który klęczał u moich stóp i mocował się z zapięciem cudnego złotego sandałka. Mierzyłam je dla czystej przyjemności, bo były stanowczo za drogie, ale równie piękne jak subiekt.

– Cześć, kochanie, to ja! – przedstawił się nie wiadomo po co.

– Aaa, nie mam twojego numeru w nowej komórce... – skłamałam.

– Wszystko dobrze?

– Tak, mają tu boskie buty! A u ciebie? – Usiłowałam przyjrzeć się sandałkom, ale zasłoniły je właśnie czarne, błyszczące od brylantyny loki na głowie sprzedawcy.

Max opowiadał o jakimś przyjęciu, na którym nieznajoma dama podarowała mu pod stołem swoje majtki.

– No to się bardzo cieszę, że się dobrze bawisz! Ja zresztą też... – Nowa para butów zdecydowanie bardziej mnie kręciła niż cudza bielizna.

– Oj Masia, nie dlatego dzwonię, zupełnie nie o to chodzi.

– Nie obchodzi mnie, co robisz, jesteś chyba wolnym człowiekiem? Czy może się mylę? – szarżowałam, a tymczasem bardzo nie chciałam usłyszeć, że się nie daj Boże zakochał w pani od majtek.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że... myślałem ostatnio o tobie.

– No i co wymyśliłeś? Bo zdaje się już od paru lat myślisz i nic! – zniżyłam głos i uniosłam nogę, by lepiej obejrzeć sandałki. Boskie! – Czy złote buty nie są zbyt wulgarne? Jak myślisz?

- Tęsknię za tobą... Przyjedziesz do Wiednia?
- A po co? Udało ci się może teleportować Livię na Księżyc? Pani ekszrabina nie zdenerwuje się zaocznie, że razem mieszkamy?
- Zostaw już Livię w spokoju! Przyjedź mnie odwiedzić. Chociaż na kilka dni...
- No właśnie! Na KILKA DNI? Na kilka dni to... sobie dziewczkę wynajmij! Chyba cię stać!
- Rozłączyłam się. Sprzedawca popatrzył pytająco.
- Biorę! I te niebieskie też!
- Dobry wybór, señorita!
- Wiem! Najlepszy z możliwych!
- <sup>[6]</sup> (hiszp.) – Dzięki Bogu!

## PIANISTA

W ostatnich dniach sierpnia Rosa wróciła na Majorkę. Wakacje jeszcze się nie skończyły, ale ona, jak wyznała, chciałyby chwilę pożyć, co zapewne oznaczało, że dzieci zostały w Austrii pod opieką pana Weintrauba. Zawsze wydawało mi się, że nic, a już na pewno nie dzieci, nie przeszkadzało jej w nieskrępowanym życiu, w wolnej miłości, w chodzeniu po domu nago i wysyłaniu synów po bibułki do skrętów.

– Marihuana nie jest szkodliwa – tłumaczyła się. – Tylko tytoniowe lobby tak twierdzi. Spójrz na mnie!

Fakt. Rosamunde była piękna. Kobieta-elf, pobłogosławiona wiotką figurą i burzą czarnych loków. Twarz miała delikatną, lekko śniadą, tylko muśniętą semickimi genami. Duże czarne oczy, prosty nos i idealnie wykrojone usta upodabniały ją do modelek Modiglianiego, a wciąż dziewczęca figura w rozmiarze XXS do modnych od paru sezonów anorektyczek. A jednak Rosa była samotna. Podobała się wszystkim, ale z niewiarygodną konsekwencją spośród plejady adoratorów wybierała muzyków na socjału, bezrobotnych artystów i matrymonialnych oszustów. Gorące romanse przechodziły szybko i gwałtownie jak wiosenna burza, ale oczyszczały Rosę z nadmiaru seksualnej energii.

– Z basistą wszystko skończone – meldowała po paru tygodniach kolejnej wielkiej miłości – ale seks był rewelacyjny! Warto było.

Siedziałyśmy na tarasie jej domu w Portals przy herbacie z ziół afrykańskich, które miały oczyścić ciało i ducha ze starej energii. W moim przypadku nie wiem z czego, bo remont i przeprowadzka pozbawiły mnie wszelkich sił.

Zamiast ciasta Rosa podała suszone owoce goji i pestki

ostropestu plamistego.

– Znalazłam w kuchni pudełka po pizzy! – oznajmiła tonem inkwizytora, który przyłapał moryska na czytaniu Koranu.

– Nie miałam czasu gotować...

– Jak tak można? To zabójcze! Napij się mutzuwe. – Sięgnęła po imbryk. – To cię uwolni od toksyn.

– O nie! Wezmę sobie wody lodowej z cytryną.

Rosa wierzyła, że tylko roztopiony lód nadaje się do picia, bo proces mrożenia ma cudowny wpływ na cząsteczki wody. Najważniejszym, życiodajnym – jak mówiła – urządzeniem w jej kuchni była kostkarka do lodu. Co kilka godzin dolewała do niej wody oligoceńskiej, która zamieniała się w kostki lodu, by potem stopnieć do formy „wody życia”.

Siedziała teraz naprzeciwko mnie, z kolanami pod brodą, zawinięta w pomarańczowy sarong, spod którego wystawały bose stopy ozdobione srebrnymi pierścionkami. Właśnie przechodziła fazę buddyjską. Dzięki Bogu jej religijność zwykle kończyła się po zmierzchu, gdy Rosa zamieniała habit na super mini, a mutzuwe na szampana.

– Muszę kogoś poznać – powiedziała. – Luke i Leila wracają dopiero za dwa tygodnie, a Anakin chce zamieszkać u kolegi...

– Miałaś ich całe wakacje, zazdroszczę ci. Ja Michasia już miesiąc nie widziałam, strasznie za nim tęsknię.

– Oj, bo wy, Polki, jesteście jak kwoki. A on ma już jedenaście lat!

– Dziesięć!

– No widzisz! – Żuła pestki ostropestu. – On już jest za duży na takie matkowanie. A właśnie, byłabym zapomniała. Znowu przysłał ci faks, zobacz! – Wyjęła białą kartkę spod sterty poduszek. – Jakieś mrówki tym razem.

– To pewnie karaluchy. – Spojrzałam na rysunek

przedstawiający obłoczek z koślawym serduszkiem i całą masą dziwnych stworzeń.

– Zobacz, a to jaszczurka i Trampol, jego mazurski pies. Narysował wszystko, co najważniejsze. – Daj mi jakąś kartkę, to mu odpowiem. Chcesz pójść wieczorem do portu?

– Mam coś lepszego. – Podała mi elegancki granatowy kartonik.

Oddział Private Banking dużego szwajcarskiego banku zapraszał Rosamunde Weintraub na cocktail połączony z prezentacją luksusowych jachtów motorowych w elitarnym Club de Mar. Dress code: Resort Formal.

– Nie mogę! Nie mam się w co ubrać. Żyję na kartonach! – Odłożyłam zaproszenie. – A poza tym wyglądam strasznie.

– Musisz! Sama nie pójde.

– A ty jesteś teraz klientką private bankingu? Gratuluje! – Wzniosłam toast wodą lodową.

– Nie żartuj! Liczą na mój spadek, ale się chyba przeliczą, jeśli tatuś nie przestanie ładować pieniędzy w te synagogi.

– Jeszcze mu nie przeszło?

Jej ojciec, chowany od czasu nocy kryształowej na porządnego katolika, na starość odzyskał mojżeszową świadomość, a gmina żydowska stała się wdzięcznym tego beneficjentem.

Rosa tylko głęboko westchnęła.

– Cheers! – Uniosła kubek z mutzuwe i spojrzała na mnie.

W jej oczach można było się utopić, w tej ich ciemnej głębi, genetycznej melancholii. Nie było w nich krztyny obłudy, złości, nienawiści. Rosa kochała cały świat, choć nie zawsze świat kochał ją. Pomyślałam, że nikt tak jak ona nie zasługuje na miłość Buddy – jej nowego boga, choć do domu, do Wiednia, wciąż jeździła to na Wielkanoc, to na



Chanukę.

Wróciłam do domu i pierwszy raz od wielu dni uważnie spojrzałam w lustro. Zobaczyłam zmęczoną, trochę ode mnie starszą i mocno zaniedbaną kobietę, która za dwie godziny miała wkroczyć na salony Majorki. ¡Impossible! Solidne odrosty na spalonych słońcem włosach, wysuszona skóra, połamane paznokcie i stopy wołające o pedicure leżały jak głazy na drodze do wielkiego świata. Pozostała mi wiara w piękno wewnętrzne i słowa znanej polskiej hrabianki, która twierdziła, że prawdziwa dama powinna umieć sama zadbać o swoje stopy, niezależnie od tego, w jakich warunkach się znajdzie. Zdaje się, że miała na myśli swoje zesłanie na Sybir. Ale mój stan fizyczny też nie wskazywał na niedawny wypoczynek w luksusowym spa. Nie mogę powiedzieć, że poczułam się jak hrabina, szorując pięty pumeksem czy lakierując paznokcie zastępczo akrylową farbką Michasia. Włosy spięłam w koński ogon, twarz przetałam rozciętym liściem aloesu, a z szafy, za którą służył mi drażek od prysznicza w drugiej łazience, wygrzebałam zwykłą letnią sukienkę i złote sandaalki, mój najnowszy nabytek, który zawdzięczałam ostatniej awanturze z Makssem. W Wiedniu nie odważyłabym się na taką nonszalancję, ale tu, nowa, anonimowa ja, mogłam sobie pozwolić na wszystko. Nikt mnie nie znał, niczego ode mnie nie oczekiwał, nie porównywał, nie oceniał. Byłam wolna.

\* \* \*

Rosa zjawiała się na czas. Tuż po dwudziestej starym kombi, na wieki naznaczonym chorobą lokomocyjną małej Leili, pojechałyśmy do Club de Mar.

Klub ten, z jakichś powodów uznany za ekskluzywny, mieścił się w nieciekawym budynku z lat

siedemdziesiątych, w jachtowym porcie Palmy. Miał klasycznie przeszklone piętro i mało gustowną salę bankietową z widokiem na port.

W mocno oświetlonych wnętrzach kilkadziesiąt podobnych do siebie osób zlewało się w kolorowy, acz monotony tłum. Rozgrzane upałem ciała emitowały drażniącą kompozycję za mocnych aromatów perfum, cygar i koniaku. Zapach nowych pieniędzy. Gładko wypomadowani kelnerzy w białych mundurkach ze złotymi guzikami roznosili drinki.

Mężczyźni spieczeni na słodki karmel lub cynober gotowanego homara nosili białe lub różowe koszule, często zbyt rozpięte, co przy apetycznej opaleniznie wyglądało dość ładnie, choć tandetnie, i klubowe marynarki, bo była to jedna z rzadkich na wyspie, skrupulatnie wykorzystywanych, okazji, by takowe włożyć. Kobiety, raczej atrakcyjne i w znacznej przewadze liczebnej, były klonami Silke z agencji nieruchomości – desperacko seksowne, obwieszane błyskotkami jak noworoczne choinki na placu Czerwonym. Szczęściary, które przyszły z partnerami, trzymały się ich równie kurczowo jak swoich drogich torebek z butiku Corner przy Paseo de Born. Na widok samotnych kobiet ścisnęły swych facetów jeszcze mocniej. W powietrzu latały sztylety, a spojrzenia pań mówiły – trzymaj się, suko, od nas z daleka! Panowie dyskretnie, ponad głowami swych właścicielek, starali się szybko oszacować sytuację, taksowali wysztafirowane chude laski i wypacykowane młode kozy, które przechadzały się między tymi amatorami świeżego mięsa w pełnej krasie swych silikonowych piersi, zbyt krótkich spódniczek i za długich włosów, gotowe na wszystko i za wszelką cenę.

Siwy jak gołębek jegomość puścił do mnie oko, gdy jego żona sięgała po drinka, a ryży Holender oddał się

nieskrępowanemu studiowaniu moich nóg. Poczułam się jak filet mignon na wystawie u rzeźnika.

Rosa zniknęła w sąsiedniej sali, zwabiona prezentacją stuletniego koniaku i degustującymi go ciut tylko młodszymi facetami. Nie wiadomo po co, bo i tak pewnie wyjdzie z jedynym obecnym tu nieodkrytym i biednym jak mysz kościelna artystą.

Stałam oparta o fornirowaną czerwonym drewnem ścianę i czekałam na koniec nieudanego wieczoru. Sączyłam blad różowego drinka o smaku kompotu z mirabelek na spirytusie i udawałam, że nie widzę końskich zalotów wyperfumowanych ogierów. Od kwadransa przeglądałam cieniutką broszurkę „Inwestuj w złotą przyszłość” ozdobioną zdjęciami seksownych i dziwnie młodych emerytów na tle „najpiękniejszych miejsc na ziemi, które mogą być twoje”. Marzyłam o powrocie do mojego obecnego, wystarczająco pięknego miejsca na ziemi, przy calle Llaut, i to natychmiast, a nie dopiero na emeryturze.

– Signorina pozwoli, że się przedstawię. – Jasna czupryna skłoniła się przede mną w pas. – Sono Vincenzo, pianista. Sono italiano, a signorina?

Przede mną stał cherubinek w średnim wieku. Italiano? Blondyn z jasnymi oczami? Przezroczyście oczęta skanowały moje ciało od góry do dołu, zwalniając nieco tempo na bardziej zaokrąglonych fragmentach. Odruchowo zgarbiłam ramiona. W ogóle nie mój typ. Tandetny.

– Nice to meet you, jestem Magda, ale właśnie wychodzę. Arrivederci!

– Arrivederci? W takim razie, czy mogę zaoferować pani odwiezienie do domu? – Nie poddawał się. – Maddalena, jest pani piękna, bellissima!

Odwrociłam się na pięcie. W głębi sali stała Rosa pochłonięta rozmową z jakimś długowłosym chudzielcem, prawdopodobnie głodującym artystą. A jednak i tu takiego

znalazła! Gdy na mnie spojrzała, przywołałam ją bezgłośnie wypowiedzianym „ratunku!”. Podeszła do nas niechętnie.

– Ma pani piękną przyjaciółkę. – Vincenzo zwrócił się niby do mnie, ale tak, by Rosa nie uroniła ani sylaby. – Mogę odwieźć panie obydwie. Vincenzo Gallo, pianista. – Skłonił się.

– Rosa Weintraub! Jest pan pianistą? – Oczy Rosy natychmiast zaśniły blaskiem potencjalnej muzy.

– Proszę, tu jest moja wizytówka. – Wręczył nam po kartoniku. „Vincenzo Gallo, artysta pianista”. – Może mógłbym zaprosić panie na drinka? Mieszkam w La Mola...

– To wykluczone! – warknęłam, bo Rosa właśnie odpłynęła w marzenia o związku z Wielkim Artystą. Miała to wymalowane wielkimi literami na czole, a jej oczy świeciły jak latarnie morskie, wskazując najkrótszą drogę do celu.

– Więc przynajmniej chciałbym paniom podarować moje nagranie... – Wyciągnął z kieszeni dwie płyty. – Prego!

– Zapiszę panu mój numer! – Rosa wyjęła z torebki długopis. – Proszę dać dłoń!

Oszalała? Uwielbiała artystów, ale każde uwielbienie powinno mieć swoje granice.

Kiedy kwadrans później w drodze do domu spytałam, dlaczego dała mu swój telefon, minęło nas rozpedzone czerwone ferrari.

– Widziałaś? – krzyknęła podniecona. – Właśnie dlatego. To był on!

– Od kiedy lecisz na kasę?! A ten chudy? Przynajmniej autentycznie wyglądał.

– Czwórka dzieci, żonaty! Wiesz, jak tu ciężko o wolnego faceta! A Vincenzo na pewno jest wolny. Czuję to!

– No i?

– No i w sumie nic. Może wcale nie zadzwoni... – Zmartwiła się.

Może jednak nie chodziło o to ferrari? Może zakochała się w jego wodnistych oczach, blond koafurze i zwinnych paluszkach? Bardzo chciałam w to wierzyć. Nieziemska Rosa nie mogła przecież zniżyć się do poziomu pięciuset koni mechanicznych!

## MICHAŚ

Domek stawał się coraz bardziej „mój”, swojski i przytulny. W oknach zawisły pierwsze zasłony, a murowane ławy na tarasie wyszlachetniały, przykryte poduchami z ręcznie tkanego majorkańskiego płótna. Co do tego „ręcznie” – „hecho a mano”, miałam wątpliwości, ale tradycyjne białe, niebieskie i żółte geometryczne, lecz nieregularne wzory były i tak piękne, nawet jeśli powstały w jakiejś fabryce pod Palmą. Na pchlim targu w Consell kupiłam drewniany stół na taras, szklanki z grubego szkła w kolorze indygo i brązowe, gliniane miseczki. Oliwki, migdały, jamón serrano i różne tapas wyglądały w nich wspaniale, a butelka czerwonego wina, zwanego tu vi negre, dopełniała idealnej śródziemnomorskiej kompozycji. To było cudne. Nie mogłam się powstrzymać i zamiast skończyć obiecane Herbertowi wizualizacje biura, które właśnie projektował, uwieczniłam moją tarasową martwą naturę na kilku akwarelkach.

Wciąż meblowałam pokój Michasia, a właściwie dwie sąsiadujące ze sobą klitki, każda może po osiem metrów. W jednej zmieściło się tylko proste łóżko, szafa i małe biurczko, a druga miała służyć za bawialnię i awaryjną sypialnię dla gości. Wstawiłam tam własnoręcznie pomalowane w kolorowe grochy łóżko z second handu i kolorowe pudła z zabawkami. Z seledynowym stolikiem i pasiastymi dywanikami pokój wyglądał przytulnie.

– Będiesz go tu wysiadywać? – żartowała Rosa, która swoich synów ulokowała w piwnicy, wraz z pralko-suszarką, gdyż to pomagało ich „uziemić” w sensie holistycznym. – Marnujesz energię kosmiczną i zanieczyszczasz planetę tymi zakupami!

– Nie mogę sobie wyobrazić, że mogłabym mu nie dać wszystkiego co najlepsze... Serio!

– To może daj mu po prostu spokój!

– To przecież dziecko! No i dorasta sam, bez ojca. Przeze mnie...

– Magda! Robert był potworem! Ile razy to mówiłaś!

Może i mówiłam, ale było w tym jednak dużo przesady. Z perspektywy kilku lat i paru tysięcy kilometrów nie wyglądał już tak strasznie. Przecież udało się go namówić, by w tym roku spędził dwa tygodnie wakacji z synem bez udziału Żanety, lat dwadzieścia dwa, jego najnowszej narzeczonej z Polski B.

\* \* \*

W dniu przyjazdu Michasia wszystko było gotowe, pościel w zielone samochody powleczona, kolorowe zeszyty w równym szeregu czekały na biurku, a ja latałam po domu nakręcona jak wiejska baba przed procesją i wciąż coś poprawiałam. Z tego nakręcenia omal nie spóźniłam się na lotnisko. Stałam oparta o barierki odgradzające oczekujących od strefy przylotów już uspokojona, bo samolot wylądował bezpiecznie i tylko chwile dzieliły mnie od uściskania Michasia. Nie widzieliśmy się ponad miesiąc, w jego wieku całą wieczność, w moim pół.

Jest! Mój synek, malutki, kochany, z wielkim plecakiem i kartką na szyi „Michał Blum WAW – PMI”. Serce mocnej mi zabiło na widok mojego lustrzanego odbicia, idealnej kopii, najbliższej mi osoby, miłości i aktualnie jedyne go sensu życia.

Otworzyłam szeroko ramiona, wpadł w nie odruchowo, poczułam jego ciepłe, pachnące podróżą i owocową gumą do żucia ciało. Mocno go przytuliłam.

– Kochanie, jak się cieszę, że już jesteś!

– Nie całuj mnie przy ludziach! – Wyrwał się gwałtownie. – Nie jestem już dzieckiem!

– No widzę, widzę! Sam przyleciałeś z przesiadką, jesteś bardzo dzielny! – Pogłaskałam go po głowie.

Miał króciutko obcięte włosy, niemal ogolone, jakby chorował na tyfus. Pewnie dzieło suwalskiego cyrulika. Ubrany był w sprany dres ze Spidermanem i paskudny za mały kubraczek, który opinał się na brzuchu. Zaczynał przepoczwarzać się z dziecka w chłopca, osiągając właśnie stadium paskudnego kotlecika ze słodką buzią blond aniołka.

– Przesiadka to nic specjalnego! Przecież ja latam, odkąd miałem pięć lat! Nie pamiętasz, jak mnie tata wsadził do złego samolotu? Jakie mamy auto? Pożyczyłaś? Mam nadzieję, że jakaś fajna terenówka. Nie? Golf to słabizna. To kiedy przyjedzie nasze auto z Wiednia? A jaszczurka jeszcze jest? – paplał.

Jechaliśmy do domu najdłuższą, ale najładniejszą drogą, która prowadziła nad zatoką. Bardzo chciałam, żeby mu się wszystko na Majorce podobało.

– Poznajesz? To jest katedra, widzisz, jaka ogromna? Wiesz, dlaczego taką zbudowali? – szczebiotałam.

– Eee, już ją widziałem. Nie lubię staroci. Łódki fajne! – Odwrócił głowę w stronę portu.

– Pięknie tu, prawda? Będiesz mógł to wszystko narysować! – Zatoka w promieniach zachodzącego słońca aż kipiała kiczem. – To co, cieszysz się, że tu jesteś?

– Trochę. Zależy, jakich będę miał kolegów.

– Znasz przecież Luke'a... i jego brata Anakina... i Rose'ę...

– Luke i Anakin są przecież z *Gwiezdnych wojen!* Innych nie znam. Daleko jeszcze?

Miał trochę racji. Czemu Rosa zgodziła się tak nazwać swoje dzieci? Dobrze, że ulubionym filmem jej męża nie była *Planeta małp*.

Gdy stanęliśmy przed furtką, Michaś kwaśno zapytał:



– To ma być ten nasz dom? Chyba dla liliputów!  
– Nie podoba ci się? Trudno!  
– Może być, ale w Wiedniu był fajniejszy. – Wzruszył ramionami.

Zjedliśmy na kolację kluski z jego ukochanym pesto z tofu przywiezionym z Wiednia.

– Mam nadzieję, że dużo tego przywiozłaś. Bo ja majorkańskiego jedzenia nie będę jadł! – Mlaskał umorusany sosem. – Dziadek mówił, że tu jedzą czarne świnie.

– Czarne świnie to rarytas! Nie bój się, są za drogie na mielone! Widziałeś taras? Podoba ci się? Zobacz, jak tu miło posiedzieć. – Otworzyłam szeroko drzwi.

– Nie lubię być na dworze! – Skrzywił się. – A komputer? Kiedy go rozpakujesz? A moje farby? Gdzie są? Masz jakieś lody?

Nałożyłam mu wielką porcję. Zadowolony pogłaskał się po oponce.

– Pyszne było!

– Cieszę się! Daj buzi!

Nadstawił pyzaty policzek.

Wyraźnie zmęczony chętnie wskoczył do nowego łóżka, mrucząc pod nosem, że na pewno jest niewygodne.

– Ale za to mi poczytaj! Po polsku nie umiem. – Wcisnął mi w rękę *Chatę wuja Toma*.

– Kotku, czytaliśmy to już chyba z pięć razy, poczytajmy *Małego Księcia*!

– Nie, ja chcę to, Mały Książdz jest głupi!

– Książę, nie książdz. To poczytajmy go dziś po niemiecku.

– Po niemiecku mogę sam. Po polsku mi poczytaj! – zażądał.

– No dobrze, to w którym momencie zaczynamy? – Poddałam się.

– Jak wsiadają na statek...

Znowu był moim kochanym syneczkiem. Pachnący lawendowym mydłem, w swojej błękitnej piżamce i z ukochanym kudłatym barankiem wyglądał słodko i niewinnie. Dres ze Spidermanem i kubraczek spoczęły w osiedlowym śmietniku.

Nie dobrnęłam nawet do końca drugiej strony, gdy usłyszałam szloch Michasia.

– Kochanie, co się dzieje? – Przytuliłam go. – Smutny jesteś? Boli cię coś?

– Nie – chlipnął. – Nie wiem, dlaczego płaczę.

– Misiuniu, będzie nam tu dobrze, zobaczysz. Tu jest tak pięknie, będziesz miał fajną szkołę i kolegów.

– Ale dlaczego wyjechaliśmy z Wiednia?... – spytał przez łzy.

– Musieliśmy... Dla ciebie, żebyś miał dobrą szkołę. Cieszyłeś się przecież!

– Wcale nie chciałem wyjeżdżać! – szlochał. Nagle ucichł i spytał z wyrzutem: – A ty czemu płaczesz?

Położyłam się obok niego.

– Też nie wiem. Trochę mi się smutno zrobiło, dla mnie też wszystko tu jest nowe. Ale nie martw się. – Pogłaskałam go po głowie. – Damy sobie radę! I pamiętaj, że zawsze mamy dokąd wrócić. Wyobraź sobie, że jesteśmy na bardzo długich wakacjach.

Poczekalam, aż Michaś zaśnie, wstałam ostrożnie z łóżka i pocałowałam jego różowy, gorący od snu policzek, po czym cichutko wyszłam z pokoju.

W kuchni nalałam sobie kieliszek czerwonego wina, ale zaraz wzięłam całą butelkę i wyszłam z nią na taras. Była druga w nocy, a ja leżałam na miękkich poduchach pod gołym niebem i piłam wino z gwinta, jak lump. Noc była bardzo ciepła i spokojna, cykady grały, w oddali szumiało morze, czasem zagłuszane rykiem pędzącego skutera.

Wsluchiwałam się w te odgłosy, by nie słyszeć myśli o urojonym problemie. Dziecko ma stres w nowym otoczeniu? Ale żyje w bezpiecznym świecie, ma dach nad głową i zaliczony kalendarz szczepień. Aparat na zębach wartości małego samochodu i matkę, która za życia oddałaby mu dwie nerki i serce. Moja matka nigdy nie przejmowała się moimi nastrojami, choć byłam dzieckiem depresyjnym. Nie miała czasu, w biegu między Instytutem Weterynarii a kolejką w mięsnym. Nie miała dylematu. A ja mam.

Po co ja tu przyjechałam?

Wypiłam ostatnią kropelkę wina, prosto z butelki.

## SZKOŁA

Dom, w którym mieściła się Balear International School, nie był typowym budynkiem szkolnym, funkcjonalnym sześcianem z równym rzędem okien, lecz starym podmiejskim dworem, pośpiesznie zaadaptowanym do nowych potrzeb. Dawny ogród został zalany asfaltem i służył za boisko, a wykładany kafelkami taras był miejscem, jak się okazało, wielofunkcyjnym.

Właśnie tu, zupełnie jak rasowe przyjęcie, bo o ósmej wieczorem, rozpoczął się nowy school year. Taras odświętnie udekorowano girlandami i balonami w barwach brytyjskiej flagi, a kolorowe lampiony kołysały się na lekkim wietrze, trochę jak w chińskim karnawale. Częstowano ciasteczkami, oliwkami, migdałami i białym winem, które dzieci popijały po kątach, ale nikt oprócz mnie nie zwracał na to uwagi. Michaś natychmiast odnalazł się wśród nowych kolegów, których poznał rano na „orientation day”, i zniknął za budynkiem, zajęty bitwą na piniowe szyszki.

Stałam sama wśród kolorowego tłumu, ubranego jak na garden party, a nie szkolną wywiadówkę. Głośne rozmowy w różnych językach tworzyły nieznośną kakofonię wieży Babel. Mr Stewart Carey, wysoki, kościsty Brytyjczyk, ubrany w sprane sztruksowe spodnie, bordową kamizelkę i marynarkę w obowiązkową kratę, niemal w całości poświęcił swą przemowę szkolnej statystyce. Z dumą podkreślał, że na jedną nację przypada średnio dwa i pół ucznia, co czyni z Balear „prawdziwie kosmopolityczną instytucję”. Uprzejmie zauważył też, że w tym roku został immatrykulowany pierwszy Polak, niejaki „Majkel Blam”.

No tak, o tym nie pomyślałam. Kolejna tożsamość.

Michaś był już we francuskim przedszkolu „Miszelem”, w niemieckiej szkole Michaeliem, a teraz ten „Majkel”... Czy

z tyłoma imionami będzie wiedział, kim jest? A może współczesny świat właśnie taki powinien być? Pomieszany, wielojęzyczny, kosmopolityczny? Uwolniony od identyfikowania się z Konradem Wallenrodem, młodym Werterem czy d'Artagnanem. Nieklepiący inwokacji do ojczyzny. Bez polskiej historii samych klęsk, zdrad politycznych i bezsensownych powstań.

– Hellooo there! Pani musi być nową mamą! Miło panią poznać! Jestem Mrs Stilton, nauczycielka historii. – Wyraźnie wstawiona korpulentna brunetka ledwo wyhamowała przede mną z niebezpiecznie rozkołysanym kieliszkiem wina w ręku.

– Nice to meet you. Mój syn, Michał... yyy... Majkel, dyrektor właśnie o nim wspomniał, słabo zna angielski. Chciałabym panią uprzedzić...

– Don't worry, darling! Będzie się u nas czuł fantastycznie! Jeszcze winka? Jest pyszne, polecam! – Jej zaczerwieniona od alkoholu, a może od uderzenia gorąca, twarz płonęła jak piec martenowski.

– Nie, dziękuję... albo dobrze, napiję się!

Pół godziny i trzy kieliszki Blanc Sa Vall później byłam już całkowicie przekonana, że wybrałam dla Michasia najlepszą szkołę pod słońcem. Wszyscy byli weseli i mili, nikogo nie dziwiło moje pochodzenie, a wino zacieśniło szybko budowane więzi. Mr Carey obejmował mnie ramieniem, a zabójczo przystojny Jaume, nauczyciel WF-u pytał, czy jestem nową uczennicą. Och, jakże chętnie bym nią była! I żeby Christiane Kowalsky to widziała!

\* \* \*

Zaspałam! Przez to wino. Ale skąd mogłam wiedzieć, że wrócę z wywiadówki kompletnie pijana? Gdyby nie Jaume, który okazał się gentlemanem i moim doraźnym aniołem

stróżem, wróciłabym do domu bez samochodu i być może bez dziecka.

Budzik bezlitośnie wskazywał kwadrans po dziewiątej i ani minuty mniej.

– Wstawaj! Zaspaliśmy!

Odpowiedziała mi cisza. Michaś spał, zmęczony nocną zabawą.

– Wstawaj! – Potrząsnęłam nim. – Zaspaliśmy! Nie słyszysz?

– Zaspaliśmy? To ty zaspiałaś! Zostaw mnie! – Odwrócił się do ściany.

– Ubieraj się, musimy pędzić! Nie możesz się spóźnić drugiego dnia szkoły! Idę robić ci śniadanie, zjesz w aucie. No pośpiesz się! – Zbiegłam do kuchni. Jakieś herbatniki, banan... OK, jogurt.

– Mama, musimy być za dwie minuty w szkole! Jak mam się spóźnić, to w ogóle nie pójde! – Michaś ku mojemu zdziwieniu zjawił się w kuchni już po chwili i to kompletnie ubrany.

– Tak, wskakuj do auta! Masz! – Wcisnęłam mu do ręki banana.

– Zwariowałaś? W piżamie będziesz jechać? – Spojrzał na mnie z niesmakiem. – To wysiąde na rogu!

Podjechaliśmy pod szkołę minutę przed dzwonkiem.

Przed budynkiem wciąż kłębiły się samochody. Wąska uliczka była całkowicie zakorkowana. Uwięziona w aucie i w piżamie obserwowałam inne matki.

Niemki nie wysiadały ze swych zwykle czarnych terenowych mercedesów na monachijskich numerach. Wystrojone w pluszowe dressy od Juicy Couture w kolorze pink, który tak dobrze się komponował z mocną opalenizną, platynowymi włosami i plastikowym biustem, kryły brak makijażu albo ekscesy poprzedniej nocy pod wielkimi czarnymi okularami. Ich mężowie dolatywali do

nich, „zaparkowanych” na Majorce żon, na weekendy początkowo co tydzień, potem coraz rzadziej, a na koniec przychodziło już tylko pismo rozwodowe. W końcu zostawały na wyspie same, przyzwyczajone do leniwego, dostatniego życia, które po odejściu męża i wraz z dorastaniem dzieci coraz szybciej traciło jakość i sens.

Ubrane w bezkształtne sukienki Angielki niemodnymi samochodami w kolorze bordo przywoziły nie tylko gromadkę dzieci własnych i tych z sąsiedztwa, ale czasem jakieś sałatki i ciasteczka na jarmarki charytatywne. Zaangażowane w życie szkoły, wspierały miejscowy chór i szyły kolorowe chusty dla skautów. Na Majorce zwykle lądowały jako suplement do zatrudnionego w międzynarodowym hotelu, kasynie czy klubie, męża.

Nieliczne hiszpańskie matki w biurowych szmizjerkach podjeżdżały pod szkołę w ostatniej chwili i głośno wyganiały z poobijanych seatów zaspane pociechy, bo spieszyły się do pracy.

– Będę za piętnaście trzecia! Tylko bądź gotowy! Dziś podłączają nam telewizję! – krzyknęłam za Michasiem.

Był punktualny jak nigdy. Czekał na ulicy sam, koledzy jeszcze grzebali się w szatni. Poganiał mnie, niecierpliwił się na światłach, a gdy dojechaliśmy, natychmiast pobiegł do salonu i włączył telewizor.

– Zaraz obiad! – zawołałam z kuchni.

Znowu ulubiona pasta z pesto rosso, bo tylko to chciał jeść. Tym razem trochę oszukane. Sama je zrobiłam z suszonych na hiszpańskim słońcu pomidorów, naszej domowej bazylii i oliwy z Soller.

– Na pewno z moim ulubionym sosem, z Wiednia? Z kartonika? – upewnił się Michaś.

– Oczywiście! – skłamałam. – Jak przyjdiesz do kuchni, to zobaczysz!

– Nie, zjedzmy tu! Fajny film jest – zawołał Michaś z

salonu. – Chodź zobacz! O samolotach!

Zaniosłam talerze do pokoju.

Na ekranie telewizora pojawił się samolot, który za chwilę wbił się w wysoki budynek i eksplodował.

– Już chyba trzeci raz pokazują! – entuzjasmował się Michaś.

– Jak to trzeci?

– No tak, bo to jest naprawdę! – powiedział, jakby chodziło o wybuch piecyka gazowego w podwarszawskiej melinie.

„...un avion... Nueva York... terrorista...” – krzyczał przejęty hiszpański lektor. O Boże, to chyba jednak dzieje się naprawdę!

Downtown Nowego Jorku spowijał czarny dym. Ludzie biegali ulicami Manhattanu, w powietrzu fruwały papiery, z budynków wypadały przedmioty, a może ludzie? Tak, ludzie też. Wyglądało to strasznie, a ja prawie nic nie rozumiałam z chaotycznego komentarza dziennikarza hiszpańskiej telewizji.

– Michałku, wyjdź. Idź na taras. Nie chcę, żebyś to oglądał!

– Gorsze widziałem! Nawet trupów nie ma! – odpalił.

– Przecież tam zginęli ludzie!

– Ale ich nie pokazują. Masz jeszcze lody?

– Lody? Teraz?! – krzyknęłam. – Czy ty w ogóle rozumiesz, co się dzieje na świecie?

Popatrzył na mnie zdziwiony i uciekł do swojego pokoju. Zakradłam się pod jego niedomknięte drzwi i podejrziałam, co robi. Może szłocha na łóżku miotany zbyt silnymi emocjami?

Nie, mój syn w najlepsze strzelał do smoka z jakiejś komputerowej gry.

– Zabiję cię! Zgiń, terrorysto! – pokrzykiwał do skrzydlatego gada.



– Michaś? Powinniśmy porozmawiać o tym, co się stało, takie rzeczy nie zdarzają się codziennie... Słuchaj, to nie był film... nie powinieneś tego w ogóle oglądać. Nie chcę, żebyś miał od tego jakąś traumę. Musimy o tym pogadać! I o twoich myślach, odczuciach... – tłumaczyłam mu przejęta.

– Dobrze – zgodził się. – A zrobisz coś dla mnie? – zapytał.

Odetchnęłam.

– To przynieś mi lody! Truskawkowe! A porozmawiać możemy jutro. Nie widzisz, że gram?

Wrażliwość miał jednak po tatusiu.

\* \* \*

Bładym świtem zadzwoniła matka. Nie wróżyło to nic dobrego. Pewnie coś z Piotrusiem.

– Postanowiliśmy z ojcem, że powinniście wracać do Polski – oznajmiła zamiast powitania.

– A niby czemu i niby jak? – Ziewnęłam.

– No przecież tam jest niebezpiecznie, tak blisko do Arabów! Lepiej wracajcie!

– Wpław? Przecież wiesz, że lotniska zamknięte.

– No właśnie! Zachciało ci się wyspy, to teraz masz! Jesteście odcięci od świata! – syknęła z satysfakcją.

Dwunastego września po raz pierwszy od wielu tygodni nad Majorką nie świeciło słońce. Powietrze było ciężkie i szare. Zatokę spowiła gęsta mgła, życie jakby trochę zamarło. Przyczajona wyspa czekała na rozwój wypadków. Podobno na lotnisku koczowały tysiące pasażerów. Do portu wpłynęły pierwsze okręty wojenne. Moja mała apokalipsa majorkańska. Gdy jechaliśmy do szkoły naszym blaszanym rumakiem, włączyłam na cały regulator *Walkirię*, która idealnie pasowała do sytuacji.

– To teraz będzie wojna? – spytał Michaś, siorbiąc sok z kolorowego kartonika. – Bo wszędzie stoją żołnierze. Możesz wyłączyć tego Mozarta?

– To Wagner! Straż stoi tylko na wszelki wypadek, żeby nas pilnować.

– Ale samoloty nie latają! – upierał się.

– No bo lotnisko jest zamknięte. Wszystkie lotniska są zamknięte. Przecież pokazywali w telewizji.

– To jak się stąd wydostaniemy?

– Po co? Przecież jesteśmy tu bezpieczni. Wyskakuj, odbiorę cię o trzeciej!

W powrotnej drodze zatrzymałam się pod naszym osiedlowym sklepem, żeby kupić coś na obiad. Z trudem znalazłam wolne miejsce na małym parkingu, który o tej porze na ogół świecił pustkami. W środku panował tłok jak na styczniowej wyprzedaży w Harrodsie. Do kasy ustawiła się długa kolejka, ludzie pchali nawet po dwa wózki po brzegi wypełnione baniakami z wodą i konserwami. Butelki mineralnej szybko zniknęły z półek, więc dorzuciłam do zakupów dwie dodatkowe zgrzewki. Nie zepsują się.

W domu zaparzyłam sobie kawę z kardamonem i zasiadłam przed telewizorem. Telewizja śniadaniowa po raz pierwszy w moim domku. Ale raj, ile programów. Zmieniałam kanały stęskniona ulubionych twarzy, porad kulinarnych i prognozy pogody. Ale na każdym to samo – płonące wieżowce, zaatakowany Pentagon, parę tysięcy ofiar, krach na giełdzie, ponury Manhattan. New York, Nueva York, Nowy Jork. Cały świat skurczył się do tego miejsca, nic innego nie istniało. Jeden gorący temat w globalnej wiosce. Patrzyłam na migające obrazki, na walące się domy, uciekających z pożogi ludzi obsypanych białym popiołem, opustoszałe sklepy. Może jednak za mało wody kupiłam?

Poszłam ocenić sytuację w kuchni. Było kiepsko,

prowiantu starczyłoby zaledwie na kilka dni. A potem? Blokada Leningradu? Poza oliwkami, migdałami i cytrusami wszystko tu jest przecież importowane. Postanowiłam działać.

W hipermarkecie w Palma Nova było tłoczno. Ludzie przepychali się, blokowali przejścia, wrzucali do wózków po dwadzieścia kilogramów mąki, całe pudła mleka, brali co popadnie. Zaglądali sobie wzajemnie do koszyków, podpatrywali, wracali do regałów po jakieś niezbędne produkty, ustawiali się w długie kolejki. Pewnie też zrobili przegląd swoich spiżarni. Uległam duchowi miejsca i załadowałam wózek po same brzegi; mleko UHT na dwa kwartały, puszki z mięsem, czekoladę na handel, cukier na wszelki wypadek. Zapamiętałam z filmów wojennych, że trzeba mieć bardzo dużo wódki, więc wzięłam trzy butelki.

Ledwo dopchałam do kasy wózek ciężki jak traktor.

– Magda? Robisz imprezę? – usłyszałam za plecami głos Rosy.

Uśmiechała się ufna i pełna bezwarunkowej miłości do wszechświata. Odwróciłam się. Była ubrana w koszulkę z Che Guevarą na piersiach i srebrną pacyfką na szyi. Czyżby zdradziła Buddę z rewolucjonistą? W jej wózku spoczywała chuda kura ekologiczna i sucha karma dla psa.

– Wolę mieć zapas... Pamiętam z Polski, co to są puste półki – tłumaczyłam się niezręcznie.

– Możesz trochę tego przywieźć na manife. W sobotę!

– Na co?

– Love and Peace Party! Protest, rozumiesz? Manifestujemy, że się nie zgadzamy na wojnę na świecie. – Rosa promieniała. – Moi znajomi z Montpellier mieszkają w głębi wyspy na kompletnej wsi, będzie ognisko i love & peace. W takiej sytuacji trzeba jakoś zaprotestować i walczyć o pokój...

– A ktoś to w ogóle zauważy?

– Nie o to chodzi – pokręciła głową – wystarczy, że uwolnimy dobrą energię w kosmos... To wspólna przestrzeń. Kupiłaś tyle jedzenia, to ugotuj coś! Każdy coś przyniesie. Dress code Dzieci Kwiaty! Rozumiesz, all you need is love... – zanuciła.

– Dzieci Kwiaty? Lata siedemdziesiąte? – Pomyślałam o Studiu 54, złotych dzwonach, obcisłych cekinowych żakietach i perukach w stylu afro. Bardzo sexy, ucieszyłam się.

– Hipisi, wolna miłość, *Hare Krishna!* – zawołała. – To cię powinno zainspirować. Wszystko dostaniesz w India Shopie. I nie martw się, Vincenzo też jedzie, zabierzesz się z nami!

\* \* \*

Salon mody indyjskiej śmierdział dymiącymi kadzidełkami. Nie znoszę tych klimatów, odkąd dostałam dyzenterii w Bombaju, i to podczas podróży poślubnej. Być może to właśnie dlatego moje małżeństwo z Robertem Blumem okazało się nieudane. Z prędkością światła i na jednym wdechu przeleciałam przez sklep, zrywając z wieszaków batystowe kreacje, konsekwentnie pozbawione formy i krawieckiego kunsztu. Moda dla konsumentów chicken masala i tłustych placków naan. Kolorowe wory idealne dla wiecznych studentek, kościelnych chórzystek i emerytowanych hipisek na Goa.

Po szybkiej selekcji w przymierzalni zdecydowałam się na wyszywaną świecidełkami białą tunikę do kolan. Właśnie wiązałam na czole plecione rzemyki, nucąc Hare Krishna, gdy gdzieś pod stertą kolorowych ciuchów zadzwonił telefon.

– Maddy, to ja. Odebrałem twoją pocztę, jak prosiłaś. Wyciągi z konta, katalogi... – Max zaczął od najmniej dla

mnie istotnej informacji w dniu, kiedy świat stanął w obliczu wojny, a ja w obliczu ostatecznego zrujnowania swojej tożsamości płciowej poprzez nietwarzowe ubranie.

– Poczcie? A ty w ogóle się nie interesujesz tym, co się dzieje na świecie? – wrzasnęłam głośniejszym głosem niż dudniący w sklepie solówka na tamburynie. – Wiesz, nie za bardzo mogę teraz rozmawiać, jestem akurat zajęta... mam ważne spotkanie.

– Chyba w Bollywood!

– Co?

– A ta muzyka? Znowu kłamiesz. Posłuchaj mnie!

– Naprawdę nie mogę.

– Tęsknię za tobą!

– Nagle? Co się stało?

– Przecież wiesz, że zawsze... – szepnęłam.

Jak ja lubię ten jego miękki głos.

– A nie możemy tak choć przez telefon, no wiesz...?

– Co przez telefon?!

– Mam taką ochotę na ciebie... – sapałam. – Gdzie jesteś?

Zrobisz to ze mną?

– Teraz? Zwariowałaś?

– Rozpinam spodnie...

– Pieprz się sam, zboczeńcu!

– Poczekaj! Kocham cię!

Wyłączyłam telefon. Szybko zapłaciłam i wściekła wybiegłam ze sklepu. Od razu zauważyłam na wystawie obok piękne espadryle na koturnach. Uszyte były z batikowego płótna w kolorze morskiej zieleni. Musiałam je mieć! Pasowały jak ulał. Sprzedawczyni podała mi różowy pakunek. Natychmiast poczułam się lepiej.

## LOVE, NOT WAR

Tymczasem nadciągało inne kipiące testosteronem wyzwanie – Vincenzo.

Rosa pojechała już wcześniej, by pomóc gospodarzom w przygotowaniach, a mnie czekało przymusowe tête-à-tête z szarmanckim szoferem.

Punktualnie o dwudziestej z rasowym rykiem rajdowych silników podjechał pod dom. Tym razem prowadził lamborghini, żółte jak omlet z ekologicznych jajek, tylko bardziej kanciaste. Ubrany w tego samego koloru koszulkę z byczkiem na piersi wyskoczył z potężnego samochodu z wdziękiem wielkanocnego kurczaczka. Przebrany za własne auto nie wyglądał jak „dziecko kwiat”, ale z drugiej strony, czy ktoś widział żigolaka w hipisowskich szatach? Nic tak nie pozbawia faceta męskości jak sandały albo gacie jogina.

– Ciao, bellissima! – Objął mnie w talii i przeszył spojrzeniem włoskiego albinosa.

Musiał wspierać się przy tym na palce, bo nawet w płaskich, rzemykowych sandałkach byłam od niego wyższa. Dla niego zrezygnowałam z włożenia nowych espadryli na koturnach! Z czystej empatii i poczucia winy, że to ja urosłam, a nie on. Wycałował mnie z dubeltówki w policzki i cmoknął w rękę. Znalazłam się w duszącej chmurze zapachu wody kolońskiej Dunhill Desire, której butelkę zawsze miał przy sobie.

– A to co jest? – Pokazał mój koszyk.

– Kurczak w sosie pomidorowym z bazylią. Składkowy.  
A ty nie masz nic?

– Mam ciebie, bella! To lepsze niż wszystkie kurczaki! Prego! – Otworzył mi drzwi. – Czy koniecznie chcesz jechać do tych dziwnych ludzi? To jest dość daleko, a poza tym nie wiem, czy tam w ogóle trafimy. Rosa nie umiała

wytłumaczyć, gdzie to jest... – przerwał, bo zauważył, że stawiam brytfankę z drobiem pod bezcennym sportowym siedzeniem.

– Nie martw się, jest szczelnie zamknięta! – uspokoiłam go. – Zakleiałam folią!

Usiadłam ostrożnie w czarnym, skórzanym fotelu. Boże, jakie to niewygodne. Vincenzo zatrzasnął za mną drzwi i przebiegł przed maską na swoje miejsce. Prostak! Zawsze na to zwracałam uwagę na pierwszej randce. Max hrabia von T. nigdy nie defilowałby damie przed nosem!

Vincenzo oparł szczupłe dłonie na kierownicy, odwrócił głowę i dokładnie przestudiował moje opalone nogi, które właśnie w całej okazałości wylazły spod kusej tuniki, aż po same koronkowe majtki. Zawstydzona położyłam sweter na podolku. Co mnie napadło, żeby w ostatniej chwili zrobić z hinduskiej szaty supermini?

– Magdalena, cara mia, może lepiej pojedźmy do Portals albo do mnie na drinka? – Położył mi dłoń na kolanie i posłał mdłe spojrzenie, elektryzujące jak bateryjka R20. Jego ręka powoli, acz stanowczo przesuwiała się ku górze.

Straciłam ją jak natrętną muchę, gdy dotarła do połowy uda.

– Chyba się nie zrozumieliśmy! Jedziemy na imprezę albo wysiadam! – wydarłam się jak rasowa Włoszka po angielsku.

Vincenzo mruknął coś do siebie, z czego zrozumiałam tylko „Madonna”, i ruszył z piskiem opon, zostawiając za sobą czarne przypalone ślady na asfalcie. Hormony najwyraźniej spłynęły mu do prawej stopy, gdyż w zaledwie kilka minut rozpędził jajeczny samochód do ponaddzwiękowej prędkości. Bałam się, bo śmierć samotnej matki podczas randki z tandetnym lowelasem nie była końcem, jaki dla siebie planowałam. Stanowczo za mało

klasy.

Jechaliśmy autostradą na północ Majorki. Za Consell Vincenzo skręcił na Santa Eugenia, a potem na Cas Canar. Na bocznych drogach wytracił nieco szybkość, zaczęłam głębiej oddychać, ale nie na długo. Okolica robiła się coraz bardziej wyludniona, jechaliśmy wzdłuż niekończących się kamiennych murków dzielących wielohektarowe posesje. Było już zupełnie ciemno i pomyślałam, że właściwie nie znam tego typu, który może za chwilę okazać się gwałcicielem lub seryjnym mordercą. Miał tu idealne warunki – na odludziu, bez świadków. Gdy nagle zjechał na pobocze, byłam prawie pewna, że zaraz wyciągnie z bagażnika lewarek. Z rozłupaną czaszką i zdartymi majtkami będę wyglądać strasznie.

– Porca miseria! Gdzie ci ludzie mieszkają?! Podaj mi mapę! – rozkazał rozgoryczony, po włosku histeryczny. – No widzisz, nawet na mapie tego nie ma! Son Francois! Nie ma takiej wsi!

Miał rację, nie było takiej wsi. Tak nazywała się nieoficjalnie posiadłość francuskiego fotografa, François Poitiera, a adres „Son Francois, Carretera de Sineu km 24” oznaczał jedynie, że na dwudziestym czwartym kilometrze prowadzącej do Sineu drogi należało czujnie rozglądać się za celem. Nie wiem jak, ale w końcu go znaleźliśmy.

Dumnie brzmiąca „Finca Son Francois” okazała się rudera, której brzydoty i tandety nie skryła nawet ciemna noc. Kiedyś musiała być gospodarstwem raczej biednego chłopca, brakowało jej solidności klasycznych zabudowań i rozmachu wielkopańskich rezydencji. Działka była nierównym klepiskiem, wyschnięta pobrużdżona ziemia, przetykana płaskimi kamieniami, gniotła w stopy. Oświetlała go jedna smutna latarnia powieszona na słupie doprowadzającym prąd do posesji.

– Na pewno chcesz tam iść? – spytał Vincenzo, wciąż



nie odchodząc od lamborghini, które zaparkował wśród porzuconych starych, poobijanych pojazdów.

– Nie bój się! Nikt ci go nie ukradnie! Są na to pewnie zbyt pijani!

Podreptał za mną, ostrożnie stawiając wąskie stóпки w eleganckich bordowych trzewikach z frędzelkami. Burczał coś niezadowolony, ale nie miałam dla niego litości. Niech będzie moim Małym Rycerzem. W rozmiarze XS.

Przeszliśmy przez otwarte drewniane wrota domu. Tuż za progiem stały sklecone z desek i skrzynek prowizoryczne stoły zastawione jedzeniem w tandetnych plastikowych pojemnikach. Dyskretnie dostawiłam mojego kurczaka al pomodoro w eleganckiej kamionkowej brytfance, przeczuwając, że już nigdy jej nie zobaczę.

– Tam ktoś jest. – Vincenzo pociągnął mnie w stronę ogrodu. – Idziesz jej szukać czy wracasz ze mną?... Ja tu nie zostanę!

– Ale byłeś umówiony z Rosą... Zapomniałeś?

– Moglibyśmy teraz leżeć u mnie, na tarasie, pod gwiazdami, z szampanem... – Polizał mnie po szyi.

– Nie dotykaj mnie! – Odsunęłam go. – Poczekaj tu na mnie, zaraz ją znajdę.

Wyszłam do ogrodu. Błąkałam się wśród ludzi, którzy mnie nie znali, nie witali, nie byli ciekawi, kim jestem i co tu robię. Zajęci byli sobą, ale nie sączyli eleganckich drinków, nie wymieniali uśmiechów i uścisków dłoni, tylko kiwali się w rytm muzyki, leżeli na trawie, dotykali się, coś szeptali. W ciemności nie mogłam rozpoznać ich twarzy, patrzyłam bezradnie na tę pantomimę duchów i zjaw w długich, jasnych szatach. Wypytywałam o Rosę, ale oni kręcili głowami albo odpowiadali pustymi spojrzeniami. Ty też nie znasz Rosy? Austriaca! From Vienna! Nie? Gdzie ja jestem? To jakiś eksperymentalny teatr czy co?

– Vincenzo!

Rozejrzałam się. Nie było drania, nie miałam siły szukać go w tych ciemnościach. W końcu jakiś chłopak wskazał mi Rosę. Siedziała w kucki przy ognisku i uśmiechała się łagodnie.

– No jesteś! – powiedziała bez emocji, ni to z radością, ni to z wyrzutem.

– Błądziliśmy...

– Masz! – Wyciągnęła do mnie rękę ze skretem, który lekko jarzył się w ciemności. – Dobrze ci zrobi, pewnie Vincenzo cię wkurzył. – Zachichotała.

– Nie, dzięki, mam po tym doła. – Nie lubiłam marihuany, odkąd w czasach studenckich po wypaleniu jakiegoś trefnego jointa wpadłam w długą depresję. – Pójdę może coś zjeść.

– O tak! Idź, idź, dobrze się poczujesz. Ja tak się najadłam. Ledwo się ruszam, ale czekaj! Pójdę z tobą – z trudem się podniosła – a potem będziemy tańczyć. Baila! Baila! – zakręciła biodrami.

Chwiejnym krokiem poprowadziła mnie z powrotem do sieni ze stołami. Hojnie nałożyła mi górę trudnych do określenia potraw. Cieniutki plastikowy talerzyk uginał się pod ich ciężarem.

– Widelce się skończyły. – Podała mi łyżeczkę do herbaty. – Spróbuj!

Danie przypominało rozgotowaną soczewicę w brązowym sosie i bardzo mocno pachniało. Nie smakowało mi.

– Rosa, to jest ohydne. Mdli mnie...

– Nie wygłupiaj się! Wiesz, ile w tym haszu?! Nie może się zmarnować! Jedz, nie marudź, Magda! Robisz to dla pokoju na świecie! Zaraz lepiej się poczujesz... bosko, bosko! Peace! – Złożyła palce w literę V, a błyszczące oczy o wielkich źrenicach wzniosła teatralnie ku niebu.

W imię światowego pokoju zjadłam kilka kulek

sojowych w sosie haszyszowym, popiłam ciepłym winem i zagryzłam kosmicznymi ciasteczkami. Chciałam głębszego sensu, to mam. Misja pokojowa, poważna sprawa. Jeszcze dwa ciastka, a mianują mnie ambasadorem ONZ.

Nagle poczułam się bosko i wszechmogąco. Dokładnie tak, jak obiecała Rosa. Jakiś miły człowiek podał mi na wpół wypalonego jointa, którego posłusznie dokończyłam, głęboko się zaciągając. Teraz ja też byłam częścią tego dziwnego kosmosu. Naokoło mnie sami przyjaciele, najprawdziwsi. Kochałam ich, chyba z wzajemnością, przepelniała nas kosmiczna miłość. Było cudownie. Trzymaliśmy się za ręce, tworząc niezgrabne kółko. Graniaste. Bardzo mnie to śmieszyło. Chichotałam i mój własny chichot rozśmieszał mnie jeszcze bardziej. Jak pięknie! Koło kręciło się wokół ogniska raz w lewo, raz w prawo. Wirowałam w szalonym tańcu, i już nie wiedziałam, czy to ziemia się kręci, czy ja. John Lennon śpiewał po raz kolejny „Give Peace a Chance”. A my razem z nim.

– *All we are saying...* – wyłam.

– *Make love not war!* – wrzeszczał tańczący obok mnie facet.

– *Love, not war* – powtórzyłam za nim ogłupiała.

– *Yeah, love! So let's fuck, baby!* – Odwrócił się w moją stronę. Nie widziałam dobrze jego twarzy, tylko łapczywe oczy szklące się w ciemności. Narkotyczna samcza żądza wylazła spod pacyfistycznego przebrania. Był odrażający. Oprzytomniałam. Wyrwałam dłoń z wilgotnego uścisku. Niezrażony niepowodzeniem zaczął rozpinać koszulę. Instynktownie cofnęłam się i wpadłam wprost na stojącą za moimi plecami dziewczynę. Tulila do piersi jakieś białe zawiniątko. Pomyślałam, że może niemowlę.

– Co to? – zapytałam.

– To pokój! Gołabek pokoju! – odpowiedziała dziewczyna, ucałowała niemowlę i teatralnym gestem

podrzuciła je w górę. Dziecko odfrunęło w ciemną noc. Zupełnie mnie to nie zdziwiło.

Coś przeskoczyło w moim mózgu i nagle zrozumiałam, że to był zwykły szary gołąb. Gołąb? Skąd on się tu wziął? A może mi się zdawało? Może to wszystko było snem, cudownym, lekkim. Nirwana. Wyzwolenie od cierpienia, oderwanie od życia i śmierci.

*Hare Krishna, Hare Krishna,  
Krishna, Krishna, Hare, Hare.*

Odplynał gdzieś Nowy Jork i wszystkie problemy tego świata. Vincenzo też. To nie była jego bajka. Nie tego dupka! My, dzieci kwiaty, mieliśmy przecież naszą misję na ziemi, ratowaliśmy planetę. Love, not war!

## ZAMKI NA PIASKU

Świat nie usłyszał naszego protestu, a ja nie usłyszałam słowa od Vincenza, nawet zwykłego przepraszam, a przecież taksówka z Son Francois w środku nocy kosztowała mnie tyle co przyzwoite szpilki. Inwestycja w światowy pokój, biorąc jeszcze pod uwagę zakupy w India Shopie i utratę brytfanki, okazała się większa, niż planowałam.

Herbert też nie miał dla mnie dobrych wiadomości.

– Kolejny klient się wycofał, wszystko przez ten kryzys – stękał. – Zupełnie poważnie ci radzę, żebyś pomyślała o innej pracy. W naszej branży nie wygląda to teraz różowo.

Jak to? Wszystko się wali? Wpadłam w panikę i w pierwszym odruchu chciałam uspokoić nerwy w nowo odkrytym butik Cindarella, gdzie widziałam bajkowe pantofelki.

Ale zrobiłam inne głupstwo.

Zaprosiłam Maksa. Uległam. Nie jestem konsekwentna i dałam się nabrać na nocne telefony. Na obietnicę wszystkiego i niczego, lepkie komplementy, głębokie westchnienia i czułe słówka szeptane elektryzującym tembrem po północy. Na cięty dowcip i bystry umysł. Na jego styl i klasę, za którymi tęskniłam, bo brakowało ich wszystkim facetom na wyspie. Na kilkaset lat kindersztuby i pałacowego sznytu, które wypełniały każdą komórkę jego ciała, uczulając mnie na wszystko co nieszlachetne i proletariackie. Tęskniłam za tym, tak jak rosyjski burżuj za kawiozem po rewolucji październikowej. Szczególnie na tle doświadczeń z tandetnym Vincenzem i najaranym hipisem Max bardzo zyskał w mojej pamięci. Ostatnio nawet nie mogłam zasnąć bez jego codziennego telefonu.

Zrobiłam duże zakupy na targu w Santa Catalina i upiekłam migdałowe ciasto, które tak bardzo lubił.

Przygotowałam gościnny pokoik, postawiłam świeże kwiaty, karafkę z wodą na nocnej szafce, wszystko jak z żurnala. Niech zobaczy, jak pięknie mieszkam, i niech żałuje, że nie przyjechał tu ze mną. Niech podziwia najcudowniejsze miejsce pod słońcem, które mogło być jego. Frajer!

\* \* \*

Na lotnisku prawie go nie poznałam. Zmężniał, schudł i wyprzystojniał. Zaczął o siebie dbać, wrócił na rynek w nowych piórkach, wystrojony, z włosami dłuższymi niż zwykle. Wyglądał za dobrze i to mnie cholernie złościło. Łajdak!

Objęliśmy się na powitanie, niby przyjacielsko, niby obojętnie.

– Stęskniłem się za tobą... – szepnął.

– Chodź, Michaś czeka w samochodzie. – Odsunęłam go.

Prosto z lotniska pojechaliśmy na Es Trenc, najpiękniejszą plażę Majorki, szeroką, dziką, z białym, drobnym piaskiem. Z luksusowych jachtów, które parkowały w zatoce, wyskakiwały zgrabne nimfy, pewnie ukraińskie modelki. Z gracją, do szmaragdowej wody, na główkę. Bogacze w wieku andropauzalnym przywozili je tu pokazać konkurencji. Patrzcie, na co mnie stać! Natasza, Lena, Wiera, wszystko co najlepsze!

Samochodem trudno się tu było dostać. Droga kończyła się daleko za wydmami, na gorącym jak piekło parkingu. Ale ja znałam lepszy dojazd, przez salinas, morskie mokradła, gdzie zbierano kwiaty morskiej soli, flor de sal. Stróż za parę peset pozwolił nam przejechać. Zabraliśmy z auta stylowy kosz z jedzeniem, butelkę wina i ręczniki, specjalnie zakupione na ten dzień. Trzy dni myślałam, jak to wszystko pięknie i idealnie przygotuję. Ale

i tak najważniejsze było nowe bikini. Niech podziwia i cierpi!

Na plaży Michaś, ubrany w długą koszulkę, którą zakrywał oponkę, od razu zabrał się do budowania zamku z piasku, byle tylko nie narażać się na rozebranie do majtek i propozycję wspólnej kąpieli. Nabierał ostatnio świadomości ciała, wstydił się wszystkiego i unikał osiedlowego basenu. Przed wakacjami był jeszcze szczupłym blondynkiem, słodkim chłopczykiem, a wrócił z nich już jako tustawa poczwarka z mysimi włosami i spuchniętą buzią. Zupełnie jak Nel z *W pustyni i w puszczy*, która pod koniec filmu też zamieniła się w pokwitający baleron. Współczułam mu i wcale się nie dziwiłam, że najchętniej stałby się przezroczysty.

Za to Max w obcisłych kąpielówkach korzystał z okazji, by prezentować swoje nowe, starannie wyrzeźbione ciało. Kładł się na kocu albo bez sensu przechadzał brzegiem morza, udając zainteresowanie Michasiową budowlą. Z przodu, z tyłu, z boku, biceps, triceps, gluteus maximus na mocnych pośladkach. Piękny, opalony, apetycznie naoliwiony pachnącym sun blockiem. Podglądałam go dyskretnie, znad gazety, skanowałam to muskularne ciało, nieskazitelne, perfekcyjne, idealne. Spojrzałam na moje zadrapane kolano, odpryśnięty lakier na dużym palcu i szczelnie przykryłam się ręcznikiem. Nie wiem jak, chyba trzecim okiem, nie patrząc wcale na mnie, od razu to zauważył. Podszedł, stanął nade mną. Chwycił za rąbek ręcznika i zsuwał go ze mnie pomału. Centymetr po centymetrze.

– Jesteś piękna! – powiedział.

Ręcznik zsuwał się coraz niżej, a gdy odkrył mój brzuch, byłam już gotowa na wszystko, z szybkim numerkiem na plaży włącznie. Wbrew sobie i solennym postanowieniom... Z drugiej strony trzymiesięczny celibat

powinien być okolicznością łagodzącą, a seks z eks i tak zostanie w rodzinie.

– Po co się tak zakrywasz? Chcesz zobaczyć, jak mi się podobasz?

– Trudno nie zauważyć! – uśmiechnęłam się do jego zbyt obcisłych kąpielówek.

– Jedźmy już! – Przesunął palcem po moim brzuchu, od mostka aż po biały trójkąt nowego bikini. Nie zdążyłam się nawet zastanowić, czy to dobry pomysł.

– Mama, pić mi się chce! – Michał Blum odezwał się w najbardziej nieodpowiednim momencie; jeszcze przed chwilą głuchy jak pień na moje prośby, by włożył czapkę, nagle zdawał się słyszeć każdy dźwięk, jak nietoperz.

– Pić!!! – piszczał mi już nad głową.

Podaliśmy mu sok. Usadowił się na moim ręczniku i najgłośniej jak mógł siorbał napój z kartonika. Zaznaczał teren.

– Ty też się czegoś napijesz? – zapytałam Maksa.

– Nie, pójdę się przejść – odparł kwaśno i odszedł w kierunku łódek. Michaś patrzył za nim zadowolony.

Wieczorem Livia zaatakowała. Ktoś musiał jej powiedzieć, że Max jest na Majorce. Może nawet on sam. Przez cienkie drzwi gościnnej sypialni, w której się schronił, słyszałam, jak ciągle dzwonił jego telefon, a on za każdym razem cierpliwie coś tłumaczył, przeproszał, uspokajał. Znałam te nocne telefony Livii, jej chropowaty, niski głos jędzy, jej wrzaski i pogróżki. Jej technikę terroru. Budziła kolejno swoje trzy córki, darła się na nie, aż zaczynały płakać, i szlochające wlokła do telefonu.

– Widzisz, skurwysynu, coś narobił – krzyczała do słuchawki. – One przez ciebie płaczą! Słyszysz?! Przez twoje dziwki!

– Livia, kochanie, uspokój się! – prosił łagodnie. – Celia? Tu tatuś, nie płacz proszę, wszystko będzie dobrze.



Tatusz bardzo cię kocha.

– Ty sukinsynu! Kłamiesz! Żebyś zdechł! Słyszysz, jak płacze twoje dziecko! Zabiję cię i te twoje kurwy! – hrabina dopiero się rozkręcała.

O drugiej w nocy zmęczona nadśluchiwaniami, powrotem duchów przeszłości, trupów zamiecionych pod dywan, tym wszystkim, od czego uciekłam, włożyłam zatyczki do uszu i poszłam spać.

\* \* \*

Wstałam późno. Max zdążył już przygotować śniadanie. Znowu był sobą, prawdziwym smakoszem, obżartuchem. Nikt tak nie lubił jeść jak on. Ale i gotować. Owoce, chyba wszystkie, jakie miałam w lodówce, pokroił z precyzją chirurga, müsli uprażył w piekarniku, spienił mleko do kawy i brał się właśnie do smażenia tortilli.

– A może wolisz jajka po benedyktyńsku? – spytał.

– Chyba wolę po wiedeńsku – odpowiedziałam naszym starym grepsem i odruchowo omal nie chwyciłam go tam, gdzie nie powinnam.

Uśmiechnął się.

– Michasia właśnie oddałem w dobre ręce twojej koleżanki... więc chyba się skusisz. Zrobiłem mu kanapki na drogę, bo odmówił śniadania.

– Kochany jesteś! Ale sama wolałabym decydować, co będzie jadł mój syn – wysyczałam, bo właśnie przypomniał mi się nocny spektakl.

Popatrzył na mnie jak psychiatra na prywatną pacjentkę, z pełną akceptacją i wyrozumiałością. Na tle jego eksmałżonki i tak byłam ostoją spokoju. Nieraz testowałam granice jego wytrzymałości, ale nigdy nie udało mi się do nich zbliżyć. Nawet gdy sprowokowana jakimś wybrykiem Livii pocięłam jego ulubiony krawat na drobne paseczki,

wyjął bez słowa odkurzacz i uprzątnął ścinki. I jeszcze mnie przeprosił!

Śniadanie było pyszne. Świeży sok z pomarańczy, jajka ugotowane co do sekundy, kawa aromatyczna jak w mediolańskim barze. Już dawno takiego nie jadłam.

Dzień spędziliśmy leniwie, wylegując się na tarasie, pływając w basenie i skrętnie unikając tematu nocnych telefonów Livii. Max myszkował po mojej spizarni, wyciągnął z zamrażalnika zapomniane krewetki, przerobił mój doniczkowy zielnik na aromatyczną sałatę, a tabliczkę czekolady na nieziemski mousse au chocolat.

Wieczorem zjedliśmy romantyczną kolację w Port Alt, w małej knajpce na brzegu urwiska. Wakacyjny nastrój i butelka mocnego wina katapultowały nas do przeszłości, do pierwszych zachwytów i gorących emocji. Całowaliśmy się na plaży, a potem w aucie jak amerykańskie małolaty w samochodowym kinie.

– Może jednak wygodniej będzie w łóżku? – zapytał.

Gdy tam dotarliśmy, zadzwonił telefon. Znowu Livia, wysuszona wiedźma! Stojąca wyżej w wirtualnej K.u.K. hierarchii księżniczka skoligacona z królewskimi rodami. Max, zwykły hrabia z Karyntii, bał się jej, wybaczał, szanował i czcił. Gdy ją poznał, była zależna od kokainy i dealera, który, jak plotkowano, miał być sprawcą jej nieślubnej ciąży. Max przyspieszonym ślubem na książęcym zamku uratował ją przed skandalem. Trzy miesiące później na świat przyszła pierwsza hrabianka von T., a potem jeszcze dwie, podobne do Maksa. Bajka prędko zamieniła się w koszmar. Livia szalała, rzygała, groziła samobójstwem, a bulimia pomału zżerała jej zęby i domowy spokój. Stary książę W. finansował kolejne kuracje córki w szwajcarskich klinikach, a Maksowi przypominał o małżeńskich obowiązkach, także teraz, piąty rok po rozwodzie.

Krzyki i telefony trwały do rana. Poszłam do swojej sypialni i nie zmrużyłam oka. Czekałam na moment, kiedy znowu definitywnie usunę całą rodzinę von T. z mojego życia. To przecież chore! On też. Popaprańcy, genetyczne mutanty.

– Kochanie, jak się spało? – przywitał mnie rano w kuchni, świeży i pachnący właśnie zmieloną kawą.

– Pakuj się! – warknęłam.

– Co? Mam samolot dopiero po południu...

– W takim razie ja się spakuję. Jadę z Michasiem na piknik. Wystarczy, że zatrzaśniesz drzwi – delektowałam się swoim sadyzmem.

– Michaś jest przecież u Rosy. – Max wyglądał na zaskoczonego. – Co ci się stało?

– Ty się jeszcze pytasz? – Chwyciłam jego telefon. – Po co tu przyjeżdżasz? Nie możesz bez niej dnia przeżyć? – Wymachiwałam komórką.

– Jak chcesz, to wyłączę telefon.

– Trzeba było wyłączyć wczoraj!

Chaotycznie i bez sensu wrzucałam rzeczy do piknikowego kosza. Max w milczeniu obserwował, jak miotam się między kuchnią i samochodem. Poddał się, nigdy o nic nie walczył, elegancki hrabia, francuski piesek. To wkurzało mnie najbardziej.

– Naprawdę nie mogę jechać z wami? – zapytał jakby nigdy nic.

– Nie!!!

Odjechałam wściekła. Które to już nasze rozstanie? Dziesiąte? Głupie i histeryczne jak setny odcinek telenoweli.

A jednak tym razem coś było inaczej.

Nawet najdłuższa telenowela kiedyś przecież się kończy.

## KOSMITA

Rosa uznała, że przyda mi się trochę rozrywki, a jej – odnowienie znajomości z pianistą, który najwyraźniej przestał się już boczyć za nieudany wieczór w Son Francois.

– Vincenzo dzwonił! – zapiała radośnie, jakby chodziło o telefon od hiszpańskiego następcy tronu. – Jesteśmy zaproszone na drinka. Musisz ze mną jechać!

– Mowy nie ma! Nie chcę go znać. Poza tym mam doła po Maksie. Nigdzie nie idę!

– To się chyba nigdy nie skończy! No i po co go zapraszałaś? Ale drink dobrze ci robi. Nie chcesz zobaczyć, jak mieszka Vincenzo? Podobno ma niesamowity dom w La Moli, powinno cię to zainteresować chociażby zawodowo... – przekonywała. – Tylko na chwilę, a potem pojedziemy same do Palmy, Anna wróciła!

\* \* \*

Willa, w której mieszkał Vincenzo, położona była na stromym brzegu półwyspu La Mola, najdalej wysuniętym w morze, więc i najdroższym. Domy, przeważnie z lat osiemdziesiątych, okresu pierwszego potopu niemieckiego, były brzydkie i budowane bez polotu. Starsze uchodziły za prawdziwe rarytasy i zwykle wciąż pozostawały w majorkańskich rękach. Trudno je było kupić, a ich ceny już dawno poszybowały w otchłań absurdu. Więc gdy czarna kuta brama wolno się otworzyła i ukazała klasyczną wielkopańską posiadłość, Rosa powiedziała z satysfakcją:

– No widzisz! Warto było przyjechać!

Fakt. Jej nowe, cieliste szpilki od Louboutina, które na tak wyjątkową okazję wyciągnęła z szafy, niesamowicie wydłużały nogi. Przyglądałam się im z zachwytem.

Gospodarz czekał na wysypanym białymi kamykami

podwórzu. Ubrany w czerwoną koszulkę polo i także pantaloni, prawdopodobnie pod kolor ferrari, wyglądał jak czerwony krasnal na śniegu. Obdzielił nas sprawiedliwie porcją soczystych buziaków na przywitanie i podwójnym okrzykiem „bellissima!”.

– Vieni, wejdziemy przez garaż! To kiedyś były piwnice na wino, ale teraz leżakują tu większe skarby!

Cieniutkie obcasy jej szpilek wpadały między białe kamyki. Rosa szła przez dziedziniec jak kulawa czapla.

Skarby Vincenza, wypucowane i lśniące, stały zaparkowane w równym rzędzie: czerwone ferrari, żółte lamborghini, zielony jaguar, srebrny bentley, czarny range-rover i biały mercedes. Nie przypuszczałam, że zawód pianisty może być tak intratny. Matce by się spodobał – elegancka praca, czyste paznokcie, wielki świat! Vinzenzo z czułością poklepywał samochody. Belle! Jeśli drogie auta faktycznie są ersatzem brakujących centymetrów, penis Vincenza po prostu nie miał prawa istnieć.

– O kurde! Wszystkie kolory tęczy! – zachwyciła się Rosa.

Vincenzo wyszczerzył śnieżnobiałe licówki. Kolorystycznie właśnie zlał się w jedno z czerwonym ferrari. Masakra. Czy do bentleya wkłada srebrną koszulkę polo? Już miałam go o to zapytać.

– Idziemy na górę! Tam pokażę wam coś ważnego.

Schodami z beżowego marmuru, dość jednak pospolitego, weszliśmy na parter. Tu, w hallu rzeźbionym oświetlonym kryształowym żyrandolem, zaplanował kolejny przystanek. Stacja druga drogi krzyżowo-łódzkiej Vincenza Gallo. Już wiedziałam, do czego będziemy się modlić.

– Voilà! – Vincenzo teatralnym gestem wskazał wiszący na ścianie, oprawiony w złote ramy plakat reklamujący jego występ w Carnegie Hall. Nie wiem, czemu przypomniał mi

się podobny poster, tyle że z corridy, z doklejonym nazwiskiem mojego brata jako toreadora. Dostał go na dziesiąte urodziny od wujka przebywającego wówczas na saksach w Walencji. Koledzy Piotrka pękali z zazdrości.

Rosa wydała z siebie całą gamę westchnień i jęków, więc wszelkie słowa stały się zbędne. Duma rozparła Vincenza tak, że urósł o kilka centymetrów, aż sięgnął czubkiem głowy do poziomu płatka jej ucha ozdobionego srebrnym kolczykiem. Jestem tego pewna, bo podszedł do niej blisko, tak blisko, że dotknął nosem jej łabędziej szyi.

– Chciałabyś pójść na mój koncert? – Ślinił się. Drobne krople poleciały na jej dekolt.

– Bardzo... – zaszcebiotała.

Szepnęłam jej, że jest idiotką, ale udała, że nie słyszy. Przepadła. Już zobaczyła się u boku pianisty międzynarodowej sławy – muza Rosamunde. Będzie leżeć i pachnieć, gdy on wieczorami zagra jej nokturny.

Przeszliśmy do salonu pełnego pluszowych poduszek, falban i kwiatów. Pachniało starością, kurzem i hiszpańską wodą kolońską. Nie pasowało to do prężnego włoskiego ogiera. Wyobrażałam sobie designerską willę ze szkła i stali, z oknami na całą ścianę, wypełnioną nowoczesnymi meblami, a nie banalny dom marzeń amerykańskiego emeryta. Z okien było widać niemodny basen w kształcie nerki i taras ozdobiony grubymi marmurowymi amorkami. Od urwiska oddzielała go rzeźbiona kamienna balustrada. Zemdliło mnie.

Na środku salonu stał czarny steinway.

– Muszę dużo ćwiczyć. – Vincenzo od niechcienia przejechał palcami po klawiaturze. – Ale najbardziej lubię grać dla pięknej kobiety...

Wpatrywał się to we mnie, to w Rosę. Spojrzenie miał oczywiste jak amant niemego kina, więc było jasne, że Rosa nie zdobyła jeszcze jego serca na wyłączność. Albo to serce

było na tyle pojemne, że pomieści nas obie – razem jakieś sto kilo.

– A teraz proponuję drinka w mojej sypialni, musicie zobaczyć ten widok! Idźcie przodem, a ja zaraz przyniosę szampana. – Zniknął w kuchni.

Weszliśmy do sypialni. Na ogromnym łóżku leżały fachowo udrapowane trzy szlafroki, w łazience bulgotało jacuzzi.

– Rosa, uciekamy! – Pociągnęłam ją za rękę. – Ostatnia szansa! Chcesz się z nim kąpać?

– Wypijmy chociaż szampana – powiedziała wciąż rozmarzona.

– Nie!!! Zdejmuj buty!

Rosa posłusznie zdjęła szpilki. Popędziłyśmy na dół, mijając zdziwionego Vincenza z tacą.

– Musimy lecieć! – krzyknęłam.

Rosa uśmiechnęła się przepaszająco.

W drodze do Palmy milczała naburmuszona.

– Nie mogłaś się z nim normalnie pożegnać? – spytała na jakimś piętnastym kilometrze.

– Żałujesz, że nas nie przeleciał?

– No wiesz! Nie możesz tak pochopnie osądzać ludzi! Przecież to artysta! – oburzyła się.

– Artysta dupista! Od początku mi się nie podobał. Tandetny żigolak. I chyba biseks! Widziałaś te koronki?

– Wrażliwa dusza! Nawet nie dałaś mu szansy. Gdybyś posłuchała, jak gra... – Rosa była tak uzależniona od artystów, jak ja od nutelli na śniadanie.

\* \* \*

W Café Garito było tłoczno i głośno. W dzień bar nie różnił się od setek podobnych miejsc, ale wieczorami, na długo przed otwarciem okolicznych dyskotek, zbierały się

tu tłumy na pierwszego drinka. Goście oblepiali stoliki, polowali na wolne stołki przy barze. Nawoływali się, wybuchali śmiechem, podekscytowani sami sobą.

Anna już na nas czekała, przyklejona do wysokiego barowego stolika i kieliszka, na którym odcisnęła czerwony ślad szminki. Znałam ją z niemieckiej plotkarskiej prasy, gdzie zdobyła rubryki towarzyskie swą atrakcyjną urodą wysokiej brunetki i najnowszą kolekcją haute couture, która idealnie pasowała do jej rozmiaru XXS. Zainteresowanie mediów zawdzięczała mężowi, bajecznie bogatemu producentowi popularnej lemoniady w czwartym pokoleniu. Ten niedawno wyoutowany gej i transwestyta zaparkował Annę wraz z dziećmi na Majorce, by w rodzinnym mieście oddawać się licznym romansom. Na weekendy przylatywał prywatnym jetem, a tolerancja żony pozwalała mu na noszenie spódnic i mocny makijaż, a nawet na zapraszanie kolejnych kochanków, którzy całkiem oficjalnie nocowali z jej mężem w gościnnej sypialni. Na otarcie łez przywoził jej zaproszenia na pokazy mody we wszystkich metropoliach świata. Latała na nie chętnie, zasiadała w pierwszym rzędzie i wracała z naręczami ubrań.

Stałyśmy, sącząc szampana, już drugą godzinę, właściwie nie wiadomo po co, bo w huku house'owej muzyki nie słyszałam nawet własnych myśli. Dziewczyny zajęte były wysyłaniem SMS-ów w eter i czarujących uśmiechów do smagłych hiszpańskich chicos. Przysunęłam się bliżej do Rosy.

– Zapomniałam ci powiedzieć, że poznałam twoją sąsiadkę – wrzasnęłam jej prosto do ucha.

Rosa zrobiła bezradny gest. Nie słyszała ani słowa, DJ rozkręcił się na całego, kieliszki na stoliku wpadły w wibrację, mój żołądek kurczył się w rytm syntetycznej muzyki. W imię czego ja się tak męczę? Marzyłam o



miękkiej kanapie i ciepłych kapciach, a dopiero dochodziła północ. Już miałam się pożegnać, gdy Rosa i Anna odeszły od stolika.

– Przypudrować nos. – Chichotały, jakby było w tym coś śmiesznego. – A ty, Magda, popilnuj miejsc. Zaraz wracamy, dosłownie kwadransik!

Zostałam sama i bezmyślnie wyjadałam ze szklanej miseczki ostatnie orzeszki z darmowym dodatkiem bakterii coli. Butelka po szampanie była już pusta. Co ja robię z tymi kretynami w zakopconym barze wśród naćpanych pańienek i przechodzonych lowelasów?

Wsunęłam do pustej szklaneczki zwinięty w rulonik banknot, chwyciłam ostatnie kilka orzeszków i skierowałam się wyjścia.

I wtedy znikąd pojawił się kosmita. Wyrósł spod ziemi, spadł z nieba, urwał się z choinki. Po prostu stanął przede mną z szerokim i szczerym uśmiechem. Był kompletnie łysy, mocno opalony, bardzo chudy i od stóp do głów ubrany na czarno. Miał dziwną, grubo pomarszczoną, ale ujmującą twarz. Mężczyzna stworek, ale uroczy stworek.

– Witaj! – pozdrowił mnie przyjaźnie, a ja poczułam, jak pozytywna energia trysnęła z niego z nieziemską siłą. Biło od niego kosmiczne światło, jak od lądującego UFO. Czułam, że doznaję olśnienia, a szampana wypięłam przecież zaledwie dwa kieliszki.

– Jestem Altos. – Kosmita wyszczerzył białe jak alpejski śnieg zęby.

– Artur? Jesteś Szwajcarem? – Typowy dla krainy fioletowych krów akcent chwilowo sprowadził mnie na ziemię.

– Altos! – poprawił mnie. – To imię, które mnie wybrało. Oznacza, że jestem blisko Wysokich Mocy. Tu i teraz jestem stąd – wyjaśnił, ale nie bardzo zrozumiałam.

– A ja jestem Polką. Magda. – Podałam mu dłoń.

Spojrzał zdziwiony, chwycił mnie za ramiona i wycałował w policzki. Pachniał smacznie cynamonem. Miałam ochotę na jeszcze. Ale Altos zaraz się odsunął.

– Tak te małpy to robią! Beso, bez sensu. Nie lubię tych całusków! – Przewrócił oczami. – Wychodzisz już, prawda? To wyjdziemy razem. Nie znoszę tych tłumów, przed dziesiątą jest tu zawsze pusto. A potem schodzą się te małpy – westchnął. – Chodź ze mną na spacer! Twoje koleżanki wciągają działkę na dworze, nawet nie zauważają, że cię nie ma. Musisz odświeżyć umysł.

Wyszliśmy. Dziewczyn nigdzie nie było. Altos podał mi ramię.

– Prinzessin, idziemy! Ale najpierw mi coś obiecasz.

– Co?

– Nie będziesz się tak zamartwiać. Nie myśl tyle o swoim synu. On jest szczęśliwy. A co ma być, to będzie. Niczego nie zmienisz, na nic nie wpłyniesz.

– Jak to? A skąd ty wiesz? Znasz Rose? Opowiadała ci o Michasiu? Niemożliwe!

– Księżniczko, ja się koncentruję i widzę. Trzeba patrzeć w dusze. Przejrzałem twoją, kiedy stałaś tak sama w Garito. Spytałem też Wysokie Moce o twojego przyjaciela. Czy męża? Nie wyjdzie wam, przykro mi.

– O Maksa? Nie, to nie mój mąż. Jesteś jasnowidzem?...

– Nie bój się mnie! – Ujął moją rękę.

Szliśmy przez ciemną noc w milczeniu, które nie było ani trochę kłopotliwe. Jakbym go znała sto lat. Było mi po prostu dobrze.

– Cieszę się, że cię poznałem, księżniczko – powiedział na pożegnanie. – Chodź! – Otworzył szeroko ramiona.

Przytuliłam się do jego miękkiej skórzanej kurtki. Ciepłe ciało pulsowało korzennym zapachem, było mocne i sprężyste. Gdyby Altos był w moim typie, zakochałabym się

w nim od pierwszego wejrzenia. Ale nie był. Zaprzyjaźniłam się więc z nim od pierwszej chwili. Prawdziwie, głęboko i na zawsze.

## **GLUPI, GLUPSZY, MAJORKAŃSKI**

Uwielbiałam spacerować z Altosem i z jego anorektycznym charakterem, Wasanem. Gdy Michaś był w szkole, a jesienne słońce nie pozwalało mi się skupić na pańszczyźnie dla Herberta, wkładałam wygodne trampki i jechałam na Paseo. Nie trwało to dłużej niż dziesięć minut, wystarczyło minąć brzydkie zabudowania San Augustin, rezydencję króla i port wojskowy. Zaraz za nim zaczyna się nadmorski deptak i ciągnie wzdłuż całej palmeńskiej zatoki. Tam zaczynaliśmy nasz spacer. Czasem zakładaliśmy rolki, a Wasan mógł wtedy pędzić jak afrykański wiatr, ciągnąc swojego pana na długiej smyczy.

Zwykle parkowałam zaraz za Club de Mar, Altos obserwował to z okna swojego mieszkania i w ciągu paru minut pojawiał się na dole. Czasem obaj czekali na mnie przy parkingu, a ich charakterystyczne szczupłe sylwetki rozpoznawałam z daleka. Altos w swoim szwajcarskim życiu był tancerzem; pozostał mu miękki, elastyczny krok – właściwie bardziej tańczył, niż chodził. Wasan, rzekomo królewski pies, kroczył powoli i majestatycznie.

– Hola, Prinzessin! – witał mnie radośnie Altos, wdzięczny, że nie całuję go na powitanie „jak hiszpańskie małpy”, dwa razy.

Spacer zaczynaliśmy od kawy. Albo od poczty, która mieściła się niedaleko.

– Znowu te rysunki? – denerwował się. – Zobacz, jaka kolejka!

– Muszę, Herbert na nie czeka! To pilne! I to moja praca! Płacą mi za to!

– Ja też czekam – mruczał niezadowolony i zostawał z Wasanem przed wejściem.

Widziałam przez szybę, jak kręci się niecierpliwie, zerka za zegarek. A przecież nigdzie się nie śpieszył, nic nie

robił, nikomu nic nie obiecał.

Przystanek w Darsenie miał swój własny rytuał. Altos prawdziwie go celebrował.

Najpierw wybór stolika, możliwie z dala od ludzi, niby ze względu na Wasana. Potem próba krzeseł, nie na każdym czuł się dobrze. Następnie zdziwienie, że kelnerka jeszcze go nie zauważyła, przecież przychodzi tu codziennie i zawsze zamawia to samo. Czekał na nią, narzekał na opieszłą obsługę, niedobłą kawę i Majorkańczyków. Zawsze w tej kolejności. Chyba nie lubił ludzi. Był nieszczęśliwym dziwakiem – postawiłam diagnozę już po pierwszym spacerze. Zaprzeczał gorliwie, gdy go pytałam, ale wydawał się bardzo samotny. Nigdy nie miał żony, dzieci, jego rodzice od lat nie żyli. Nie miał też przyjaciół, nawet dalszych znajomych. Jego jedyną rodziną był Wasan. I teraz trochę ja. Unikał ludzi, ale codziennej kawy w Darsenie i wieczornego bajgla z łososiem w Garito nie potrafił sobie odmówić.

– Wiesz, jak się stopniuje przymiotnik „głupi”? Sam wymyśliłem... – Zrobił tajemniczą minę, gdy kelnerka po raz kolejny przyniosła mu zbyt zimną wodę.

– No jak?

– Głupi, głupszy, najgłupszy, hiszpański, majorkański!

– Zaśmiał się jak stary chochlik.

– Altos, to po co tu mieszkasz? Wracaj do Szwajcarii!

– Wszędzie są głupi ludzie i wszędzie jest okropnie. A zresztą ściga mnie szwajcarska skarbówka, nie mogę tam wrócić – wyrecytował powoli beznamiętnym tonem spikera, który podaje stan wody w rzekach.

Po kawie w Darsenie szliśmy wzdłuż portu z tysiącem przycumowanych luksusowych jachtów i motorówek. Las smukłych masztów, które dzwoniły na wietrze, wypucowane łódki połyskiwały w słońcu. Co za landszaft! Nie mogłam się napatrzeć.

– Jeszcze ci się nie znudziło? – niecierpliwiał się Altos.

Po kwadransie dochodziliśmy do katedry. Zawsze robiła na mnie wrażenie – wielka, majestatyczna, a jednocześnie koronkowa, ażurowa, delikatna. Nawet w XXI wieku królowała nad Palmą i całą wyspą.

– Jaka ona cudna, prawda?

– A te Cyganki widziałaś? Denerwiają mnie.

Cyganki z naręczami goździków czyhały pod katedrą na ofiarę, by wręczyć jej kwiat i poprosić o jedną pesetę. Takich monet, nic niewartych, nie było wiele w użyciu, więc człowiek musiał się w portfelu naszukać, a nawet poprosić Cygankę o pomoc. To była idealna okazja dla Clavelery, goździkowej złodziejki, by zwinąć mu z portfela kilka banknotów.

Za katedrą zaczynała się szeroka plaża miejska, którą Wasan bardzo lubił, bo tylko tu Altos odważał się spuścić go ze smyczy.

– Idziemy dalej? Czy znowu musisz rysować? – pytał w tym miejscu.

\* \* \*

Czasami w drodze na plażę kładliśmy się na trawie pod parkanem lotniska i gapiliśmy na lądujące tuż nad naszymi głowami samoloty. Altos wyciągał wtedy w górę ramiona, jak najwyżej. Trochę się tego bałam, bo leciały naprawdę nisko, wydawało się, że zaraz zahaczą o nas kołami.

– A jak na nas spadnie?

– A co za różnica? – odpowiadał rozmarzony.

Dla mnie jednak wciąż była.

## GATITO

Ale ci zazdroszczę! – mówiła Caro, moja wiedeńska sąsiadka. – Będziesz miała na tej Majorce wieczne wakacje. I tylko jeden duuuuży problem: czy pójść dziś na plażę w lewo, czy w prawo! – dodawała z nutką sarkazmu.

Akurat! Odkąd przyjechałam na Majorkę, na plaży opalałam się raz. Raz w ciągu trzech miesięcy! Eskimosi pewnie też nie wpadają w euforię na widok śniegu. Tu była plaża, zalana słońcem, tuż obok, na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło zejść kilkadziesiąt metrów po kamiennych schodkach. Ale Michaś nie lubił plaży, a ja nie miałam na nią czasu. Moje dni były szczerze wypełnione banalną rutyną nudnych, niepłatnych i nierozwijających intelektualnie obowiązków samotnej matki. A na deser chałtury dla Herberta.

Pobudka. Powitanie słońca siedem razy. Zbudzić Michasia. Zrobić śniadanie. Spakować kanapki. Odwieźć Michasia. Sprawdzić stan konta. Popracować, żeby polepszyć stan konta. Zrobić zakupy. Ugotować obiad. Posprzątać. Odebrać Michasia. Podać obiad. Pozmywać. Pomóc w lekcjach. Zawieźć na tenisa. Przywieźć. Kolacja. Pozmywać. Przeczytać. Przygotować. Porysować. Podliczyć. Pogasić. Spać.

Pobudka. Powitanie słońca...

– Tak dalej nie może być, księżniczko! Musisz zatrudnić niewolnicę. Ktoś przecież za pieniądze zgodzi się to za ciebie robić. – Altos podsumował moje żale wlane do słuchawki telefonicznej.

– Nie jesteś zbyt poprawny politycznie!

– To jest przecież kierat! To przechodzi wszelkie pojęcie! Coś trzeba zmienić, bo się za szybko zestarzejesz i stracisz całą gibkość. A o stawy trzeba dbać! To bardzo ważne! Już wiem! Brakuje ci faceta! Ja nim oczywiście nie

będę, bo nie mam ochoty.

Roześmiałam się.

– Zaprosiłbym cię do Tito's, tam na pewno kogoś poznasz, ale strasznie mi się nie chce. Zresztą Wasan ma dziś jakieś kłopoty z brzuchem – powiedział, jakby chodziło o sprawę wagi państwowej. – Zadzwoń później! – obiecał i rozłączył się.

Późnym wieczorem, kiedy Michaś już spał, a ja właśnie wyjmowałam z piekarnika bananowe ciasto, które upiekłam na szkolny piknik, Altos znowu zadzwonił.

– Zastanowiłem się. Właściwie mógłbym pójść potańczyć.

Pewnie konsultował się z kosmosem.

– Błagam, ale nie za późno... już jestem padnięta. Odbiorę cię moim nowym autem. A właściwie starym, kuzyn Rosy przyjechał nim wczoraj z Wiednia.

Głęboko wdychałam pyszny zapach gorących bananów.

– Dobrze, dobrze, już tak nie wzdychaj! Może być za godzinę, ale zaprosisz mnie na colę i bajgla w Garito. Jeszcze nie jadłem kolacji.

W duszy Altosa ścierały się nieskończenie wielkie sprawy pozaziemskie, którymi żył, ze szwajcarską małostkowością, z którą się urodził. Od lat nie zarabiał pieniędzy, gdyż tak trywialne zajęcie blokowałoby przepływ kosmicznej energii, ale dzięki spadkowi, który zapomniał opodatkować, miał z czego żyć. Budżet był skrupulatnie wyliczony na każdy dzień, aż do śmierci. O jej datę dowiedział się u Wysokich Mocy. Widocznie kanapka z łososiem nie została na dzisiaj zbudżetowana.

\* \* \*

Do Tito's, niegdyś największej dyskoteki w mieście,



wjechaliśmy szklaną windą, która sunęła po elewacji wysokiego budynku. Musiała być ogromną atrakcją, gdy otwierano ją kilkadziesiąt lat temu. Kiedyś bywały tu gwiazdy, nawet Sinatra. A teraz, zimą, tubylcza młodzież, zaś latem turystyczny proletariat.

Dochodziła druga w nocy, na parkiecie wiało nudą. Tylko półnogie rumuńskie tancerki go-go wiły się leniwie w wysokich klatkach. Altos ubrał się odświętnie – obcisły T-shirt, skórzane legginsy i naćwiekowana ramoneska, wszystko naturalmente czarne. Na przegubie bransoletka, a na szyi złoty wisior z buddą, który sam wykonał – w przerwach między medytacją i channellingiem oddawał się szeroko pojętej twórczości. Pisał wiersze, wycinał kolaże i robił biżuterię, którą potem nosił. Nie byłam pewna, komu chciał się podobać, ani tym bardziej kto podobał się jemu. Mówił, że kobiety, ale nie brzmiało to szczerze. Obcisłe ubranie podkreślało jego zwinne, kocie ruchy – uwielbiałam patrzeć, jak tańczy solo.

Sala bardzo pomału wypełniała się ludźmi, a my sącyliśmy przy barze kolejną colę light. Altos nie pijał alkoholu, chyba że szampana, ale tylko w wyjątkowych okolicznościach, które w każdym razie od naszego poznania nie wystąpiły, a ja postanowiłam wykorzystać przynależne mi 0,8 promila, dopiero jak pojawi się obiecany i jakże w moim życiu niezbędny mężczyzna. Altos od pierwszej chwili rozglądał się za nim, ja pomału też, bo bardzo już chciałam napić się wina. Ale wszyscy byli za mali, za młodzi albo za brzydcy. Po godzinie stałam się mniej wybredna, ale Altos wciąż kręcił nosem.

– Nie, ten absolutnie nie. To jest nikt, null, niente i nada. Kompletne zero – ocenił całkiem apetycznego latino, na którym właśnie zawisała jakaś blondyna.

– A ten? Podoba ci się? – Wskazałam porządnie ubranego szpakowatego misia z dyskretnym brzuszkiem. –

Wygląda dość inteligentnie!

– Nudny i na pewno cierpi na nadkwasotę! – skarcił mnie. – Będzie mu się gorzko odbijało. Tobie w pewnym sensie też.

– Jesteś obrzydliwy i zazdrosny! Przez ciebie nie mogę się napić! A zresztą... Una copa de blanco! – krzyknęłam do barmana.

Altos skarcił mnie wzrokiem.

– Właśnie znalazłam! Patrz, ten na mojej dziewiątej! Cholernie przystojny! Wygląda jak George Clooney! – Facet po prostu spadł mi z nieba. Był boski. Właściwie należała mi się teraz cała butelka wina.

Altos przyjrzał mu się łaskawie i z trudem ukrył zachwyty, jaki wywołał w nim widok wysokiego czterdziestolatka z zaczesanymi do tyłu, pofalowanymi włosami. Typ trochę południowy, pewnie Włoch albo Francuz. Wlepiłam w niego wzrok, a gdy nasze spojrzenia na chwilę się skrzyżowały, zobaczyłam jego niesamowite oczy. Turkusowe! Speszyłam się natychmiast jak pensjonarka.

– Za przystojny, pewnie debil – podsumował Altos. – Choć nie powiem, podoba mi się, coś w sobie ma. Bardzo dekoracyjny! Będiesz przy nim ładnie wyglądać. Atakujemy?

Nim zdążyłam odpowiedzieć, Clooney gdzieś zniknął. Altos rozczarowany rozglądał się po sali. Ja też. Wypiłam duszkiem moje wino i zaraz zamówiłam następne. Musiałam jakoś schłodzić krew, która zagotowała się z wrażenia, ale też ze złości. Podryw w duecie z Altosem okazał się katastrofą. Ten stary chochlik spłoszył mi Clooneya!

– No, chyba nie znajdziemy tu księcia, Prinzessin... Powinienem był wcześniej zapytać Moce... – wymamrotał w końcu.

– Jeden fajny był...

Ale Altos nie słuchał. Poderwał się właśnie z barowego stołka i pomachał do niskiej kobiety, która pewnym krokiem sunęła w naszą stronę. Na szyi miała jakiś dziwny, połyskujący kołnierz.

– Magda, zobacz! Moja sąsiadka, Elena z Kotkiem. O Boże, jaki on słodki!

Kołnierz na szyi Eleny wyglądał jakoś dziwnie.

– Ty, przecież to nie jest żaden kot!

– No nie jest! – Altos wzruszył ramionami. – To señor Gatito. Jej waż.

– Jak ją tu wpuścili? Przecież to niebezpieczne. – Cofnęłam się, gdy Elena podeszła blisko.

– Pan Kotek nic ci nie robi, możesz go pogłaskać. No, daj buziaka, señor Gatito! – Altos przemówił do niego czule jak matka do bobaska i z ustami złożonymi w dzióbek pochylił się w stronę węża. – Przecież on nie jest jadowity! Pytona nie widziałaś?

Nie, na dyskotece nie widziałam. Malutki miał na oko dwa metry długości i z łatwością mógł udusić atletę. A co dopiero mnie, pięćdziesiąt osiem kilo żywej wagi przed śniadaniem. Sądząc po braku reakcji personelu, Pan Kotek był w Tito's stałym bywalcem, nawet goście nie zwracali na niego uwagi. Tylko ja panikuję jak prowincjonalna gęś.

– Śliczny jest! – wydukałam z nieszczerym uśmiechem.

– Chcesz go potrzymać? – zapytała kobieta i zdjęła węża z szyi.

Odsunęłam się tak gwałtownie, że przewróciłam stojące na barze kieliszki.

– Altos! Zabierz ją stąd! Natychmiast!

Elena posłała mi lodowate spojrzenie. Chyba nie zostaniemy przyjaciółkami.

\* \* \*

Koło trzeciej nad ranem, zgrzani i zmęczeni, wyszliśmy z dyskoteki. Od progu uderzył w nas podmuch zimnego wiatru. Deszcz ostro zaczął i w drodze do auta przemokłam do suchej nitki. Natychmiast włączyłam ogrzewanie. Nigdy nie przypuszczałam, że będzie tu konieczne. Gdy wychodziłam z domu, było jeszcze całkiem przyjemnie, nic nie zapowiadało takiej zmiany pogody. Teraz cała dygotałam, a Altos spokojnie strzepywał krople wody ze skórzanej kurtki.

– Przecież mamy koniec listopada, księżniczko. Dopiero się zaczyna! Będzie tylko gorzej – pocieszał mnie, jak umiał.

Wróciłam do domu w strugach deszczu. Na ulicach utworzyły się głębokie kałuże, pourywane przez wiatr palmowe liście zatykały odpływy. Nasze podwórko tonęło. Padało całą noc. Śniła mi się powódź. I ten przystojniak z dziwnymi oczami. Turkusowymi jak woda, która zalewała wszystko w moim śnie.

– Mamo, mamo! Woda wszędzie! Chodź tu, zobacz! Telewizor pływa! – obudził mnie krzyk Michasia, który czasem z rana zakradał się do salonu, żeby przed śniadaniem nielegalnie pograć w playstation.

Telewizor nie pływał, ale salon zamienił się w małe bajorko. Bura woda musiała dostać się przez kominek, architekt widać nie przewidział takiego deszczu. Otworzyłam żaluzje, żeby lepiej ocenić sytuację. Słońce już przedzierało się przez chmury, ale wciąż było chłodno. Na tarasie pobojuwisko. Poprzewracane donice, połamane rośliny, woda po kostki. Pożyczony od Rosy stary bawełniany żagiel, jak dach rozpostarty pomiędzy ścianą domku i kolumnami tarasu, przez noc przybrał postać wielkiego, wypełnionego wodą balonu. Trzeba go było od tej wody uwolnić. Wysłałam Michasia po szczotkę do zamiatania.

– To głupi pomysł – ocenił, podając mi ją po chwili. –  
Poczekajmy, aż samo wyschnie.

– Ty się lepiej ubieraj, bo zaraz spóźnisz się do szkoły!  
Już ja wiem, co robię! – fuknęłam i zabrałam się do  
spychania wody do brzegów żagla, by potem przepchać ją  
poza jego krawędź. Szło to bardzo opornie, ale  
postanowiłam walczyć do końca.

Jeszcze jedno dźgnięcie szczotką... i chlust! Stary  
żagiel pękł! Spadło na mnie kilkanaście litrów brudnej  
deszczówki. Stałam mokra od stóp do głów i miałam  
wszystkiego dosyć.

– A mówiłem, żebyś tego nie robiła, cha, cha, cha.  
Ciekawe, jak mnie teraz do szkoły odwieziesz, he, he! –  
Michaś rzucił się na kanapę, trzymając się za brzuch. –  
Zaraz pękne ze śmiechu! Jak ten żagiel! Hła, hła, hła!

– Sam pójdziesz, skarbie! Dam ci parasol.

Michaś aż przysiadł na kanapie. Był przerażony.

Zrobiło mi się go żal.

Włożyłam dres i zawiozłam go do szkoły.

Jeszcze nigdy na Majorce tak nie zmarzłam. Stałam  
potem długo pod silnym strumieniem gorącego prysznica,  
czekając, aż ciepło przejdzie do kości. Włożyłam grubą  
piżamę, wełniane skarpetki i wsunęłam się pod kołdrę.  
Więc jednak bywa tu zimno! Muszę zadzwonić do hesy. I  
kupić jeszcze jedną parę kaloszy! Od dawna miałam ochotę  
na pikowane huntersy.

\* \* \*

Rosa nie miała pretensji o zniszczenie starego żagla,  
ale i tak postanowiłam osłodzić jej tę stratę ekologicznymi  
muffinkami. Upiekłam je szybko z orkiszowej mąki, otrębów  
owsianych, trzcinowego cukru i włoskich orzechów, które  
uważała za najzdrowsze, i w południe zawiozłam całą

blachę do Portals. O tej porze mała Leila spała, a Rosa kończyła drugą sesję jogi, więc zwykle była w domu.

Musiałam przejechać koło domu Teresy, co zawsze odbijało mi się lekkim wyrzutem sumienia. W tym miejscu zwykle przyspieszałam i odwracałam głowę. Dlatego dopiero w ostatniej chwili kątem oka spostrzegłam, że przy jej płocie stoi turkusowy Clooney z dyskoteki. No i z mojego snu. Czy to na pewno on? Za krótko go widziałam. Zawrócę. Ulica była jednokierunkowa, powinnam była zrobić pętlę wokół osiedla, by przejechać nią jeszcze raz. Nie miałam czasu do stracenia, więc pojechałam pod prąd. Pierwsze pięćdziesiąt metrów poszło gładko, ale potem jak na złość z dołu wyjechał samochód. Na mój widok przeraźliwie zatrąbił. Musiałam się wycofać, jadąc zgodnie z obowiązującym kierunkiem, ale tyłem. Idiota przede mną, a właściwie za mną, nie przestawał trąbić. Boże, żeby tylko Clooney tego nie zobaczył! Mokra z emocji i czerwona ze wstydu dojechałam do przecznicy, a potem pod dom Teresy. Ale nikogo już tam nie było. Zniknął jak kamfora. Szkoda!

## IVANKA

Clooney z Tito's od ponad tygodnia siedział w mojej głowie, choć było to właściwie pozbawione sensu i perspektyw. Odnalezienie jednej pary turkusowych oczu wśród miliona mieszkańców tej wyspy byłoby cudem kwalifikującym do beatyfikacji, choć w sumie mieliśmy aż dwa tropy. Pierwszy z nich prowadził do Tito's, ale Altos wysłany tam kilkakrotnie na zwiady zawsze wracał z kwitkiem, aż znudzony odmówił współpracy.

– Znajdziemy ci podobnego, Prinzessin! – pocieszał.

Drugi prowadził na calle Raoul. Rosa jednak też o żadnym à la Clooneyu na swojej ulicy nie słyszała, choć narysowałam dość dokładny portret pamięciowy, który potem zawisł na mojej lodówce. Michasiowi powiedziałam, że to zamówienie.

– Od policji? – spytał przytomnie.

Postanowiłam wypytać Teresę. Długo namawiałam Altosa, żeby mi towarzyszył, a nawet zabrał ze sobą Wasana, ale bronił się przed tym całym swym chudym jestestwem, jakby chodziło o wizytę w leprozorium.

– Nie mogę! Tam jest zła energia. Moce mnie ostrzegły – wykręcał się.

W końcu któregoś dnia upiekłam szarlotkę i sama zawiozłam Teresie.

Furtka była uchylona, jakby ktoś wpadł tu tylko na chwilę. Weszłam po wysprzątanym schodkach. Brudne miski i suche rośliny gdzieś zniknęły.

Drzwi otworzyła krępa kobieta o śniadych, indiańskich rysach. Ubrana była w biały fartuch i pielęgniarskie drewniaki. Pewnie Imalda.

– Jestem Magdalena, przyniosłam Teresie ciasto.

– ¡Gracias! – Wyciągnęła mocne ręce.

– A Teresa jest? Chciałabym z nią porozmawiać.

– Porozmawiać? – Uśmiechnęła się kwaśno. – Nie idzie!  
Leków znowu nie brała.

– Jeszcze dwa miesiące temu była zdrowa... Kiedy mogę przyjść?

– A Bóg jeden wie! – Przycisnęła do ust złoty medalik, który dyndał na jej szyi. – Straszna choroba, straszna kara – powiedziała do siebie i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

\* \* \*

Z końcem listopada na Majorce zaczynały się przygotowania do zimy. Wystawy sklepowe zapełniały się najnowszymi modelami elektrycznych nagrzewnic i urządzeń do osuszania pomieszczeń, bo wilgoć była tu większym wrogiem niż niskie temperatury. Hotele zamykano, restauracje na deptakach zabijano deskami, a z plaż znikwały leżaki i parasole.

Rodzina królewska już dawno opuściła wyspę, a wraz z nią dodatkowe oddziały straży, guardia civil, specjalnie na lato sprowadzone z kontynentu. Nie pilnowano już każdego ronda, nie patrolowano ulic, nie legitymowano kierowców. Złodzieje i drobni kryminaliści wrócili do pracy, niektórzy z nadzieją na drobny wyrok, który pozwoli na przetrwanie małego czasu w luksusowym palmeńskim więzieniu, Centro Penitenciario. Pudłowanie za drobne oznaczało darmowy pobyt w nowoczesnym, klimatyzowanym ośrodku z internetem. Lepiej niż w domu. Na wszelki wypadek wstawiłam zamek do furtki.

Lokalna prasa prześcigała się w doniesieniach o najciekawszych włamaniach oraz szkodach wyrządzonych przez ulewy. Wreszcie było o czym pisać. Z mieszkań znikwały grzejniki, laptopy, telewizory, a nawet rasowe psy. Samochodów nikt nie kradł, bo nie można ich było dyskretnie wywieźć z wyspy. Całe szpalty zajmowały



historie o rześnistych deszczach, wybijających studzienkach, połamanych masztach, roztrzaskanych jachtach, zalanych domach. Działo się.

Podarty, brudny żagiel łopotał nad tarasem, podłoga z terakoty pociemniała od deszczu, rośliny jakby skuliły się w sobie. Dzień zaczynał się późno gęstymi chmurami na szarym niebie, czasem przewiewał je zimny wiatr i wtedy koło południa wychodziło słońce. Śniadania al fresco zamieniłam na espresso w Café Naranja, szybko wypite przed lekcjami hiszpańskiego w Escuela de Idioma w targowej dzielnicy Santa Catalina.

Przydzielono mnie do grupy średnio zaawansowanych. Było nas pięcioro, ale jedynie Ivana, Czeszka o figurze w idealnym kształcie klepsydry, już na pierwszej lekcji zaintrygowała mnie bardziej niż participio pasado<sup>[7]</sup>. Gapiłam się na jej wydekoltowaną, wyszywaną kryształkami bluzeczkę, dzinsy tak obcisłe, że niemal nie mogła w nich siadać, i żółte, lakierowane sandały na wysokich koturnach. Na boscie nogi było już trochę za zimno, ale Ivana wiele robiła dla urody. Podczas lekcji ręce zajęte miała nakręcaniem na palec doczepianych, sięgających pasa loków albo nakładaniem błyszczącego, którym co kwadrans przeciągała usta. Mimo to najszybciej z nas wszystkich opanowała koniugację czasowników nieregularnych. Była jednocześnie ucieleśnieniem i zaprzeczeniem mitu seksownej i głupiej blondynki.

Kiedyś na przerwie opowiedziała, że studiowała farmację na Uniwersytecie Karola w Pradze, ale poznała faceta z Manchesteru i szybko została jego żoną. Rzuciła studia, by w młodym czeskim kapitalizmie zbudować wraz z mężem sieć hurtowni spożywczych. Dekadę później David Thomson, już nieco Iwaną znużony, wyekspediował ją wraz z dziećmi na Majorkę, a sam został w Pradze, by pilnować interesu i paru czeskich divek. „Zdecydowanie chętniej

divek” – podkreśliła Ivanka. W piątki wpadał na wyspę na swoje ulubione ciemne piwo Guinness. Trzeźwiał w poniedziałkowe poranki, tuż przed odlotem.

Któregoś dnia po lekcjach poszłyśmy razem na lunch do jednej z tych małych, przylepionych do hali targowej knajpek. Było wyjątkowo ciepło, więc usiadłyśmy na dworze. Ufarbowane na słomkowy blond włosy Ivanki złociły się w słońcu, a dorodna sylwetka, którą zawdzięczała zapewne swej karierze pływackiej – w młodości była mistrzynią Czechosłowacji juniorów w stylu motylkowym – przyciągała wzrok. Porozumiewałyśmy się mieszaniną języków słowiańskich, bo Ivana, która oglądała w dzieciństwie TVP, gdy przy dobrej pogodzie sygnał sięgał jej rodzinnego domu na Morawach, uważała, że zna polski.

Po raz kolejny opowiedziała mi smutną historię swojego małżeństwa, tym razem z pikantnymi szczegółami ich nieudanego pożycia. Słuchałam zażenowana jej szczerością, zobowiązana zaufaniem i przerażona patologiczną osobowością Davida Thomsona. Skubałam sałatę, a Ivana rozpuszczała swe żale w schłodzonym rieslingu. Piła szybko i zachłannie.

Przy czwartym kieliszku wina z piwnych oczu Ivany poleciały wielkie jak groch łzy, tworząc czarne paski roztopionego tuszu na zaróżowionej od emocji twarzy. Wyglądało to dosyć groźnie.

– Dwa podwójne espresso! – zawołałam do kelnera.

– Ne, Magda, nie trzeba. Už dobrze! – Ivana nagle jakby otrzeźwiała. – Wpadnij do mnie wieczorem na szampanskie! A teraz muszę lecieć po diety.

\* \* \*

To były dwie butelki szampana i cudowny babski wieczór. A właściwie noc, bo taksówkarz zażądał nocnej

taryfy. Obudziłam się rano i nie miałam kaca, a powinnam mieć. Jednak cudowne tabletki, które Ivanka kazała mi połknąć, zadziałały.

– Gdyby nie one, ja bych nigdy rano z posteli nie wstała!

\* \* \*

Jesienne ulewy były zaledwie preludium do lodowatej wilgoci, która włąziła teraz w kości, w domy, w pościel, a nawet w papier codziennej gazety. Wieczorami wrzucałam poduszki do suszarki, a piżamy grzałam na kaloryferze, jak kiedyś narciarską bieliznę na zimowych kwaterach w Zakopanem. Na Paseo Maritimo hulał wiatr, wzburzone morze targało jachtami w porcie, a ich maszty klekotały jak kościotrupy. Altos nie mógł spać, chociaż brał już trzy stilnoksy, i kładł się dopiero nad ranem, gdy sztorm przemijał.

– Prinzessin – skarżył się słabym głosem – to nieludzkie, te wiatry... Wasan też nie śpi... Straszna aura, jeszcze pożałujesz, że tu przyjechałaś!

Aura – tak mówili – nie zima! Nadejście „złej” aury wywoływało ogólne poruszenie, temperatura – ostrzegano w porannej audycji radiowej – może spaść nawet do ośmiu stopni! Powyżej zera. Pamiętajcie o ciepłych kurtkach! Jak na zawołanie na ulicach pojawili się zakutani w czapki i puchówki tubylcy, a sąsiedzi do codziennego powitania „¿Qué tal?”, jak leci?, dodawali obowiązkowe – „¡Que frío!”, ale zimno! I podkreślali powagę sytuacji wymownym pocieraniem zmarzniętych ramion, choć w południe temperatura dochodziła do dwudziestu stopni. Cudzoziemcy marzli jakoś mniej, ale dla przyzwoitości nosiłam pikowany bezrękawnik, a Michasiowi kupiłam lekką kurteczkę, idealną na mazurskie lato. Majorkańczycy

trzęśli się z zimna, a wiecznie bladoróżowi Anglicy dalej zażywali kąpieli morskich i słonecznych.

Dla mnie, doświadczonej zimą stulecia i biegłej w odkopywaniu spod śniegu zamarznętego samochodu, majorkańska zima była łatwa – bez rękawiczek, szalików, grubych buciorów i ciekących nosów. Była jak nieudany lipiec w Łebie, lato na Mazurach czy kolejna zatoka niżowa nad Polską.

Pochmurne dni spędzałam w domu. W salonie zawiesiłam beżowe zasłony, kupione okazjnie w bankrutującym sklepie, własnoręcznie obijałam siedzenia krzeseł grafitowym lnem, a nawet postarałam się o wieszak, który zastępował nam garderobę przy wejściu, rzecz w tutejszej świadomości nieobecna, a jednak na te dwie sezonowe kurteczki niezbędną.

Michasiowi nie starczało już miejsca w malutkich pokoikach, więc zaanektował też część poddasza. Oddałam mu swoją deskę kreślarską, bo zlecen od Herberta na razie nie było. Michaś malował na niej miniaturas, cieniutkim pędzelkiem precyzyjnie pokrywał akrylami malutkie na centymetr figurki żołnierzy, smoków i potworów. Miniatury toczyły potem ze sobą długie i krwawe bitwy na tle fantastycznych pejzaży, które sklejał z kolorowej tektury. Im krótsze stawały się dni, tym bardziej pogrążał się w swoim wyimaginowanym świecie.

Podwórkowe życie zamarło. W basenie pływały suche liście, piniowe igły i przywiane skądś śmieci. Dzieci z sąsiedztwa zamknęły się w domach, a sąsiadki przestały przychodzić po cebulę czy mleko. Nigdy zresztą ich nie oddawały, a ja nie wyciągnęłam z tego żadnych wniosków. Kiedyś posłałam Michałka do sąsiadów po szklanke mąki, następnego dnia oddałam im cały kilogram, a oni wyraźnie się obrazili.

Moje nocne życie przeniosło się do kuchni. Wkuwałam

hiszpańskie słówka, plotkowałam z Ivanką i przerabiałam na dżem tony aloesu, które dostarczała mi Rosa. Na malowanie słodkich widoczków było za późno.

[7] (hiszp.) – imiesłów bierny

## NAVIDAD

Zaproszenie na święta rodzina z Polski przyjęła z rezerwą.

– O karpriu nie zapomnij, bez karpia nie ma Wigilii! Niech to będą prawdziwe, polskie święta, dziecko musi poznać tradycję! – Matka jak dentystyczna wiertarka borowała w moim sumieniu. – I żebyś tym razem nie dała plamy!

Miała rację. Dawałam plamę nie raz, nigdy nie zbliżywszy się do idealnej liczby dwunastu dań. Z prostego powodu – nie smakowały mi ani tłuste pierogi z kapustą, ani mulisty karp, ani zbyt słodki kompot z suszu, jakże gorąco polecany przez ojca na oczyszczenie kiszek.

Kulinarne niedostatki postanowiłam zamaskować lampkami na tarasie, grubym wieńcem na drzwiach i jemiolą dyndającą z sufitu. Michaś obficie, choć dość chaotycznie spryskał okna i parapety sztucznym śniegiem, bugenwilla i drzewko pomarańczowe uginały się pod sznurami złotych błyskotek, a nad kominkiem zawisły wielkie skarpety na prezenty. Amerykański sen o White Christmas.

Brakowało tylko choinki. Hiszpanie zamiast nich stawiają w swoich domach żłobki, więc świąteczne drzewko jest na Majorce dobrem rzadkim, brzydkim i drogim. I na ogół nie pachnie lasem, tylko chińskim PCV.

– To nie będziemy mieć choinki? – zapytał rozczarowany Michaś.

– A gdzie byś ją postawił? Tu, przy kominku?

Skinał głową i popatrzył smutno. To spojrzenie rozłożyło mnie na łopatki.

– No dobra, przynieś farby! Namalujemy sobie choinkę! Chcesz?

– Dużą, do samego sufitu? – Spojrzał niepewnie.

– No jasne! Ty malujesz od lewej strony, ja od prawej, a czub namalujemy razem.

– Na ścianie? Mama, zwariowałaś?

Nie wiem, może zwariowałam, ale jeśli nawet, to nie pierwszy raz. W dzieciństwie zawsze malowałam na ścianie mojego pokoju to, czego nie mogłam mieć. Co parę miesięcy wzywano malarza, który rozprawiał się z nieudolnymi freskami, i zabawa zaczynała się od nowa. Aż matka wpadła na genialny pomysł, by wytapetować mój pokój w granatowe piwonie. I skończyło się.

Malowaliśmy plakatówkami, każdy po swojej stronie. Bez szkicu, projektu, uzgodnień. Pełna swoboda wyrazu.

– Ja już! – powiedział wymazany farbami Michaś

Spojrzałam na wspólne dzieło. Połówki choinki nie pasowały do siebie ani formą, ani kolorem.

– A dlaczego namalowałaś niebieską choinkę?

– Bo lubię niebieski!

– To domaluj jeszcze czerwoną gwiazdkę na czubku. I bombki. Babcia się ucieszy!

– Na czubku miał siedzieć generał, no ale jak chcesz...

– Wzruszył ramionami

Matka dzwoniła teraz częściej, głównie, by przypomnieć o karpniu, bez którego święta nie mogły się odbyć. Proponowała nawet, że przywiezie w termosie usmażone dzwonka, powinny przetrwać podróż.

– Wystarczy, że Eco podróżował z łososiem! – syknęłam.

– No widzisz! Nie znam go, ale widać, nawet z łososiem można! – triumfowała. – Karp musi być! Już ja coś wymyślę!

Obiecałam, że kupię na miejscu, ale ani na targu rybnym, ani w dobrze zaopatrzonym dziale spożywczym El Corte Inglés, ani w Carrefourze, gdzie dostępne były nawet zupki chińskie z czystego glutaminianu sodu, karpia nie

mieli.

– Karpia to najbliżej chyba w Monachium dostaniesz. Poleć tanią linią, to ci znowu aż tak drogo nie wyjdzie – poradziła mi Rosa zupełnie serio. Jako Austriaczka w temacie ryb słodkowodnych była dość biegła.

Zamówiłam więc na targu lubinę. Upiekę ją w grubej warstwie morskiej soli. Michaś uwielbiał rozbijać młotkiem twardą, upieczoną skorupę. Dziobał widelcem parującą, uwięzioną pod solnym pancerzem rybę, oblizywał go i dziwił się, że wcale nie jest przesolona.

Kiszoną kapustę na pierogi, w puszkach z napisem „Sauerkraut”, kupiłam u bawarskiego rzeźnika. Była ohydna. Wyrzuciłam nieudany farsz i kolejne danie z jadłospisu.

W niemieckich delikatesach sprzedawali mak gotowy, już przyprawiony, do bólu uperfumowany sztuczną wanilią i aromatem cytrynowym. Jadowity. Można by nim łatwo zgładzić cywilizację na Ziemi. Podzielił los kiszonej kapusty.

– To nawet maku tam nie mają? – denerwowała się matka. – Przywiozę, ale to nic nie da... Kutia musi się dobrze przegryźć, przynajmniej przez dwie noce!

Bardzo chciałam podać dobrze przegryzioną kutię. Pytałam w hiszpańskich sklepach o mak, ale patrzyli podejrzliwie, jak na opiumistkę, i kręcili głowami.

– Amapola<sup>[8]</sup>? Nie! Niech pani szuka w zielarniach!

Poddałam się.

Sąsiadka, raczona na parkingu opowieściami o moich wigilijnych perypetiach, nie mogła się nadziwić.

W Hiszpanii Wigilia jest po prostu kolacją jedzoną o normalnej porze, czyli koło dziesiątej wieczorem. Gdy opowiadałam jej, że zasiądziemy do stołu z pierwszą gwiazdką, koło szóstej, dopytywała, kiedy w takim razie zjemy prawdziwą kolację.

– O szóstej można jeść tylko podwieczerek! –



podsumowała i pobiegła pilnować prosięcia, które piekła na święta.

\* \* \*

Dwudziesty czwarty grudnia nadszedł szybciej, niż bym tego chciała.

Zamiotłam taras, na ławach położyłam miękkie poduchy, a do oparc krzesel przywiązałam białe bombki. Świczki na adwentowym stroiku topiły się w ciepłym słońcu.

Przyjechali z lotniska wynajętym samochodem, bo cenili sobie niezależność. Załadowani po dach, pewnie prezentami dla Michasia, bo te dla siebie wręczyli sobie jeszcze przed wyjazdem. Największa walizka, bordowa, oczywiście z cielecej skóry i monogramem P.K., należała do Piotra. Czyżby pomylił święta z karnawalem w Rio? Cóż on tam ma?

Michaś zawisł kolejno na wszystkich członkach rodziny.

– No, jeszcze jedno buzi dla babci! Wiesz, co ci przywiozłam w tej wielkiej paczce – kusia.

– Psa? – Michasiowi zaświeciły się oczy.

– Tak, psa betlejemskiego, specjalnie święconego – nie wytrzymałam.

– Szopkę! Prawdziwą szopkę! Z Jezuskiem. – Matka celebrowała każde słowo.

– E tam! – Michaś wykrzywił usta w podkówkę.

Zrzucili zimowe kurtki, grube swetry, ocieplane buty. Nasza miniaturowa garderoba nie wytrzymała natłoku ich rzeczy.

– Wyniosę do auta, tu nie będą potrzebne, a wy idźcie na taras. Przyda wam się trochę słońca. Michaś, zaprowadź babcię!

Jej wrzask przerażenia było słycać na całym osiedlu. Pewnie zobaczyła namalowaną choinkę. Postanowiłam przeczekać najgorsze w samochodzie.

Gdy wróciłam, leżeli na leżakach.

– Nawet całkiem tu ładnie! – pochwalił ojciec.

– No, może być. Chociaż mieszkać bym tu nie chciaaał – ziewnął brat.

Był zmęczony porannym lotem z przesiadką, ten dzień należał do pracowitszych w jego życiu. Leżał niechlujnie rozwalony na murowanej ławie, w rozpiętej flanelowej koszuli, by opalić blady brzuch. W Warszawie pokaże go Damianowi, lat dwadzieścia cztery, swej najnowszej zdobyczy. Na talerz nałożył sobie kopiastą porcję postnych tapas, które przygotowałam na ich przyjazd.

– A tej szynki... no... serano, czy jak jej tam, nie masz? – zapytał.

– Przecież leży! Michaś nic innego nie je...

– Piotruś! Dzisiaj post jest! – skarciła go matka. – Jesteś już dorosły. Michaś to co innego. Dzieciom wolno! Co to za wybryk z tą choinką? – zwróciła się do mnie. – Jakie szczęście, że przywiozłam szopkę!

Matka popijała swojego ulubionego drinka, cinzano z cytryną, i pilnowała, żeby nikt, oprócz Michasia, nie skubnął niedozwolonego jamón, który wyłożyłam na ogrodowy stół wraz z serem manchego, zimną tortillą i oliwkami. Gdy Piotr zasnął, wstała zwolniona z wewnętrznego obowiązku. Wolnym krokiem przechadzała się wzdłuż muru, wystawiając do słońca twarz z naklejonym na nosie listkiem bazylii. Zawsze opalała się w ten sposób.

– Bazylia dodatkowo muchy odpędza – pochwaliła własną zaradność, choć żadnych much nie było. Grube okulary do czytania dyndały miarowo na jej piersi. Nosila je zawieszane na szyi na złotym łańcuszku.

Atmosfera była wyjątkowo miła. Rodzinna sielanka. Cieszyłam się, że pierwszy raz wspólne święta mają szansę odbyć się bez afer, palpacji i wzywania pogotowia ratunkowego. Na wszelki wypadek podałam jej trzecie cinzano.

– Oj, oj, bo zaraz się upiję – zachichotała niby zalotnie.

– Pij, matka, pij! – Brat się przebudził. – Upijesz się i będzie spokój – mruknął już bardziej do siebie i przekręcił się na drugi bok.

Najnowszy fason dzinsów Dolce & Gabbana opinał jego cokolwiek za gruby tyłek. Przekroczył już czterdziestkę i ku ubolewaniu rodziny, mnie wyłączając, wciąż był kawalerem. Nie licząc oczywiście kolejnych „sublokatorów”, którym podnajmował pokój na semestr czy dwa w swoim odziedziczonym po babci mieszkaniu na Muranowie.

Lubina wstawiona do pieca, łosoś czekał w imbirowej marynacie, wino w karafkach. Czas się przebrać. Sukienka, jeszcze niedawno za ciasna, wisiała na mnie jak worek na kartofle. Znowu schudłam. Od czerwcowego rozstania z Maksymem już sześć kilo, od październikowego trzy. Kobieta nigdy nie jest za chuda ani za bogata, a jednak narzuciłam kolorową haftowaną chustę z Sewilli, by przykryć kościste ramiona i obojczyki wyskakujące z dekoltu jak dwa miecze.

– A co to za cepelia? – zapytał z niesmakiem brat, gdy mijaliśmy się na schodach. Od dwóch kwadransów stał przed zawieszonym na półpiętrze lustrem i układał swój żelowy czub à la Tintin, jego ukochany bohater. W bokserkach w różowe świnki i czarnych podkolanówkach z dyskretnym napisem Armani musiał się bardzo podobać. Damianowi. Westchnęłam głośno, by na pewno usłyszał. Dochodziła osiemnasta, a ojciec wciąż siedział w gościnnej toalecie i tylko szelest gazety zdradzał, że ma się dobrze, a matka, śnięta od alkoholu, nie wybudziła się jeszcze z popołudniowej drzemki. Leżała na kanapie; jej głowa, jak u

gejszy, spoczywała na specjalnym wałku, który chronił wylakierowany na sztywno tapir. Michaś, korzystając z okazji, myszkował po dziadkowych walizkach w poszukiwaniu prezentów. Usiadłam na fotelu i zamknęłam oczy. Jeszcze się nie zaczęło, a już byłam zmęczona.

– Jest! Widzę ją! Mama, gwiazdka wyszła!

Kopnęłam kapcie pod szafę, włożyłam czarne lakierowane balerinki Celine, cudowne, z dużą, srebrną klamrą, całkiem okazjnie kupione w Cornerze. Ostatnia para, więc za pół ceny.

Zawołałam wszystkich do stołu. Biały obrus, porcelana, najlepsze kieliszki, złote aniołki i świece w kształcie gwiazdek. Jak z bajki. Patrzyłam zadowolona na swoje dzieło.

Matka, nagle całkiem trzeźwa, odświeżenie przebrana, pierwsza pojawiła się w jadalni. Uważnie zlustrowała nakrycie.

– A gdzie sianko?! – Zajrzała pod obrus. – Bez sianka nie będzie pieniędzy cały rok!

– Nie pieniędzy, tylko szczęścia – poprawił ją ojciec, podchodząc do stołu. – Oj, ty tylko o pieniądzach!

Jak zawsze przyszedł lekko spóźniony, ale elegancki w granatowej klubowej marynarce ze złotymi guzikami i białej koszuli. Z obowiązkowym fularem. Pachniał, za mocno, wodą kolońską Eau Sauvage, której używał od lat. Jakże odbiegał od prowincjonalnego stylu swojej żony, która na wszystkie okazje wkładała bezkształtne żakiety szyte przez osiedlową krawcową. Elegancji miały jej dodawać perły z Jabloneksu i czarna wata cukrowa z ufarbowanych na heban włosów i powietrza. Siedziała teraz za stołem, nerwowo stukając w wykrochmalony obrus perłowo opalizującymi paznokciami.

– A opłatek kto przywiózł?! – nagle wypaliła triumfalnie. – Nikt z was by o tym nie pamiętał! – Rozejrzała

się wokół, mrużąc oczy jak zmija.

– Tak, żabeńko, masz rację – przytaknął ojciec.

– Dziadek, a musimy się dzielić opłatkiem? To beznadziejne – miauknął Michaś, ubrany w lekko już przykrótkie, ale jedyne porządne wełniane spodnie, z ubiegłego sezonu, białą koszulę i granatową kamizelkę. Prezentował się całkiem schludnie. Wujek Piotr osobiście wyzelał mu włosy.

– Musimy się dzielić Ciałem Chrystusa, musimy, kochanie, bo Bozia na nas patrzy – fuknęła babcia. – Więc życzę ci, najdroższy wnuku, żebyś był greczny i dobrze się uczył.

– Nie ma żadnej Bozi, przecież nie chodzimy do kościoła! – parsknął i wydał usta najbardziej nonszalancko, jak potrafił.

– ... i żebyś był greczny! – powtórzyła babcia, wkładając łakomie opłatek do ust. – A tobie, mój synu – odwróciła się do Piotra – żebyś wreszcie się ustatkował i obdarzył nas wnu...

Trach! Trochę za głośno postawiłam na stole śledzia z niemieckich delikatesów, wędzonego łososa z supermarketu i kawior z Polnej, który przywieźli mi w prezencie. Jedzenie od razu przykuło jej uwagę. Bacznie rozejrzała się po stole.

– A karpia po żydowsku nie ma? – Skrzywiła się znad okularów.

– Nie, mamuś, to chyba katolickie święto. – Milkliwy z natury brat lekko się ożywił.

– Ale ryby faszerowanej, widać, nie chciało ci się zrobić – zauważył po chwili ojciec wyraźnie zadowolony ze swej spostrzegawczości. Matka nagrodziła go grymasem, który trochę przypominał uśmiech.

– A mówiłam, żebyście przyjechali do Warszawy na święta, wszystko by było... – Westchnęła teatralnie,

dziobiąc widelcem w gravad laksie. – Na co tyle tego kopru? Łososa nie widać, a ości pewnie są! – Poprawiła złote oprawki na nosie.

Wkurzali mnie. Zacisnęłam zęby i skupiłam całą uwagę na Michasiu. Ten właśnie smarował opłatek masłem. Skarciłam go wzrokiem.

– No o co ci chodzi? Przecież wiesz, że ja TEGO WSZYSTKIEGO nie jem! Mogłaś mi zrobić spaghetti.

– Ale nie robiłam! Zupy też nie będzie! Bo mama nie je barszczu, ojciec grzybowej, a Piotrek i Michaś żadnej!

Spojrzeli na mnie zdziwieni.

Po co przyjechali? Po co ja ich zapraszałam?

– Jak wam smakuje majorkańskie wino? – Uniosłam kieliszek. – Za udane święta! – Wypiłam duszkiem, nim zdążyli dołączyć do toastu. – No to teraz danie główne...

– A ruskie pierogi? – upomniał się Michaś.

– Ruskich na Wigilię się nie je, a z grzybami nie lubisz, to nie robiłam.

– Domyślałam się, że karpia z frytkami również nie podasz – włączył się ojciec. – Boże, Boże, co to za Wigilia! – Schował twarz w dłoniach.

– Słuchajcie, jest lubina pieczona w soli... pyszna ryba, z targu, dużo smaczniejsza od karpia, i jest łosoś – skonfrontowałam ich z sytuacją, ale zaraz przypomniało mi się, że nie znam numeru na pogotowie.

Ojciec poczerwieniał i otarł pot z czoła. Przestraszyłam się.

– A ja coś mam! – Matka tylko czekała na tę chwilę. – Piotruś, przynieś termos z samochodu! Na szczęście pomyślałam za ciebie, córeczko! Daj półmisek!

Gdy Piotruś otworzył termos, smród smażonego karpia w panierce wypełnił jadalnię. Matka z dumą układała dzwonka na półmisku. Nikt nawet nie spojrzał na moje ryby.

Czarę świątecznej goryczy przelał słodki migdałowy turrón, twardy nugat. Połamałam go na nierówne kawałki i ułożyłam na posrebrzonym półmisku. Postawiłam z dumą i nadzieją na stole – lubili słodyczne.

– Zęby sobie na tym połamię – ocenił chytrze braciszek i natychmiast poszukał aprobaty w spojrzeniach rodziców.

To był cios poniżej pasa, bo oprócz turrónu z twardej mieszaniny siekanych migdałów i karmelu podałam także turrón blando, miękki jak chałwa, odpowiedni nawet dla bezzębnych staruszków.

– Stasiu, uważaj na mostek! Chwiał ci się ostatnio – podchwyciła matka. – Dobrze, że ten mak przywiozłam, przynajmniej na sylwestra kutia będzie! A oni to co w ogóle jedzą na Wigilię?

– Ensaimadę, drożdżowe ciasto. I popijają czekoladą. Ich wiara nie wyraża się w żarciu. A potem jadą na Misę.

– Hiszpanie niby, a tacy bezbożnicy! – Pokręciła głową, jakby nie dowierzając. – Na jaką znowu misę? Stasiu, co ona mówi?

– Misa del Gallo! Pasterka! – warknęłam. – Misa to msza, gallo to kogut, który pierwszy zobaczył Jezusa, czy jakoś tak.

– Msza to wsza, msza to wsza! – wierszem dołączył do rozmowy Michaś utyłany karmelowym turrónem.

– Wstydzilibyś się! – syknęła babcia. – Oj, święty Mikołaj nie przyjdzie! Pana Jezuska serce boli! Nie wolno żartować z sakramentów!

– Msza wsza, sakramenty ekskrementy – nucił Michaś pod nosem, ostrożnie nalewając babci drugi kieliszek koniaku. – I tak już widziałem prezenty!

\* \* \*

W środku nocy pojechaliśmy do Palmy. W rześciście

oświetlonej katedrze Seu kilkunastu księży w biało-złoty sutannach celebrowało misterium Bożego Narodzenia. Nastrój był niezwykle podniosły, a jednocześnie przyjazny, ludzki. Matka niemymi ustami odmawiała polską modlitwę, znużony Michaś zasnął oparty na jej ramieniu, brat ziewał ukradkiem. Delikatny zapach mirry i topiącego się pszczelego wosku z tysiąca świec, monotonny chór kataloński i wahadłowe ruchy lekko rozchwianego wiszącego ołtarza Gaudiego wprowadziły mnie w trans. Zmęczona świątecznym dniem poddałam mu się z przyjemnością. Nim zupełnie odpłynęłam w nirwanę na kościelnej ławce, zobaczyłam, jak na twarzy ojca, wierzącego jedynie w to, co sam wykladał na Wydziale Inżynierii Lądowej, maluje się jakieś wzruszenie. Nasz wigilijny cud.

[8] (hiszp.) – Mak?



## HAPPY NEW YEAR

Piotr wrócił do Polski już w drugi dzień świąt. Była to nagła decyzja, podjęta, jak się domyślałam, po bezsennej nocy, która zesłała mu na dramatycznej wymianie SMS-ów z Damianem. Spał na kanapie w salonie, więc przez uchylone drzwi sypialni słyszałam niekończące się pipi-pipip jego telefonu.

Gdy przy śniadaniu oznajmił, że ma bilet na popołudniowy samolot, matka poczerwieniała ze złości i nie dała się udobruchać nawet propozycją wycieczki do klasztoru Sant Salvador, ale później w kuchni, gdy pakowała dla Piotrusia indyka na drogę, szepnęła już uspokojona:

- Wiesz, ja myślę, że on kogoś poznał...
- Niewątpliwie – uśmiechnęłam się kwaśno.
- Oby to była jakaś porządna dziewczyna! – zaklinała rzeczywistość tak nierzeczywistą, jak to tylko możliwe.

W głębi ducha zazdrościłam Piotrkowi ewakuacji z rodzinnej operetki w wydaniu świątecznym. Matka ciągle chciała zwiedzać kościoły, a ojciec przykleił się na stałe do telewizora i nie pozwalał Michasiowi przełączać na programy dla dzieci.

- To są najważniejsze gole tego roku! – tłumaczył w piątej godzinie oglądania kanału sportowego.

– Nie wstyd ci? Są święta, bezbożniku! – strofowała go dr Dziubak.

Nie miałam dokąd uciekać. Na święta wszyscy, oprócz Altosa – z uwagi na Wasana, wyjechali z Majorki. Anna szalała z nowym kochankiem na stokach Zermattu, Ivanka ratowała swoje małżeństwo w słowackich Tatrach, a Rosa nadrabiała z rodziną spóźnioną Chanukę w Górnej Austrii.

Po trzech świątecznych dniach, które tradycyjnie upłynęły na narzekaniu i wzajemnym obwinianiu się o

niespełnienie oczekiwań, odważyłam się dolać oliwy do ognia.

– Skoczyłabym na dwa dni do Wiednia... Zostaniecie sami z Michasiem? – rzuciłam przy śniadaniu.

Matka natychmiast odstawiła filiżankę z kawą i przyjrzała mi się uważnie.

– Max? – zapytała.

– Co Max?

– No, spotkasz się z nim? Coś jednak z tego będzie? – Oczy jej się zaświeciły, a głos podniósł o oktawę.

– Nie wiem, nie dlatego jadę. Umówiłam się z koleżankami.

– Z tymi rozwódkami, tak? Przez nie nigdy męża nie znajdziesz!

– Nie jadę szukać męża!

– A szkoda! – krzyknęła. Zdenerwowana wypila sok pomarańczowy do dna. Natychmiast nalałam jej następny i niemym gestem spytałam, czy wzmocnić go campari. Przytaknęła. – Gdzie się więc zatrzymasz?

– U Moniki.

Matka tylko westchnęła, a potem zamilkła na resztę dnia.

\* \* \*

Monika Doller, rozwiedziona, lat trzydzieści cztery. Ostatnie trzy lata spędziła w Emiratach, gdzie z pasją zajmowała się rekrutacją personelu lotniczego.

– Mogę w nich przebierać jak w ulegalkach – mówiła – a tych przystojniejszych zapraszam na dodatkowe testy... w domu...

Z początkiem grudnia przyleciała do Wiednia i natychmiast wpadła w depresję z powodu braku słońca i arabskich kochanków.

– Raz Arab, zawsze Arab! Gdybyś tylko spróbowała... Wiesz, że na nich żadne prezerwatywy się nie mieszczą? – tłumaczyła swój brak zainteresowania Europejczykami.

W hali przylotów nie było wielu oczekujących, więc szybko ją zauważyłam – miała wciąż te same od lat, niemodne różowe pasemka na tlenionych włosach, mocny makijaż i kurtkę w lamparci wzorek. Ten bolesny i oczywisty brak gustu zupełnie nie pasował do jej dyplomu magistra psychologii klinicznej.

– Maaaadaaaaa! Maaadaaa! – piszczała na całe lotnisko jak nagrzana nastolatka na rockowym koncercie. – Jak się cieszę, że jesteś!

Uścisnęłyśmy się mocno.

– Niestety jest pewien problem... Arif przyjechał. Zrobił mi niespodziankę. – Spojrzała wzrokiem skomlącego spaniela.

– To co z tego?

– Bardzo cię przepraszam, ale nie możesz u mnie zamieszkać... już wszystko załatwiłam z Makssem, zostawił ci swoje mieszkanie, jest z dziećmi w Karyntii. – Zatrzepotała sztucznymi rzęsami ozdobionym kryształkami Swarovskiego.

Dzielenie kawalerki z oszalałą od hormonów Moniką i jej arabskim ogierem może nie było najlepszym pomysłem na sylwestra, ale perspektywa samotnego zamieszkania w znanym mi z nie tak dawnych czasów ogromnym mieszkaniu Maksa też nie wprawiła mnie w euforię. Choć Max od ponad pięciu lat mieszkał w nim sam, czuło się tu obecność Livii, której złego, choć niestety wciąż żywego ducha czcił jak najwierniejszy wdowiec. W szafach wisały jej ubrania, w łazience stały dawno przeterminowane kosmetyki, ze ścian straszyły podobizny byłej małżonki, brakowało tylko ołtarzyka i świeczek. Max nie śmiał usunąć tych pozostałości, śladów, wspomnień, cholera wie czego,

choć od czterech lat był oficjalnie rozwiedziony, a wolny od pięciu, kiedy to Livia przyłapała go na szybkim seksie z sekretarką.

\* \* \*

Prawie trzystumetrowe mieszkanie zajmowało całe piętro secesyjnej kamienicy w dzielnicy dyplomatycznej, gdzie dobrze urodzonym wypadało mieszkać. Tu miał pałac księżę Schwarzenberg, który swym licznym spowinowaconym sąsiadom chętnie użyczał klucza do prywatnego ogrodu. Klucz ten istniał w kilkudziesięciu egzemplarzach, był dziedziczony i pilnowany jak Święty Graal, by kolejne pokolenia małych hrabiątek i baronesek mogły zażywać świeżego powietrza w centrum miasta, ale z dala od wszelkiego pospólstwa. Max oczywiście też miał dożywotni wstęp do książęcego ogrodu.

Jedna z elegantszych kolacji, na które kiedykolwiek zostałam zaproszona, odbyła się właśnie w pałacu księcia. Dostałam tego zaszczytu, gdyż księżę słynął z ekscentryczności i nie baczył, że nie łączy mnie z Maksem odpowiedni sakrament. Oświetlone kryształowymi żyrandolami sale balowe, lokaje w liberiach, okrągłe stoły ze złożoną zastawą i rodowym herbem w koronie. Bajka. Posadzono mnie między suchym jak wiór Habsburgiem z linii żywieckiej a dość przystojnym arcybiskupem, hrabią S. Staruszek z Beskidów okazał się bardziej rozmowny i zrobił mi długi wywód o szansach odzyskania dawnych ziem. Był pod wrażeniem mej wiedzy o tej egzotycznej krainie, choć ograniczała się ona do znajomości piwa Żywiec i wody mineralnej o tej samej nazwie. Intrygował go tylko mój delikatny akcent, którego proweniencji nie był pewien.

– Jestem z Polski!

– Aaaaa, Polen... – zamyślił się stary księżę. – To

dlaczego mówi pani tak dobrze po niemiecku? A jak w ogóle udało się pani wyjechać z Polski? Uciekła pani? Była pani w obozie? Państwo austriackie bardzo pomagało uchodźcom.

Zerknęłam z nadzieją na arcybiskupa. Ten jednak nie odrywał wzroku od talerza z lobster bisque, a karminowych ust od srebrnej łyżki. Tymczasem księciu z Żywca przyszło do głowy coś miłego.

– A ja już kogoś z Polski znam!

– Naprawdę? – ucieszyłam się.

– Moja sprzątaczką jest Polką! – oświadczył Habsburg zachwycony własną elokwencją.

– A moja jest Austriaczką – skłamałam – ale fatalnie sprząta.

\* \* \*

Stałam na przyprószonym świeżym śniegiem chodniku i zachłannie wdychałam mroźne grudniowe powietrze. Trzymałam w ręce klucze do mieszkania, które wręczyła mi Monika, nim w pośpiechu odjechała do swojego Arifa. Czułam się z nimi dziwnie. Zwykle naciskałam dzwonek oznaczony dyskretnym napisem „v. T.”, a znajomy głos wypowiadał przeciągle „Jaaaaa?” i ciężkie, secesyjne drzwi od bramy otwierały się, gdy lekko je pchnęłam. Teraz pierwszy raz miałam je otworzyć sama, wejść do pustego mieszkania, wtargnąć w jego ciemne tajemnice. Kiedyś drżałabym z podniecenia, że nikt nie pilnuje, bym nie przekroczyła ustalonych granic, bym nie szydziła z zakurzonych sukienek Livii, nie chciała wyrzucić jej zjełczałych kremów i wyschniętych szamponów. Ale teraz czułam się z tym źle, jak uboga krewna, tak nieistotna, że użyczono jej z litości i bez obaw dachu nad głową w centrum miasta.

W mieszkaniu panował półmrok – Max miał zwyczaj zaciągania zasłon nawet w ciągu dnia – chronił przed ostrym słonecznym światłem stare obrazy i zabytkowe meble, pamiętające nie tylko jego pałacowe dzieciństwo, ale i parę pokoleń rodziny von T. Parkiet ułożony we francuską jodełkę skrzypiał bardziej niż zwykle, a zegar stojący na kominku odmierzał czas też jakby głośniejszym. Tik-tak, tik-tak. Dom duchów żył własnym życiem. Rozsunęłam zasłony i pokój wypełnił się bladym, zimowym światłem. Opadłam na kremową kanapę, jedyny współczesny mebel w salonie. Co ja tu robię? To miał być wesoły weekend u przyjaciółki, miałyśmy nagadać się za wszystkie czasy bez roamingu i bajońskich opłat, przedyskutować moje ostatnie i definitywne rozstanie z Maksem oraz ocenić zalety arabskich kochanków na podstawie opowieści Moni o tysiąc i jednym orientalnym bzykanku. A tymczasem jakiś jurny Arif zapragnął przylecieć i przelecieć swoją różowo-blond kochanicę.

Obiecała, że wieczorem się go pozbędzie. Choć tyle. Jako muzułmanin nigdy nie pił w miejscach publicznych.

\* \* \*

Siedziałam w wygodnym fotelu w Sky Bar i przyglądałam się panoramie szarych, cynowych dachów. Smutny i uporządkowany widok. Jak wszystko tutaj. Nie byłam w Wiedniu całe wieki, czyli prawie pięć miesięcy, i teraz wszystko wydawało mi się obce.

Caroline Rosenstern-Beaulieu, zamożna bizneswoman i rozwiedziona matka dwujajowych bliźniaków, jak zwykle pojawiła się w piorunującej mieszance, coś między gothikiem, burdelem i femme fatale. Robiła wszystko, by zbrukać swoje wiele znaczące w Wiedniu nazwisko z długą kupiecką tradycją. Jej ostra, semicka uroda, wulgarna

czerwona szminka i czarna skórzana minispódniczka przyciągały uwagę każdego mężczyzny. I o to chodziło.

– Madda, kopę lat! – krzyknęła na powitanie. – Wspaniale się trzymasz!

Wszystkie męskie spojrzenia były jej. Teatralnie pocałowała mnie w oba policzki, kątem oka kontrolując reakcję sali.

– Fajna kolia! – pochwaliłam nabita kolcami skórzaną obrozę, którą miała na szyi. Nigdy bym takiej nie założyła. – A to przypadkiem nie odstrasza facetów?

– Moich – nie! – uśmiechnęła się.

Jej, to znaczy tych grzecznych mięczaków z wyższych sfer, którymi dla uspokojenia rodziny się otaczała, a którzy później w seksualnej ekstazie zlizywali błoto z jej lateksowych kozaków. Takie miała hobby, a może tak wykorzystywała MBA z prestiżowej uczelni? Liczenie chłost?

– Szampanaproszę, cała butelkę oczywiście! – powiedziała do kelnera jednym tchem.

Usiadła na poręczy fotela, nie zważając na to, że kusa skórzana spódniczka ledwo zakryła jej symbolicznie osłonięte łono. Nie była w Wiedniu anonimowa, zaledwie parę kroków stąd od ponad stu lat znajdował się flagowy sklep rodzinnej firmy, wytworny skład porcelany i sreber K.u.K. Rosenstern, i było jej to zupełnie obojętne.

Stuknęłyśmy się kieliszkami.

– Żebyśmy były zawsze młode i szczęśliwe!

– I dobrze obsłużone! – dodała Caro, patrząc prosto w oczy kelnerowi. – W każdym aspekcie!

– Przestań! – syknęłam.

– Czyżby nasza Caro już narozrabiała? – Nad nami wyrosła Ursula Havelka.

Uwielbiałam ją. Ursi pracowała jako szefowa stewardes w austriackich liniach lotniczych. Gdy w swoim ładnym, skromnym i schludnym mieszkaniu podawała mi kawę,

zawsze czułam się jak pasażer pierwszej klasy. Sama też była ładna, skromna i schludna. Idealny materiał na żonę, porzucony przez jakiegoś idiotę jeszcze przed ślubem, lecz już po splodzeniu progenitury.

– Kochane, jak dobrze was widzieć! Maduszka! Caro! – szczebiotała delikatnym głosem kruchej blondynki. – Jak się cieszę, że razem spędzimy tę noc! A Monika nie przyjdzie? – Ursi odruchowo mówiła z prędkością odrzutowca.

– Nie wiem, zależy od kondycji Araba – uśmiechnęłam się z przekąsem.

– O Boże, ta nasza Monia! – westchnęła Ursi. – Ostatnio, jak ją wzięłam na stand by do Dubaju, to już gdzieś nad Turcją przeleciała co-pilota. Nawet nie wspomnę, co było dalej...

– Macie arabskich pilotów? – zdziwiłam się.

– Nie, ale to był trening przed! A potem ten czarny w hotelowej windzie...

– Oj przestań, bo się porzygam – przerwała jej Caro. – O, patrzcie, o wilku mowa!

Zupełnie zapomniałam, że barmani to druga słabość Moniki. Pani magister psychologii klinicznej stała oparta o bar i w skupieniu wstukiwała coś do telefonu.

– Hej, sweetie, przyjdiesz do nas? – zawołała Caro.

– Spróbuję. – Monika z trochę przesadzonym grymasem bólu na twarzy przykuśtykała w naszą stronę. – Cześć, kochane! Sorry, ale mogę dziś tylko stać...

– Arif? – spytałam.

– No a jak! – Twarz jej się rozjaśniła. – Zaraz wam opowiem – Monia sięgnęła po torebkę – ale najpierw niech mi któraś wbije numer tego ciacha z za baru. Nie mogę tu chyba wkładać okularów! – wyjaśniła. – 604 53... No i zapomniałam!

– Daj spokój! Masz Araba w domu!



– No fakt. Ale on jutro wylatuje. To teraz wam pokażę mój gwiazdozbiór. – Wysypała na stolik kilkadziesiąt zdjęć smagłych, przystojnych mężczyzn. – No proszę: Emir, Arif, Abdul, Hassan, Farid...

Dwie butelki szampana później miałyśmy znowu po dwadzieścia pięć lat, żadnych zmartwień i cały świat u swoich stóp. Biegłyśmy przez zaśnieżoną Kärtnerstrasse, drobne płatki szybko roztopiały się na rozgrzanych szampanem twarzach. Caroline ledwo szła na swych szesnastocentymetrowych metalowych szpilach, Monia kuśtykała z wiadomego powodu, Ursi dreptała szybkimi krokami małej kobietki, a ja leciałam jak na skrzydłach. Śpieszyłam się do mojego dawnego życia, tego sprzed Maximiliana von und zu T., sprzed Majorki, i trochę też sprzed Roberta Bluma. Mijałyśmy sprzedawców grzanego wina i pieczonych kasztanów, eleganckie wystawy sklepów jubilerskich i w końcu katedrę na placu św. Szczepana. Jechałyśmy specjalną, czyli jak mówią analfabeci z PR – dedykowaną, windą do Onyx Baru na ostatnim piętrze Haas Hausu. Drugie, trzecie, czwarte, jeszcze dwa piętra i będę w domu.

\* \* \*

Nie wiem, jak znalazłam się w łóżku Maximiliana. Był pierwszy styczeń dwa tysiące dwa, późne popołudnie. Miałam na sobie całą biżuterię z poprzedniego wieczora i nic poza tym. Rozejrzałam się po pokoju. Byłam najwyraźniej sama, na szczęście. Kręciło mi się w głowie, ale jakoś dotarłam do ekspresu w kuchni i zrobiłam sobie kawę. Nie pomogło, zemdliło mnie i poczułam się jeszcze gorzej. W łazience trafiłam na ślady nocnej toalety, porzucane ubranie, rozlany płyn do zmywania makijażu, szczoteczkę do zębów zgubioną pod prysznicem. No nieźle!

Oplukałam zapuchniętą twarz i wybrałam się na poszukiwanie torebki. Leżała na podłodze pod drzwiami wejściowymi. Portmonetka, klucze, puder na dywanie obok tworzyły smutną kompozycję, pamiątkę mojego moralnego upadku. Ale pojechałam! – pomyślałam dość obiektywnie. Jak ci nie wstyd! – dodała szybko matka – tak się upić?! To już nie można się bawić bez alkoholu? Jak ci nie wstyd!? Wstyd! Wstyd! Kra, kra! – krakała w mojej głowie.

Nie bardzo wiedziałam, czy powinno mi być bardzo wstyd, czy może tylko trochę, bo pamięcią sięgałam jedynie do pierwszego drinka w Onyx Barze, czyli piątego w ogóle. Potem pewnie były następne, w liczbie tajemnej, nieznannej nawet mojej karcie kredytowej, bo ciągle ktoś mnie zapraszał. Zapewne jakieś byłe, niedoszłe lub przyszłe sympatie. Sorry, nie pamiętam. Podniosłam z podłogi śmierdzącą nocą i papierosami sukienkę. Szczęśliwie leżał pod nią mój telefon. No proszę, nie zgubiłam! Cztery nieodebrane połączenia. Osiem wiadomości. Co za kretyn dzwoni tak wcześnie w pierwszy dzień roku? No tak. Matka o dziewiątej rano! Max później, za to trzy razy. „Życzymy Ci, żeby w nowym roku wszystko Ci się w końcu ułożyło! Babcia, Dziadek i Michaś”. Koszmar. Wiem, wiem, nie umiałam UŁOŻYĆ sobie życia, a to przecież był jego cały sens. W małej głowie dr Dziubak-Kalińskiej.

Wyświetliłam następny SMS, z nieznanego mi numeru. „Happy 2002! Dein F”. Co za mein F.? Franz? Friderik? Ferdinand? Nic nie pamiętam. I jeszcze od Maxa: „Co się dzieje? Czemu nie odbierasz?” i następny: „Nie zapomnij wszystkiego poskładać, nie zostawiaj żadnych śladów proszę! M”.

Ja pierdołę, co za gościnność!

Szczęśliwego Nowego Roku, żałosna idiotko, z palącym problemem alkoholowym i nieułożonym życiem!

## KWITNĄCE MIGDAŁY

Pod koniec stycznia zrobiło się wiosennie. Nareszcie tak, jak miało być, jak obiecywali w folderze i przedstawiali w programie all inclusive. Jak w moich marzeniach. Ciepło i słonecznie. Miło i radośnie. Pogodnie. Przyjaźnie.

Zakwitły drzewa migdałowe, Majorka utonęła w morzu bladoróżowych kwiatów. Mandelblüte, mówią na to Niemcy, którzy masowo zjeżdżają podziwiać botaniczny fenomen. Na naszym tarasie też dokonał się cud ogrodniczy – bez większych ceregieli, nawożenia, pielęgnacji, tak po prostu drzewko pomarańczowe obrodziło w pięć pięknych pomarańczy. Moje pierwsze zbiory. Cieszyłam się ich widokiem przez kilka dni, podziwiałam, oglądałam, fotografowałam, wysyłałam zdjęcia znajomym, jakby to było nowe dziecko w rodzinie albo co najmniej szczenięta. Czekaliśmy, aż pomarańcze nabrzmieją od soku, aż pierwsza stanie się zbyt ciężka dla cienkich gałązek i wyląduje na ziemi. Dopiero wtedy odważyliśmy się zerwać pozostałe cztery i celebrować ich smak na dwóch kolejnych podwieczorkach. Pachnąca, miękka skórka z łatwością odchodziła od ociekającego sokiem miąższu, wystarczyło lekko oderwać ją palcami, obrać jak mandarynkę. Smakowała jak milion dolarów, wyjątkowo, nadzwyczajnie, niepowtarzalnie. Jedyna taka, własna.

Sezon na pomarańcze zaczyna się w grudniu. Pierwsze dojrzewają zimowe navalinas, niesłodkie, soczyste, z grubszą skórka, którą łatwo zdjąć. Zbiera je się do końca stycznia. W styczniu i lutym pojawiają się gorzkie owoce idealne na konfitury. Wiosenna pomarańcza to canoneta, ma cienką skórka i nadaje się wyłącznie na sok. Im później dojrzewa, tym jest słodsza. Wczesną wiosną piętrzą się w sklepach las naranjas, ułożone w pomarańczowe góry albo wrzucone do wielkich koszy. Tanie. Za kilkanaście centów

kilogram. Barrato!

Słowo „barrato”, czyli tanie, bardzo ostatnio polubiłam. Jak zresztą wszyscy, bo odkąd dwa miesiące temu zamienili nam pesety na euro, wszystko stało się dwa razy droższe. Moje oszczędności topniały jak góra lodowa w dziurze ozonowej – powoli, lecz nieubłaganie. Herbert milczał, nie przysyłał nowych zleceń, zasłaniał się kryzysem, ale ja czułam, że uległ cyfryzacji i teraz ktoś dostarcza mu tanie rendery. Moje umiejętności mogłabym najwyżej przekuć w rzemieślniczą produkcję cikliwych akwarelek z zachodami słońca, ale konkurencja na tym polu była ogromna. Nie tylko głodujący artyści, ale też samouki z niedzielnych szkółek zasypywali swą radosną twórczością stragany, nadmorskie sklepiki, a nawet poważne galerie w Palmie.

Może więc zostanę kimś innym?

Duże niemieckie biuro podróży potrzebowało marketingowca, a amerykańska sieć hotelowa – samodzielnych, wielojęzycznych sprzedawców. Nie brzmiało to jak rocket science, więc zadzwoniłam.

Głos z infolinii pięciogwiazdkowego hotelu zdradził, że kandydaci przejdą egzamin kwalifikacyjny oraz osobiste interview. Brzmiało poważnie i rzeczowo.

– W najbliższą środę o dziewiątej, ale proszę być za dziesięć w sali Manacor.

We wtorek wieczorem ostrożnie położyłam na krześle świeżo wyprasowane granatowe spodnie, białą bluzkę i niezawodną apaszkę od Hermésa, która pamiętała czasy mojej prosperity, czyli bardzo dawne. Taka stylizacja wydała mi się najbardziej zbliżona do biurowego ideału.

Hotel znajdował się czterdzieści kilometrów na wschód, dość blisko morza, dość blisko lotniska, dość blisko autostrady i daleko od wszystkiego innego. Wyjechałam z domu o ósmej, godzinę przed Michasia wyjściem do szkoły i bez gwarancji, że do tego wyjścia dojdzie. Niezadowolony z

wcześniejszej niż zwykle pobudki, ziewał ostentacyjnie przy śniadaniu, zupełnie niezainteresowany moimi planami.

– Jakoś głupio wyglądasz – ocenił mój oficjalny strój i starannie ułożone włosy.

Punktualnie kwadrans przed dziewiątą weszłam do wyłożonej miękkim, wzorzystym dywanem sali Manacor. Takich tłumów się nie spodziewałam. Sala wypełniona była kolorowym bukietem narodowości, płci i wieku. Atmosfera od pierwszej minuty uprzejmie nieprzyjazna, kandydaci wymieniali wrogie spojrzenia i nie rozmawiali ze sobą. Pracę chciał każdy, a wakaty były cztery. Asystentka w korporacyjnym mundurku rozdawała badge z nazwiskami.

– Your name, please?

– Magdalena Kalińska-Blum.

– Kalynska? – Skrzywiła się. – Może pani przeliterować?

– To niech pani pisze Blum, bi, el, ju, em, tak będzie łatwiej.

– Nie mogę, podała pani dwa nazwiska i tak musi zostać – powiedziała jakby z wyrzutem.

Otworzyły się podwójne, fornirowane orzechem drzwi i inny umundurowany pracownik zaprosił nas do środka. Dostaliśmy zbiór testów i godzinę na ich rozwiązanie. Bawiłam się przy nich całkiem nieźle. Zadania matematyczne, językowe i marketingowe obliczone były na dwucyfrowe IQ.

Do następnej rundy przeszła połowa chętnych. Na decydującą rozmowę z potencjalnym pracodawcą wywoływano nas alfabetycznie. Jednak weszłam jako Blum, więc dość szybko, jako czwarta. Za ciemnym biurkiem siedziała trzyosobowa komisja, co w ułamku sekundy aktywowało moją traumę maturalną. Mają mnie! Teraz się wyda, że się nie przygotowałam, nie nauczyłam i nie zdam.

– Czy wie pani, na czym polega ta praca? – spytał

czarnoskóry członek komisji z bardzo amerykańskim akcentem.

– Powiedziano mi, że na sprzedaży... bez szczegółów, więc pewnie chodzi o jakieś działania marketingowe – bredziłam.

– Chodzi o sprzedaż timesharing. Nasz hotel powiększył się właśnie o apartamenty, które zamierzamy sprzedawać w tym systemie. Jak pani może wie, timesharing polega na...

Tak, dobrze wiedziałam, na czym polega. Kilka lat temu ciocia Marylka utopiła w podobnym przedsięwzięciu majątek i dwa kredyty, a potem nie starczyło jej już na bilety, by dolecieć do „swojego” apartamentu na Costa del Sol, jeśli w ogóle był wolny poza końcówką listopada, szczytem pory deszczowej. Czułam, że nadszedł moment pomszczenia cioci.

– W takim razie nie jestem zainteresowana! Dziękuję! – Afroamerykanin spojrział na mnie zaskoczony, a pozostali kandydaci, gdy wyszłam z gabinetu, serdecznie, bo sama wyeliminowałam się z gry.

– I jak było? – spytał Michaś, gdy odbierałam go ze szkoły.

– Nic z tego nie będzie. To nie dla mnie.

– No i dobrze – podsumował – bo codziennie bym musiał na piechotę chodzić.

Parę dni później pojechałam na rozmowę do dużego niemieckiego biura podróży na przemysłowych przedmieściach Palmy. Daleko i brzydko.

– Frau Konopke? Pierwsze piętro – powiedział portier w dyżurce.

Stalowymi schodami weszłam do wielkiej hali podzielonej szklanymi przepierzeniami na klatki dla pracowników. Frau Konopke urzędowała w największej, była więc w tym zoo najważniejsza. Bezbarwna, sucha,

żyłasta.

– To kim pani jest: Polką czy Niemką? – zapytała bez zbędnych wstępów. – Bo turystów z Polski nasze biuro nie obsługuje.

– To miło! Więc jestem Niemką, jak dla pani – uśmiechnęłam się i obie już się nie lubiliśmy.

– W jakie dni chciałaby pani pracować? – zapytała chyba tylko pro forma.

– To mogę sobie wybrać? Nie codziennie? To super! Może wtorki, środy i czwartki? – Byłam naprawdę mile zaskoczona.

– Chodzi mi o weekendy. W soboty czy w niedziele?

– Nie, w weekendy nie mogę! Mam przecież dziecko... napisałam w CV. A w ogłoszeniu była mowa o pracy w waszym marketingu. Myślałam, że chodzi o strategię sprzedażowe, redakcje prospektów, pisanie ofert, reklamę, PR?

– Najpierw trzeba poznać firmę od pod-szew-ki – ostatnie słowo wysylabizowała, mrużąc małe oczy – więc w sezonie pracowałyby pani z naszymi grupami w terenie. Odbiory z lotniska mamy zwykle w soboty.

– W takim razie zastanowię się – skłamałam.

– Oczywiście. Proszę dać znać – odpowiedziała Konopke, wiedząc, że już nigdy się nie zobaczymy. – Auf Wiedersehen, Frau Blum!

Nadal więc byłam bez pracy, męża i perspektyw. Problem był coraz większy. Rósł najpierw po cichu, jak rak, a teraz stał się tak wielki, że rozrywał mi głowę. Nie mam pracy i zaraz nie będę miała z czego żyć. A stąd już prosta droga do ostatecznej porażki, do panińskiego pokoju w segmencie Krystyny i Stanisława Kalińskich.

– Zobaczysz, jeszcze wrócisz jak niepyszna – cieszyła się matka. – Po co to za wszelką cenę za granicą mieszkać? U nas już jest dobrze, normalnie! Religia wreszcie w

szkołach! Dziecko by na Polaka wyrosło, a tak to co?

Nie chcę wracać, nie dam jej tej satysfakcji. A Michaś ma być Obywatelem Świata, do cholery!

Pilnie potrzebowałam wsparcia, zrozumienia lub chociaż kielicha, ale akurat zabrakło tej pomocnej dłoni, cierpliwego ucha czy choćby wiadra na emocjonalne pomyje, jak mawiał Altos. Zostałam sama. Rosa popłynęła na Ibizę z nowo poznanym joginem, Ivanka intensywniej niż zwykle klóciła się z mężem, a Altos akurat medytował, o czym w dwóch językach informowała automatyczna sekretarka, włączona pewnie na długie dni.

I wtedy zadzwonił Hannes.

Hannes Obermeier wyglądał jak Indiana Jones, podawał się za alpinistę i wzbudzał zaufanie. Niesłusznie, bo w rzeczywistości był tanim fantastą i odbiorcą niemieckiego zasiłku dla bezrobotnych. Wydało się to w dość dramatycznych okolicznościach, bo podczas walki o życie na śliskiej skale w górach Tramuntany. Amatorska wspinaczka pod jego sztandarami zakończyła się ogólną histerią, interwencją pogotowia górskiego oraz spektakularnym zerwaniem znajomości.

Tym bardziej zdziwił mnie jego telefon.

– Jak leci? Masz czas dziś wieczorem? – zapytał, jakbyśmy byli kolegami.

– Nie sądzę, żebym miała czas dla ciebie.

– Nie chodzi o mnie... Podobno zajmujesz się projektowaniem?

– Zajmowałam – powiedziałam z przekąsem. – W Austrii, dawno temu. – Co niestety było zgodne z prawdą.

– Mój znajomy buduje dom w Santa Maria i potrzebuje porady. Wpadniesz do Andratx? O ósmej?

Znajomy Hannesa. To nie wróżyło nic dobrego. Znajomy Hannesa, czyli podobny do niego kolejny nieudacznik z Niemiec, który kogoś udaje, zazwyczaj



milionera, a w rzeczywistości remontuje jakiś barak systemem gospodarczym, jak Hannes swój „dom” w Torrens, i żyje z zasiłku wypłacanego przez Niemiecką Rzeszę. O nie!

„Nigdy nie wiadomo, kogo się spotka – odezwał się głos matki z tyłu głowy. – Jedź, nie przegap szansy!”.

– Czekamy w miasteczku, nie w porcie! Na carrer Sallent, tam jest tylko jedna knajpa, trafisz.

Miasteczko Andratx było znacznie skromniejsze od bombastycznego portu, pełnego zamożnych Niemców, elegantek z karłowatymi pieskami pod pachą, ekskluzywnych butików i wyjątkowo tu licznych biur pośredników nieruchomości z najwyższej półki. Na próżno było tu szukać niemieckiej piekarni czy angielskiego rzeźnika. Rezydenci Port Andratx prawdopodobnie odżywiali się wyłącznie ostrygami i wyciągami ze szwajcarskich kont.

Zobaczyłam ich już z ulicy, siedzieli przy stoliku w oknie. Piękny, ale głupi Hannes. I wytrawny, żeby nie powiedzieć oschły, brunet. Całkiem przystojny. Przyjrzałam mu się. Coś w sobie miał. Przenikliwe spojrzenie, pociągła twarz i bardzo ciemne oczy, mało niemieckie. Łaskawie wstali na mój widok.

– Magda, to jest Martin, mój znajomy z Monachium. – Hannes uśmiechał się głupkowato.

Martin otaksował mnie przegniłym spojrzeniem aroganta. Niefajnym. Miał na sobie białą koszulę i starą skórzaną kurtkę, a na mocnym przegubie potężnego roleksa, który pewnie był chińską podróbką.

– Niech zgadnę, jesteś sąsiadem Hannesa? – To miała być złośliwa aluzja.

– Poniekąd. – Zmrużył oczy. – Mieszkam w La Mola, dziesięć minut od Hannesa.

Pewnie stróż. Pracuje za dach nad głową i parę stów.

Pilnuje rezydencji państwa. W La Mola apartamenty kosztują majątek, a domy fortunę, więc własny dozorca był już tylko groszowym dodatkiem.

– Teraz kupiłem trochę ziemi koło Santa Maria i buduję dom, dlatego potrzebuję kogoś do pilnowania tego przedsięwzięcia. Już prawie marzec, a ja bym chciał w lecie zamieszkać.

Santa Maria nie leży nawet nad morzem. Cóż on tam mógł budować? Jakiś domek z katalogu?

– Później pogadamy o interesach. Zresztą to raczej zadanie nie dla mnie. Ja się specjalizuję w biurach. – Otworzyłam menu w grubej okładce z zielonego skaju.

Przy tapas zrobiło się trochę przyjemniej, przy głównym daniu Martin okazał się inteligentnym i ciekawym facetem, przy deserze żałowałam, że z pracy nic nie będzie. Jeszcze digestivo i się w nim zakocham. Ta myśl mnie otrzeźwiła. Po co mi stróż?

– Bardzo dziękuję, ale muszę się już zbierać...

– My w sumie też. Magda, mam prośbę. Za dużo wypilem, nie podrzucisz Martina do domu? – spytał Hannes.

– No pewnie, nie ma sprawy... – zgodziłam się chętnie. Nie miał na taksówkę, a ja byłam ciekawa, gdzie mieszka.

Jechaliśmy w milczeniu aż do samego końca cypla, dokładnie tam, gdzie widok z okien sięgał horyzontu, a ceny zenitu. Dzielnica milionerów. Wysiadł przy tarasowo zbudowanych apartamentach. Może jest stróżem całego osiedla?

– To co? Wpadniesz na budowę? – rzucił na pożegnanie.

– Naprawdę nie wiem, czy to ma sens...

– Czekam o dziesiątej. Nie spóźnij się! – zarządził jak prawdziwy samiec alfa. Spodobał mi się. Władczy i zdecydowany. Max taki nigdy nie był.

\* \* \*

Rano pojechałam na umówione miejsce. Z grubsza, bo tu, wokół Santa Maria wszystko wyglądało tak samo: bezkresne pola, drzewka oliwne i pasące się pod drzewkami oliwnymi na bezkresnych polach owieczki. Krażyłam tak prawie czterdzieści minut, nim w szczerym polu zobaczyłam czarny samochód. Mercedes SL. Najnowszy. Pewnie zabrał samochód pracodawcy do myjni i skorzystał z okazji.

Przywitał mnie oschle.

– Spóźniłaś się! Za kwadrans muszę jechać na lotnisko! Tu są plany. – Podał mi teczkę.

Rozwinęłam papiery.

– To twój dom? – Nie mogłam uwierzyć. – Ale to jest... zaraz... osiemset... dziewięćset metrów kwadratowych? Dwa baseny? Wow!

– Dokładnie osiemset siedemdziesiąt metrów. Basen trzeba powiększyć, musi mieć dwadzieścia pięć metrów, lubię pływać.

Zamurowało mnie.

– No i chciałbym się zmieścić w trzech milionach, ale już widzę, że nie będzie to możliwe... – Zamyślił się.

Rany boskie! Trzy miliony euro? To chyba strasznie dużo. W nowej walucie nie byłam jeszcze biegła, ale wyszło mi jakieś czterdzieści milionów szylingów albo pierdylion peset.

– Pięć procent... zwykle biorę pięć procent, ale przy tym budżecie... – Nerwowo przeliczałam w głowie. Boże święty, tyle kasy!

– Najpierw się rozejrzyj!

Takiego burdelu jeszcze nie widziałam. Właściwie był to stan surowy, ale teren wokół grzął w rozkopach, jakby

dopiero zaczynali budować. Chlew, brud, ruja i porubstwo.

– Co tu się dzieje? Budujesz kolejne budynki?

– Nie, tylko basen. Ten zewnętrzny.

– Jeden? To dlaczego są trzy wykopy?

– Bo ciągle kopią nie tam, gdzie trzeba. Teraz wiesz, czemu cię potrzebuję. Chodź, poznasz Pedra, szefa firmy, która tu buduje. Podobno najlepszy specjalista na wyspie – dodał z sarkazmem.

Mały, okrągłutki Majorkańczyk popatrzył na mnie spode łba i niemal natychmiast wyrzucił z siebie lawinę katalońskich słów.

– Nic nie rozumiem. Niech pan do mnie mówi po hiszpańsku! – Byłam przerażona.

– Magda, to jesteście dogadani, ja was zostawiam, adios! – wtrącił Martin i wsiadł do samochodu. Odjechał bez pożegnania.

– A umowa? Nie podpisujemy umowy? Trzy procent? – krzyknęłam za nim, ale chyba nie usłyszał.

Staliśmy z Pedrem w bezradnym milczeniu.

– Przyjdź jutro do biura. Avenida del Rei. O wpół do drugiej – powiedział po hiszpańsku, splunął i oddalił się do swojego pikapa.

Dostałam pracę! W moim zawodzie! Będą pieniądze! Dużo pieniędzy. Manna z nieba. Jestem uratowana!

Nakręcona jak podłotek na dopalaczach prosto z Santa Maria pojechałam do Palmy, gdzie w butiku Corner stałam się posiadaczką nowych adidasów Prady. Srebrno-beżowe na grubej, gumowej podeszwie. Absolutnie niezbędne na budowie. Kosztowały majątek, ale była to przecież inwestycja w przyszłość.

## KOBIETY NA TRAKTORY

Obudziłam się bladym świtem, bez pomocy budzika i śmieciarki, która raz w tygodniu z łomotem przyjeżdżała na calle Llaut, wyrywając nawet Michasia z głębokiego snu. Zbudziło mnie dziwne podniecenie, łaskocząca niecierpliwość. Praca! Wreszcie ją miałam, wyczekaną, wymarzoną, moją, prawdziwą, w zawodzie. Bez malowania kiczowatych widoczków i pilotowania wycieczek.

I bez dobijających telefonów matki.

„To co ty WŁAŚCIWIE na tej Majorce robisz?” – pytała niemal codziennie. Bo przecież WŁAŚCIWIE nie robiłam nic. Szczególnie ostatnio, gdy skończyły się zlecenia od Herberta. A zresztą i tej pracy nie traktowałam poważnie. Co to za robota, w domu? Pracuje się w biurze, na uczelni, w gabinecie. Ale nie w domu! Ona, doktor weterynarii, przez całe życie WYCHODZIŁA do pracy, i to na dwóch etatach. A przecież tak mnie namawiała na studia w SGGW!

Dziś jak na złość nie zadzwoniła. Pochwaliłam się więc Michasiowi przy śniadaniu.

– No, nareszcie będziesz pracować! – mlasnął utyłany truskawkowym jogurtem. – Będę miał święty spokój! I komputer dla siebie!

– Zobacz, jaki piękny dom będę robić! – Pokazałam mu plany. – Widzisz, dwa baseny, stajnia, a tu, popatrz, kino domowe.

– Fajny! Kto tam będzie mieszkał?

Sama chciałabym w nim zamieszkać. Ewentualnie z Martinem. Tylko Michaś miałby daleko do szkoły. No, ale w takim domu to się chyba ma szofera?

\* \* \*

Przed spotkaniem w biurze u Pedra umówiłam się z

Altosem i Ivanka na szybką kawę. Okoliczności wymagały pilnego omówienia.

Siedzieliśmy w Darsenie, Altos milczał wpatrzony w swoją filiżankę, a Ivanka interesowała się wyłącznie Martinem. Z wypiekami na twarzy słuchała każdego szczegółu i zadawała mnóstwo pytań, na które nie znałam jeszcze odpowiedzi. Gdy po raz kolejny kazała sobie opisywać jego wygląd, nie wytrzymałam.

– Altosiu, a ty? Cieszysz się, że mam pracę? Po prostu pracę!

– I takiego inwestora! – dodała natychmiast Ivanka.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć, Prinzessin... – Zasepił się. – Zrobiłem w nocy channeling, pytałem Wyższe Moce. Bardzo uważaj! Bądź czujna!

Biuro Pedra w centrum Palmy miło zaskoczyło mnie swoją nowoczesnością, ale jakoś do niego nie pasowało. Pedro siedział za wielkim szklanym biurkiem zawałonym papierami i planami, kubkami po kawie i popielniczkami pełnymi petów.

– ¡Hola, guapa! Jak tam? Przestudiowałaś plany? Wszystko wiesz? – Nawet nie wstał na powitanie.

– Tak, obejrzałam je, ale mam kilka pytań... zauważyłam kilka błędów...

– Niedobrze, niedobrze! – Pedro się skrzywił. – Wiesz, głodny jestem. Omówimy to na lunchu. Tu za rogiem mają wspaniałą paellę. Zapraszam!

Półtorej godziny i dwie butelki wina później znaleźliśmy wspólny język i rozwiązanie wszystkich problemów. Pedro nie będzie się wtrącał w moje zmiany, jeśli tylko inwestor mu więcej zapłaci. Proste. Rozstaliśmy się jak starzy przyjaciele w najlepszych humorach.

Niestety Martin miał zupełnie inny pogląd na sprawę.

– Pedro cały czas chce więcej pieniędzy. Bez uzasadnienia. Po to cię mam, żebyś go pilnowała! –

podsumował rozmowę, gdy pełna entuzjazmu zadzwoniłam do niego wieczorem.

O swoje pieniądze nie śmiałam już zapytać.

## SEMANA SANTA

To była moja pierwsza Wielkanoc na wyspie. Prawdziwa, wiosenna, piękna. W słońcu i kwiatach, podniecona, radosna. A nie jakieś blade bazy niesione w pośpiechu do kościoła przez szarugę marcowego poranka. Pogańskie święto wiosny, życia, odrodzenia. Jak dla mnie. Niemal biologiczne, zupełnie niezgodne z eucharystią. Do kościoła nie chodzę, chyba że na czyjś ślub.

Rodzina jednak nie przyjedzie. Nie, mowy nie ma. Matka nie pozbiierała się jeszcze po Wigilii.

– Nie będziemy ci robić kłopotu – szczebiotała nieszczerze zatroskana. – Nie lubisz świąt, trudno. My sobie uwędzimy szyneczkę na działce... A właśnie, muszę kupić saletrę...

– Zazdroszczę wam – skłamałam.

Semana Santa. Kościelnie rzecz biorąc, chyba najważniejszy tydzień w Hiszpanii. A na pewno najbardziej malowniczy. Piękny, prawdziwy, mistyczny. Ponad święconką, gotowaną szynką i plastikowym Jezusem na grobie. Postanowiłam więc, że przeżyjemy go głęboko i świadomie.

Zaczeliliśmy od Niedzieli Palmowej, niestety nie najlepiej. Michaś stawiał opór. Miał to w genach, można się było spodziewać.

– Przecież już byliśmy w kościele! – argumentował, całkiem logicznie, nie odrywając wzroku od ekranu komputera.

– Owszem, na pasterce, ale to było trzy miesiące temu! A to Niedziela Palmowa, w PALMIE! Musisz to przeżyć! Chociażby dlatego, że to tak fajnie brzmi.

– Mam czwarte życie! – krzyknął Michaś. – Jak przejdę do siódmego poziomu, to pójdziemy.

Niestety poległ na piątym. Dałam spokój.



Parę dni później, w Wielki Czwartek, udało mi się go namówić na procesję Świętej Krwi, Crist de la Sang.

– Tam dają dzieciom cukierki – dobiłam targu z Michasiem.

Wieczorem pojechaliśmy do Palmy, procesja zaczynała się późno. O zmroku wszystko wygląda lepiej, bardziej uroczyście. Dlaczego w Polsce procesje są w południe?

Na ulicach było pełno ludzi, jak kiście winogron zwisali z otwartych okien albo oblepiali balkony, starcy siedzieli na krzeselkach przed progiem, tego dnia wyjątkowo przodem do ulicy. Na co dzień siadali tyłem do rynku, uliczki, miasteczka i gapili się na własne progi. Ze skromności, *savoir vivre à la mallorquina*.

Gapie utworzyli już zwarte szpalery – procesja miała przejść środkiem, po różowych i białych gęsto usypanych płatkach wiosennych kwiatów. Znalazłam wolne miejsce przy aptecznej witrynie. Oparłam się o szybę. Michaś oparł się o mnie. Czekaliśmy.

– E tam, tu nic nie ma! Chodźmy stąd! – Synek szybko się zniecierpliwił.

– Mniejsze dzieci czekają, to i ty możesz! Zaraz będą cukierki.

Pierwszy kwadrans oczekiwania okupiłam dodatkową godziną na playstation, a następny kosztował mnie dziesięć euro. I wtedy, na szczęście, bo brakowało mi już wychowawczych pomysłów, gdzieś w oddali rozległo się rytmiczne bicie werbli. Bogu dzięki! Melodia była ponura, wolna i marszowa i już sama w sobie wprawiała w dość wisielczy nastrój. Tam, tam, tatam. Tam, tam, tatam. Słysząc ją było coraz wyraźniej, coraz głośniejsze, aż w końcu zza rogu ulicy wyłoniły się pierwsze postacie. Miały na sobie białe habity i szpiczaste czapy, jak z Ku-Klux-Klanu. Michaś cofnął się na ich widok. Pątnicy szli w rytm bębnów, ciężko przesuwając bose stopy. Bum, bum, szuru,

szuru. Niektórzy mieli nogi powiązane sznurami albo ciągnęli za sobą żelazne kule. Zaraz za nimi wlekli się pokutnicy – półnaczy, w czapach katów na głowach, skuci łańcuchami, biczowali się długimi rzemieniami, do krwi. Saint Sang. Świętej Krwi. Prawdziwej.

Michaś chwycił mnie za rękę. W naszą stronę poleciały pierwsze obiecane cukierki, ale jemu wyraźnie przeszła na nie ochota. Cukierki to znak, że nadchodzi najcudowniejsze, cud nad cudy – wielki jak ciężarówka ołtarz niesiony przez kilkunastu mężczyzn schowanych pod aksamitnym obrusem. To dla nich rytm werbli jest najważniejszy – muszą jednocześnie zrobić krok, inaczej wielka, misterna konstrukcja mogłaby runąć. Ołtarz taki jest bowiem trójwymiarowy, zwieńczony możliwie ogromną sylwetką Matki Boskiej, oświetlonej setkami świec albo elektrycznych lampek. Wyglądało to bajecznie i strasznie zarazem. Zaczęłam rozumieć, ba, czuć, średniowieczną bogobojność. Coś jak strach przed burzą w lesie.

Każde bractwo, confrario, ma swój ołtarz. Misterny, rzeźbiony, ładniejszy niż ten sąsiedniej gminy. Duma dziedziczona z ojca na syna, i tak od XVI wieku. Ile to pokoleń? Kilkadziesiąt confrarios idzie w procesji. Tradycja, jaka piękna. Wzruszyłam się.

Wielki Piątek okazał się nawet bardziej hardcorowy – w kościołach odgrywane są wtedy pasje. Michaś po czwartkowej procesji odmówił dalszego udziału w obrzędach. Zaciągnęłam więc do kościoła Altosa. Poszedł niechętnie, bo w boga wymyślonego przez ludzi nie wierzył. Usiedliśmy na skrzypiącej drewnianej ławce w głównej nawie kościoła przy Monti-Sion. Przy ołtarzu krzatali się ubrani na białą księża i czarni kapturowcy. Pod samym krzyżem ustawione było coś, co wyglądało jak lekarska kozetka, przykryte białą, haftowaną serwetą. Na tym leżał naturalnych rozmiarów goły Jezus z drewna, a biało-czarne

towarzystwo uwijało się przy nim, modliło, namaszczało, kadziło, unosiło go, sadzało, jak wielką lalkę...

– Niesamowite, co? Takie to mistyczne – szepnęłam do Altosa.

– Zaproś mnie lepiej na panades! – powiedział.

\* \* \*

Po świętach praca na budowie ruszyła pełną parą.

Porównanie planów ze stanem faktycznym nie ucieszyło ani mnie, ani Martina i zupełnie nie zdziwiło Pedra, który uważał, że wszystkie pomyłki i nieszczęścia biorą się z braku pieniędzy. Zupełnie odwrotnie niż inwestor, który w związku z masą błędów Pedra postanowił przykręcić kurek z kasą.

Pedro miał kopać kolejną dziurę pod basen, obrażony, bo tym razem na swój koszt, ale za nic nie chciał zrozumieć, że poprzednie dwie wykopał zupełnie bez sensu.

– Przecież to tylko lepiej, że jest z tej strony budynku. Tam, w ogrodzie, tylko by mu liście wpadały – bronił swego.

– No ale tu ma być parking, nie basen. Przecież wyraźnie widać na planie. – Sprawa wydawała mi się oczywista.

– Przyślę jutro Luisa, to poprawi – zgodził się łaskawie.

Luis pojawił się, ale nie miał czym kopać. Gdy przyjechałam na budowę, bawił się z kundlem, wsiowym przybłądą. Dwóch pozostałych robotników drzemało. Sjesta.

– To co będzie z tym kopaniem? – spytałam delikatnie.

– Ja tam nie wiem – burknął znudzony i dalej tarmosił psa.

– Inwestor przyjeżdża pojutrze. Będzie zły. Nie wstyd wam? Już początek kwietnia, a wy od listopada jedną dziurę kopiecie?! – próbowałam sprawdzonym sposobem

matki, „na zawstydzenie”.

– Karmy trzeba psiej. Możesz kupić? – zapytał Luis. Metoda matki nie działała na niego, miał mocną osobowość, zdrowe dzieciństwo i poczucie własnej wartości. – Głodny jest. Rozumiesz? Głodny pies. Kanapkę mu dałem. Kupisz karmę?

– A czym ty w ogóle masz kopać?! Chyba nie łopata?! Był Pedro?! – wydarłam się.

– Może będzie jutro i przywiezie koparkę.

Co za banda! Zadzwoiłam do Pedra.

– Nic się, laluniu, nie denerwuj, jutro się wykopie.

Następnego dnia miałam odebrać Martina z samolotu i zawieźć prosto do Santa Maria. Tak sobie zażyczył, klient, mój pan. Jeszcze rano Pedro zapewniał mnie przez telefon, że do obiadu basen będzie wykopany.

\* \* \*

Trochę spóźniona dojechałam na lotnisko. Martin już czekał na zewnątrz. Jeszcze bardziej przystojny niż za pierwszym razem.

– Cześć. – Dał mi dwa przyjemnie pachnące, niby nic w Hiszpanii nieznaczące buziaki, a jednak jakieś specjalne. A może tylko mi się wydawało? – Basen wykopany?

– Właśnie kopia...

– Od trzech tygodni?!

– Święta były... Już zresztą kończą. Może chciałbyś najpierw coś zjeść? – Wszystko, byle nie na budowę!

– Nie, dopiero co jadłem śniadanie. Muszę teraz spotkać się w Palmie z notariuszem. Podrzucisz mnie?

– Pewnie! – Ucieszyłam się chyba za bardzo, bo spojrzał zdziwiony. – Zostawię cię u niego, a potem odbiorę. Też mam coś do załatwienia w mieście.

Tyle że w mieście Santa Maria.

Martin wysiadł w samym centrum Palmy, na Paseo de Born. Miałam najwyżej kwadrans, by znaleźć się na budowie. Na zakorkowanej alei Jaume III udało mi się przejechać na bardzo pomarańczowych światłach, raz niestety na czerwonych, a następnie porządnie rozpędzić samochód na Vía de Cintura, obwodnicy miasta. Dobrą passę przerwała mi policja. Cholera jasna!

– ¡Buenas! – Policjant stanął na rozkraczonych nogach przy moim aucie. – ¡Papeles, por favor!

Podalam mu dokumenty. Długo je oglądał.

– Paszport polski, rejestracja austriacka, prawo jazdy niemieckie... no, no. – Kręcił głową.

Chyba go to przerosło, bo nagle powiedział:

– ¡Continue! Niech pani jedzie!

Posłałam mu najszerszy międzynarodowy uśmiech.

Na budowie panowała niepokojąca cisza. Przed domem kręcił się tylko murarz, który właśnie robił sobie przerwę na piwo, globalny napój wszystkich budów świata.

– Kopiecie basen?

– Ja nie, Luis kopał – powoli odpowiedział murarz.

– Jak to kopał? To już wykopał? ¡Fantastico! – Pobiełam zobaczyć wykonaną robotę. Nareszcie!

Taaa... Pomyliłam skomplikowane hiszpańskie czasy przeszłe. Jednak kopał to nie znaczy wykopał. Za domem ciągle ten sam krzywy dół, powiększony może o pół metra. W nim leżała przewrócona na bok koparka.

– Jorge! – wydarłam się jak wariatka. – Gdzie jest ten idiota? Co ta koparka robi w basenie?

– Pedro ci nie mówił? Luis wpadł z koparką do dziury i wybił sobie dwa zęby. Pedro zawiózł go do szpitala.

Chyba zaraz zwariuję! Już zwariowałam. Mam chyba udar. Co ja powiem Martinowi?

– Bierz łopatę i kop! I dzwoń po kolegów! No róbcie coś! Ruszaj się! Kopcie ten cholerny basen! – Zupełnie straciłam

panowanie nad sobą.

Siadłam pod oliwką i rozplakałam się z bezsilności. Ja, siłaczka z innego kręgu kulturowego. Jednak mnie to przerosło. Moja praca i pieniądze odpływały właśnie w siną dal. Wysokie Moce miały rację, w tym siedziało zło i nazywało się Luis. Albo Pedro.

Wróciłam do auta. Na moim telefonie, który tam został, było pięć nieodebranych połączeń. Dwa od Pedra i trzy od Martina. I jeszcze SMS.

„Wiem wszystko od Pedra. Nie przejmuj się. Omówmy sprawy przy kolacji, pod warunkiem, że mi coś ugotujesz. M”.

To nie może się udać.

Co ja ugotuję? Nieprzygotowana jestem. Niezaplanowana. A lubię planować, zero spontaniczności, brak optymizmu, poukładana flegmatyczka. Nawet nie wiem, co on lubi. Przecież ja go w ogóle nie znam. W domu bałagan, a jeszcze Michasia na tenisa trzeba odwieźć. Merluza z grila? Zbyt ryzykowne. Krewetki? Zbyt wydumane. Gazpacho? To by poszło najszybciej, ale może nie lubi? Biała kiełbasa i piwo? Niemiec, to pewnie zje. A może tylko wino, sery i oliwki? Nie, pomyśli, że nie umiem gotować. Ani budować, ani gotować.

Zadzwoił telefon.

– Good afternoon, tu Mrs. Bigley z B.I.S. Obawiam się, że nie mam dobrych wiadomości. Dzieci były dziś w parku i pani syna coś uczuliło. Niestety nie wiemy co, bo gąsienic już nie powinno być, choć tego nie wykluczamy. Czy może pani go teraz odebrać, być może powinien go obejrzeć lekarz?

Oczywiście, już jadę! Tego mi jeszcze brakowało! To chyba jakiś żart. Musiało go ugryźć akurat dzisiaj?

Michaś rzeczywiście miał czerwoną szyję i nie przestawał jej drapać. Czekanie na poleconą przez Rose

niemiecka lekarkę, doktor Sabine Huber, ciągnęło się w nieskończoność. Czas leciał, Michaś płakał, lodówka była pusta. Ogarniała mnie panika.

Doktor Huber zjawiała się po godzinie. Była przysadzistą babą w średnim wieku. Miała mleczną skórę gęsto nakrapianą piegami i jasnorude loki. Przeskalowana Pippi Langstrumpf. Nadmuchana helem. Od razu wydała mi się sympatyczna. Dokładnie zbadała Michasia, posmarowała mu szyję czymś białym, wypisała lekarstwa na uczulenie i zapytała:

– Czy mogę u państwa poczekać na mojego syna? Kazałam mu tu podjechać po szkole, bo nie wiedziałam, ile czasu mi zajdzie. Mieszkamy daleko, w Campos, zawsze go zabieram ze szkoły.

– Ależ oczywiście! – Nawet się ucieszyłam, że mój syn spotka miłego, rudego równolatka. – Ale zostawię panią na chwilę samą, muszę zrobić obiad, mam gości, gościa...

Gości brzmiało jakoś dostojniej.

Gość, ten niejednoznaczny, miał być za niecałą godzinę, a ja nawet nie miałam pomysłu na kolację. Nie mówiąc już o produktach. W lodówce straszyły podeschnięte papryki i kawałek wczorajszego kurczaka. Ale były też jajka. Jestem uratowana! Zrobię cudowną tortillę z papryką i kurczakiem. Jak posypię to jakimś zielskiem, będzie piękna żółto-czerwono-zielona kompozycja.

Gdy zalana krokodylimi łzami siekałam cebulę, ktoś zadzwonił do furtki.

– To musi być Jürgen, mój syn – zawołała doktor Huber z salonu.

– Już mu otwieram!

Przede mną stał prawie dwumetrowy Murzynek, czarny jak heban i chudy jak susza w Somalii. Halucynacje po cebuli? Przetarłam oczy.

– Guten Tag! Moja mama tu na mnie czeka – wydukał

grzecznie.

– Ależ tak, oczywiście, wejdź, proszę. – Uśmiechem pokryłam zmieszanie.

Michał na widok chłopaka cofnął się speszony.

– Co ja mam z nim robić? – spytał mnie po polsku.

– Nie wiem, to twój równolatek, nie mój! – syknęłam.

Chłopcy zniknęli na górze.

– Wszyscy myślą, że mój syn jest adoptowany, a on naprawdę jest moim synem. Pracowałam po studiach w Gambii. – Doktor Huber czytała w moich myślach i uprzedziła pytanie, które pewnie słyszała trylion razy.

– A może zostaniecie na kolacji? – spytałam uprzejmie z nadzieją, że odmówi. Nagle poczułam się winna. Na przykład tego, że mój Michaś jest biały. Zaproszenie ich na kolację rozwiałoby wszelkie wątpliwości, że nie jestem rasistką.

– Dziękuję, ale musimy się zbierać. Może jeszcze tylko herbaty bym się napiła, dopóki chłopcy są zajęci...

Dzięki Bogu!

Wróciłam do kuchni. Woda nastawiona, kurczak na patelni, jeszcze dwadzieścia minut i będę gotowa, może nawet zdążę się przebrać. Wycieram brudne palce w fartuch. A tu dzwonek! Cholera jasna, dzwonek!!!

– Oj, chyba jestem za wcześnie – zmieształ się Martin, podczas gdy ja zastanawiałam się, czy poczuje ode mnie smród przypalonej oliwy.

– Nic nie szkodzi, fajnie, że już jesteś, ale muszę cię na chwilę zostawić z panią doktor...

Popchnęłam lekko zdziwionego Martina w stronę salonu i popędziłam do łazienki. Dwie minuty w łazience, piętnaście sekund na zmianę bluzki, minuta na zrobienie mu drinka – podliczam w głowie – tyle powinien wytrwać z doktor Huber.

Wpadłam do salonu z kieliszkiem wina dla Martina.



Siedział z miną męczennika i milczał. Jakoś się im rozmowa nie kleiła. A przecież oboje Niemcy, rodacy. Polacy za granicą zawsze by pogadali, choćby dla przyjemności wysłuchania, że komuś wiedzie się gorzej.

Na szczęście Pippi Langstrumpf podniosła się do wyjścia. Zaraz się ich pozbędę, Michaś pójdzie spać i jakoś się z tego basenu wytłumaczę. Może nawet podpiszemy umowę.

– Mama! Masz dużo jedzenia? Może Jürgen z nami zjeść? – Michaś jednym guzikiem wyłączył piękny film, który leciał już w mojej głowie.

Zamiast biznesowej kolacji – papucie, zamiast krewetek – domowy fast food, zamiast świec – gruba lekarka i dwa pokwitające osiołki. Porażka, Magdusiu, porażka.

Późno w nocy przyszedł SMS:

„Było uroczo! już dawno nie jadłem tak DOMOWEJ kolacji. Danke! xxx”.

Zachęcona trzema iksami, postanowiłam kuć żelazo, póki gorące. Wysłałam mu lekko podrasowany cytat z mojego ukochanego Nerudy:

„Mój dom huczy cały jak pociąg w południe,  
brzęczą tutaj osy i śpiewają rondle”.<sup>[9]</sup>

Po chwili przyszła poetycka odpowiedź:

„Ale o co chodzi? Jaki pociąg? Gdzie?”.

<sup>[9]</sup> tłum. Jan Zych

## HISZPAŃSKI OGIER

Pedro zadzwonił z cudowną wiadomością.

– Guapa, basen gotowy! Przyjeźdź zobaczyć! – krzyczał podniecony do telefonu.

Udało się. Wykop wreszcie był mniej więcej tam, gdzie być powinien. Wyszedł nawet ciut większy – na wszelki wypadek – jak powiedział Luis, pozbawiony od czasu wypadku lewej jedyńki.

– Magdalena, a Martin ci płaci? – dopytywał się, może nawet bardziej z troską niż z ciekawością, Pedro. – Musisz tego pilnować, laleczko! Wiesz, jaki on jest.

Nie, nie wiedziałam. Nie wyciągnęłam też z tego głębszych wniosków, zrobiła to za mnie matka.

– Ja ci mówię, że to jakiś oszust. Kawaler i taki dom? Na co mu taki metraż? To jakiś burdel będzie z tego, agencja towarzyska, zobaczysz! – ustaliła, gdy zrelacjonowałam historię z basenem. – Po co się w ogóle w to angażujesz?

– Przesadzasz, na razie niewiele zrobiłam...

– Lepszy wróbel w garści. Załatwiłam ci z „Moim Koniem” artykuł. Napiszesz? Przecież CHYBA potrafisz... – brała mnie pod włos, dumna z własnego sprytu.

– Z jakim twoim koniem? Konia kupiłaś? A ojciec co na to?

– Z pismem „Mój Koń”! Głupie żarciki! Basia jest naczelną „Konia”, lepiej jej podziękuj. Przynajmniej oni płacą pieniądze! – piała zachwycona. – Trzysta złotych! Zaraz ci podam, gdzie masz jechać i z kim rozmawiać. To transakcja wiązana, bo to jest hodowca i deweloper. Ciocia Marylka była tam kiedyś na wakacjach i teraz to wszystko nagrała. Dla ciebie!

Czułam podstęp. Byłam pewna, że za koniem kryje się jakaś rajfurska intryga. Niewiele się pomyliłam.

Zadzwoiłam do sekretariatu firmy C'an Torre i poprosiłam o wywiad z szefem. Paco Correat de Bandal wyraził zgodę. Zmartwiłam się. Szykował się prawdziwy egzamin z hiszpańskiego. Poganianie robotników nie wymagało aż takiej lingwistycznej finezji.

\* \* \*

W ciemnym, eleganckim gabinecie czekał na mnie łysiejący, choć najwyżej trzydziestoletni brzydał, tak niski, że gdy wstał na powitanie, nie zrobiło to wielkiej różnicy. Z perspektywy moich stu osiemdziesięciu centymetrów widziałam głównie jego nabłyszczoną brylantyną zakola. Białą perkalową chusteczką ocierał niewidzialne krople potu ze zbyt okrągłego czoła.

– Strasznie gorąco! Nie znoszę upałów – tłumaczył, choć klimatyzacja wiała na nas lodowatym powietrzem, a wiosenne temperatury nie przekraczały dwudziestu paru stopni.

Zaczełam coś dukać o budowanych przez jego firmę domkach na polu golfowym i ewentualnym zainteresowaniu nimi polskich klientów, czytelników „Mojego Konia”, mimo wysiłku nie znajdując w tym żadnego sensu.

– Nie znoszę krawatów! – przerwał mi Bandal. – Pani pozwoli, że go zdejmę.

Nie czekając na odpowiedź, niecierpliwym ruchem ściągnął z szyi zapętlony krawat i rozpiął kołnierzyk. Wystarczył jeden guzik, by spod koszuli wylazło gęste jak u niedźwiedzia futro. Spuściłam wzrok i kompletnie zgubiłam wątek.

– Don't woRRy! – powiedział nagle po angielsku, z najbardziej twardym R, jakie w życiu słyszałam. – ZapRRaszam panią jutRRo na kolację, my deaRRR! Opowiem pani baRRdzo dużo o moich koniach, pRRoszę

przyjąć zaproszenie, bardzo proszę!

Co za tupet!

Matka była wniebowzięta. Odmówiła pewnie dodatkowe zdrowaśki, bo wybierałam się na kolację nie z byle kim, tylko z dziedzicem jednej z większych, a na pewno najstarszych fortun na wyspie. Kawalerem! Wiedziała to od cici Marylki. Oczami wyobraźni widziała mnie już w białej sukni z hiszpańskiej koronki i moje UŁOŻONE życie. UŁOŻONE – słowo klucz.

\* \* \*

Następnego wieczoru siedzieliśmy w jego ulubionej restauracji w Palmie. Jarzeniowe światło, włączony telewizor nad barem, właściciel wlepiony w ekran, bo leciał właśnie mecz Real-Barca, i głośno brzęcząca lodówka z napojami tworzyły prawdziwie dworcową atmosferę. Trochę byłam rozczarowana wyborem miejsca.

– Jedzenie mają tu rewelacyjne, excelente! – zapewnił Paco i zaproponował tutejszą specjalność. – Orejas de cerdo, suszone świńskie uszka, my dear!

Nie byle jakie, bo z majorkańskich porc negre, czarnych świni, które żywią się ekskluzywnie żołądziami, przy czym jedna potrzebuje dla siebie całego hektara dębowej plantacji. Delicje wystawione były w garmazeryjnej witrynie, by można było wybrać sobie odpowiednią małżowinę, jak homara z akwarium. A kto nie gustował w uszach, mógł zamówić talerz raciczek z małymi czarnymi kopytkami. Palce lizać!

W trupio zielonym świetle energooszczędnych żarówek i z nieukrywanym grymasem obrzydzenia na twarzy musiałam wyglądać równie odrażająco jak owe przysmaki. Ale nie dla Paco Bandala.

– You are a beautiful girl! Chcesz zobaczyć moje

konie po naszym RRomantic dineRR?

Ach, więc to jest romantic! RRomantic dinneRR!

Zamówiłam grillowaną rybę, ale ledwo mogłam ją przełknąć, widząc, jak Paco żuje uszka i wyjmuję z ust kawałki szczeciny, która weszła mu między zęby. Jego talerz przypominał stół w prosektorium Instytutu Weterynarii, w którym swego czasu matka interaktywnie zachęcała mnie do wyboru pięknego zawodu weterynarza.

Na drugie Paco wybrał wyjątkowy przysmak – percebes, rodzaj małż, które porastają morskie skałki u wybrzeży Galicji. Zbierane są ręcznie, a kilogram kosztuje tyle co porządne szpilki. Wyglądają jak miniaturowe penisy wetknięte w maluteńkie, szare słoniowe nóżki. Paco pałaszował je przekonany chyba, że motyw wysysania obrzydliwych penisków działa na mnie stymulująco.

– Jaka szkoda, że nie chcesz u mnie zakończyć wieczoRRu! Pokazałbym ci mój RRewelacyjny mateRRac foRR cosmonauts. You should tRRy it!

Chciałam do domu. Natychmiast.

Paco Bandal okazał się mimo wszystko gentlemanem i zaproponował, że mnie odwiezie swoim pikapem, lekko pachnącym sianem i końskim moczem. Nie autostradą, bo nadmorska szosa jest moRRe RRomantic. W szczerym polu zatrzymał samochód i otworzył wszystkie okna. Teatralnie zaciągnął się wiosennym powietrzem i wyszeptał:

– Czujesz? To natuRRa. Wiosna, wszystko wRRaca do życia. Czujesz sex in the aiRR? Now eveRRything wants to make sex...

On też? Zaczęłam kaszleć

– Też czuję tę wiosnę! Nawet za bardzo. Jestem strasznie uczulona na to kwitające świństwo! Muszę natychmiast wziąć lekarstwo, bo się uduszę. Mogę nawet umrzeć. Proszę, zawieź mnie do domu jak najszybciej! – kłamałam.

Pomogło.

Ale nie na długo.

– Magdalena, daRRling! Please, przyjdź zobaczyć nowego źRRebaczka! – Zadzwoił po kilku dniach. No i wywiad by chciał autoryzować.

Na wszelki wypadek umówiliśmy się w samo południe. Była sobota, więc zabrałam ze sobą Michasia. Przy dziecku Paco chyba nie będzie tak zalotny.

Czekaliśmy na dziedzińcu jego ogromnej posiadłości, właściwie zamku. Dom duchów, prawie niezamieszkały – ojciec większość czasu spędzał na morzu, żeglując, Paco miał własny dom na końcu posesji, a jego rodzeństwo już dawno uciekło do Hiszpanii. Na co dzień w zamku rezydowała tylko matka, piękna wysuszona kobieta z Sewilli, głęboko nieszczęśliwa i rozczarowana prostym życiem na Majorce. Była uzależniona od zakupów, a ostatnio również od byłej dziewczyny syna, z którą podobno połączył ją gorący romans. Paco narzekał, że matka wydaje na nią mnóstwo pieniędzy.

– To on? – spytał Michaś.

Zza rogu wyłonił się dziedzic fortuny, Paco Correat de Bandal, na pięknym białym rumaku. Wyglądali naprawdę bosko, z tym że koń o niebo lepiej.

– Venga guapa, wsiadaj, pojedziemy do źRRebaczka! – krzyknął na powitanie. – Mały, a ty wsiadaj na RRower i jedź za nami. Widzisz ten budynek? To tam.

Chyba oszalał! Bestia miała prawie dwa metry w kłębie, jak na to wsiąść? Poza tym bałam się ogierów. Ale Paco już chwycił mnie za rękę i z niespodziewaną siłą wciągnął na konia. Poczułam się jak Bridget Jones na nartach i dziękowałam Bogu, że to tylko kłus. Przywarłam do jego małych, ale mocnych pleców. Gdzie ta cholerna stajenka?

Pewnie jakieś dwie minuty, a odczuwalne wieki,

później mokra ze strachu zsunęłam się z konia.

Michaś dojechał chwilę potem.

– Bałaś się, co? – stwierdził z satysfakcją.

Żrebaczek był słodki i czarny jak diabeł. Konie andaluzyjskie rodzą się ciemne, a z wiekiem bieleją, aż stają się białe jak śnieg w Sierra Nevada. Muszę to opisać w „Moim Koniu”.

Poszliśmy do jego domu zrobić authoRRization.

Michaś został na dworze zajęty zabawą z psami gospodarza.

– Nie będę się przecież tam z wami nudził!

– Proszę cię, chodź ze mną!

Wzruszył ramionami i pobiegł za psem.

Finca była rozległa, ale bardzo ciemna, zamknięte okiennice nie wpuszczały dziennego światła, a nawet gdyby je kiedyś otworzono, niewiele słońca wpadłoby przez małe okienka. Choć było południe, Paco zapalił lampy. Elegancko.

Salonu nie zmieniano chyba od wieków – typowe gobelinowe kanapy, mnóstwo poduszek z frędzlami, wytarte perskie dywany na kamiennej posadzce, wielki, majestatyczny kominek zwieńczony porożem, a nawet zapach wszechobecnego, wielopokoleniowego kurzu musiały pamiętać inwazję Maurów. Na stoliku, na półkach, na kominku, wszędzie dumnie tłoczyły się złote puchary, które zdobył Bandal lub jego konie.

Paco spojrzał na przyniesiony przeze mnie wywiad i od razu odłożył go na bok.

– You aRRe suRRe that you don't want to see my mateRRace for cosmonauts?

– Nie jestem kosmonautą!

Paco nawet światło elektryczne przetwarzał na testosteron.

– One day I will tell you about the insemination of my

meRRre. I had to collect speRRm foRR this! Come to my place and I will show you the aRRtificial vagina!<sup>[10]</sup> – rzucił czule na pożegnanie.

Kiedy już dojeżdżaliśmy do domu, zadzwoniła Monika.

– Madaaa! – wydarła się. – Nie uwierzysz! Spotykam się z Makssem!

– Gratuluję! Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, znasz wszystkie jego wady!

– Taaak, wiem... Livia, córeczki...

– I nie jest Arabem! – podsumowałam.

– Ale jest wirtuozem minety!

– Jesteś na głośnomówiącym! Uważaj!

– O kurwa! – pisnęła Monika.

– Co to jest mineta? – spytał czujnie Michaś.

– Moneta! Taka metafora. Wirtuoz monety to ktoś, kto zna się na pieniądzach. Na przykład bankier.

Chyba nie uwierzył.

Zjedliśmy obiad; Michaś wchłonał dwa talerze zupy pomidorowej i mielonego kotleta z indyka. Pogłaskał się zadowolony po brzuchu.

– Fajny dzień dzisiaj miałem!

– To się cieszę! Podobało ci się w stajni? Może byś chciał nauczyć się jeździć? Mogę cię zapisać na konie. Wiesz, koleżanka Rosy...

– Nie, ja się już umówiłem! – przerwał mi.

– Aha...?

– Tak, ten pan obiecał, że mi pokaże, jak to robią konie...

– Co?! Że niby CO robią??

– No wiesz... – Zaczerwienił się.

No to się dr Dziubak-Kalińska ucieszy!

<sup>[10]</sup> (ang.) – Kiedyś opowiem ci o zapładnianiu mojej klaczy. Musiałem zbierać w tym celu spermę. Wpadnij do mnie, to pokażę ci sztuczną waginę.



## MR. BIG

W Santa Maria zapanował porządek. Ekipa budowlana pogodziła się z faktem, że rządzi nimi kobieta i to extranjera<sup>[11]</sup>, basen wreszcie uzyskał właściwy kształt, a Pedro odkrył, że dzięki mnie ma mimo wszystko mniej pracy. Dojście do tego stosunkowo prostego wniosku zajęło mu tylko sześć tygodni.

Martin pojawiał się na wyspie coraz częściej. Gdy przylatywałam, zwykle porannym samolotem, odbierałam go z lotniska. Powitalne całusy były coraz cieplejsze, a spojrzenia głębsze. Jechaliśmy prosto do Santa Maria, oglądaliśmy budowę, by potem, już na kocu pod drzewem oliwnym, omówić dalsze szczegóły przy tapas i butelce wina. Martin kładł sobie pod głowę stertę rysunków i znużony upałem zasypiał. Kiedy próbowałam po cichu wrócić na budowę, przez sen łapał mnie za rękę i mocno trzymał. Głaskałam go wtedy po głowie, a on mruczał zadowolony, udając, że śpi. Gdy oficjalnie się budził, wszystko wracało do poprzedniej, poprawnej formy. Ale i tak bardzo mi się te spotkania inwestorskie podobały, a jeszcze bardziej inwestor. Miałam nadzieję, że z wzajemnością.

– Nie spiesz się tak z tą budową. Będzie mi brak naszych pikników – powiedział któregoś dnia Martin. Nareszcie!

Wyciągnęłam z tego daleko idące wnioski, które Altos szybko zrewidował.

– Ale Prinzessin, nie łudź się! To nic nie znaczy, po prostu dobrze go karmisz. I jeszcze za darmo! Każdemu by brakowało. Niech ci lepiej zapłaci! – przekonywał. – I niech nareszcie ktoś tu zarabia!

– Ktoś? To czemu na przykład nie ty?

– Przecież ja cały czas pracuję! Myślę ciągle nad moją

książką. Kiedyś ją napiszę.

– Kiedy? Myślisz już od dziesięciu lat.

– To nie jest takie proste! To musi przyjść z góry. Od Wyższej Mocy. Na to czasem trzeba poczekać! Wasan też wymaga mojego czasu, a jakże! To jest odpowiedzialność, nie można jej ot tak zostawić, nie myśl sobie! Zdenerwowałem się, pa! – Odłożył słuchawkę.

Po godzinie zadzwonił z przeprosinami. Długo się kajał, zwalając zasadniczą winę na złe prądy energetyczne, które właśnie przechodziły przez wyspę.

– No już dobrze! Nie tłumacz się. Co powiesz na weekend w twojej ojczyźnie? Kuzynka zaprosiła mnie na otwarcie galerii do Bazylei, możemy się u niej zatrzymać. Akurat Michaś będzie wtedy z klasą na wycieczce w Mahon. Co ty na to? Lecisz ze mną?

– A Wasan? A skarbówka?! Oszalałaś?!

Poleciałam więc sama.

Jola Kapustka vel Yolanda de Berrier, lat pięćdziesiąt dwa, prosto z lotniska zabrała mnie na bazylejską starówkę, najlepszy adres nad samym Renem. Zawsze miała „rączkę do luksusu”, jak z przekąsem mawiała matka, trochę zazdrosna o los stryjenki. Szczęście uśmiechnęło się do Joli już w połowie lat siedemdziesiątych, gdy najpierw jako stypendystka wylądowała w ONZ w Genewie, a zaraz potem z bajecznie bogatym bankierem w łóżku i przed ołtarzem. Bezdzienna para prowadziła dostatnie i spokojne życie, aż któregoś dnia bankier został bohaterem skandalu obyczajowego z udziałem nieletnich imigrantek z krajów bałkańskich, co udokumentował ze szczegółami pewien paparazzo. Zapewniło to Yolandzie rozwód z winy męża oraz sporą część majątku, w tym imponującą kolekcję współczesnego malarstwa, którą teraz zamierzała spieniężyć we własnej galerii.

Yolanda drżącym głosem i wciąż łamanym niemieckim powitała gości, a potem złotymi nożycami przecięła wstęgę ozdobioną jej własnym logo YdB. Eleganckie pary w średnim wieku, emerytowani bankierzy, nudni notariusze i aroganccy lekarze wypełnili wymalowane na trupią biel salę. Już dawno takich ludzi nie widziałam. Jedyne kontrapunkt do tego mieszczańskiego tłumu stanowiły warte pierdylion kolorowe abstrakcje. Udawałam zaciekawienie modnymi obrazami, szczególnie że niektóre przypominały popularne ostatnio eksperymenty z twórczością malarską szympanów. Nikt się do mnie nie odzywał, Yola brylowała przed kamerą lokalnej telewizji, a ja zabijałam czas dyskretnym wysyłaniem SMS-ów.

„Jestem na wernis w Bazyl. Nuda. Czemu cie tu nie ma?” – kliknęłam i w tym samym momencie spostrzegłam swój błąd – wysłałam to niechcący do Martina, zamiast do Altosa. Szybko wystukałam sprostowanie, ale w tym samym momencie nadeszła odpowiedź „Jutro o 9 rano jestem. Porywam cie na 24 h. Podaj adres! M”.

W nocy nie mogłam zmrużyć oka. Leżałam na gościnnej kanapie u Joli i czułam, że to nie twarde materac nie pozwala mi zasnąć. Byłam przerażona. Wszystkim. W końcu miałam zostać porwana, nawet jeśli była to tylko metafora.

Nad ranem lista problemów, które wygenerowałam, była tak długa, że już sama nie wiedziałam, czy denerwuje się perspektywą spotkania Martina w nieprzewidywalnych okolicznościach, czy brakiem pedikiuru, który w tychże okolicznościach mógł być kluczowy. Wobec tego koło ósmej postanowiłam wziąć poranną kąpiel w pięknej onyksowej łazience mojej przyjaciółki. Czysta rozkosz w każdym tego słowa znaczeniu. Nawet nie wiem, kiedy zasnęłam w ciepłej wannie. Obudziło mnie walenie do drzwi.

– Madzia, jesteś tam? ON już przyjechał!

- Jak to już? Miał być o dziewiątej.
- No, ale już kwadrans po!
- Jezus Maria! Zaspałam... w wannie!
- Wiesz, jakim samochodem przyjechał!? Maserati!
- Błagam, powiedz mu coś, muszę włosy wysuszyć...

Gdzie jest suszarka?

- Już mu kawę zrobiłam.
- Super, zrób mu jeszcze jedną!

Wszystko leciało mi z rąk. Suszarka omal nie wpadła do wanny, puder rozsypał się po podłodze, a kredka do oczu złamała się przy pierwszym dotknięciu. Na domiar złego moje ubrania zostały w gościnnym pokoju, a droga do niego prowadziła przez salon. Rozejrzałam się po łazience. Na drzwiach wisiał przezroczystry peniuar Yolandy i wielki szlafrok jej ostatniego amanta, gabarytowo odpowiednika King Konga.

– No to gdzie pan naszą Madzię zabiera, no i kiedy pan ją odwiezie? – usłyszałam szczebioczącą Jolę.

– Do Kolonii, na mecz. Gra moja drużyna... Jutro odstawię całą i zdrową, proszę się nie martwić! – tłumaczył Martin.

– To jakiej drużynie pan kibicuje?

– Swojej. Kupiłem ją kilka lat temu – rzucił od niechcienia, jakby chodziło o zakup nowego tostera.

– Guten Morgen! – Stałam w drzwiach w ogromnym szlafroku, który sięgał do ziemi, a nawet niżej.

Jola zaczęła chichotać, ale Martin patrzył z zaciekawieniem. Musiałam wyglądać idiotycznie.

– I ty specjalnie przyjechałeś po mnie czterysta kilometrów? To szmat drogi!

– Bez przesady!

– I teraz mamy zrobić kolejne czterysta do Kolonii? A wieczorem z powrotem?... – Podróże samochodowe nie były moją pasją.

– Myślałem, że tam przenocujemy. Ale mogę cię odesłać po meczu samolotem, jak chcesz. Co za problem?

O Boże, jak ja uwielbiam takich facetów! Ideal! Dla Maksa wszystko było problemem.

Wyjechaliśmy po długim i eleganckim śniadaniu – zauroczona Martinem Yolanda przeszła samą siebie i nie wiem, czy to pod wpływem maserati czy drużyny hokejowej otworzyła na śniadanie wielką puszkę białugi. Z chrupiącymi tostami i kapką kwaśnej śmietany kawior smakował bosko.

Z najbliższej przydrożnej toalety zrelacjonowałam Monice rozwój wypadków, pamiętając o każdym detalu, z pojedynczym ziarenkiem kawioru włącznie.

– Coś czuję, że Mr. Perfect ma drugie dno... – podsumowała Monia.

– Więc co ja mam z nim zrobić?

– Jak to co? Idziesz z nim na mecz!

– A po meczu?

– Idziesz na całość! Przecież ci się podoba. Słyszę to od paru tygodni. To nad czym tu się zastanawiać? Masz trzydzieści pięć lat, dzieci z tego nie będzie, ślubu być nie musi, opinii sobie nie zszargasz. Co sobie będziesz żałować, łap chwilę, carpe diem, żyj dniem, jutro może przejechać cię pociąg i będzie za późno.

Jawohl!

\* \* \*

Do Kolonii dojechaliśmy koło południa. W hotelu Excelsior, prime location obok katedry, recepcjonistka powitała nas nad wyraz uprzejmie i bez żadnych formalności podała Martinowi klucz.

– Ten co zwykle? – spytał.

– Oczywiście! Jest pan dla nas wyjątkowym gościem!

Weszliśmy do ogromnego apartamentu na ostatnim piętrze.

– Możesz spać w mojej sypialni, jeśli chcesz – powiedział. – Dla mnie pościelą w salonie. Zaraz im powiem. No, chyba że wolisz w nocy wracać do Bazylei, nie ma problemu.

Nie, nie chciałam. Miałam milion powodów, żeby nie chcieć, więc spuściłam skromnie wzrok, jakbym szukała wyjścia z sytuacji w złotych klamerkach moich lakierowanych balerinek. Były niemal idealną kopią Ferragamo, a kosztowały grosze.

– Gdybym był hiszpańskim macho – Martin podszedł niebezpiecznie blisko – tobym ci teraz zaproponował kąpiel w jacuzzi i szampana...

– A co proponuje niemiecki protestant? – odpowiedziałam, jak na niezręczną sytuację zadziwiająco błyskotliwie.

– Zostawiam cię samą i za pięć minut widzimy się na dole! Musimy się trochę pospieszyć! – Odwrócił się i zniknął za drzwiami.

No nie wiem, czy nie wołałabym jednak tego jacuzzi.

Potem wszystko było jak w hollywoodzkiej bajce. Pojechaliśmy czarną limuzyną z szoferem na stadion, ochroniarze wprowadzili nas przez ukryte wejście prosto na trybuny dla VIP-ów. Gigantyczna arena po brzegi wypełniona tysiącami kibiców, było bardzo głośno i bardzo jasno. Ledwo zajęliśmy miejsca, a z mikrofonu rozległ się głos:

– Ladies and gentlemen. Powitajmy! Nasz big boss, Herr Maaaartin Schraaaa... – Potężny, zbiorowy ryk zagłuszył ostatnie słowa spikera.

Oślepił mnie ostry snop światła reflektorów. Wszystkie kamery i uwaga kilkunastu, a może kilkudziesięciu tysięcy widzów skierowane były na nas. Nigdy wcześniej nie

widziałam ani siebie na telebimie, ani hokejowego meczu, więc poczułam się naprawdę wyjątkowo. Martin z suchego i małowównego faceta zmienił się w demona trybun, podnieconego pasjonata, prawdziwego entuzjastę hokeja. W takim wydaniu podobał mi się jeszcze bardziej. Przyglądałam mu się ukradkiem i żałowałam, że to nie ja jestem obiektem jego adoracji. W przerwie udzielał wywiadów, a na koniec Lwy wygrały z Tygrysami, a może Niedźwiedzie z Morsami, w każdym razie jego drużyna, więc był bardzo zadowolony. Ja w pewnym sensie również.

Wieczorem zamówił kolację do pokoju.

– Grzech nie wykorzystać tego tarasu! – powiedział obiecująco, gdy pod gwiazdami, z katedrą w tle, kontemplowaliśmy kaczkę po pekińsku. Grzech był argumentem nie do podważenia. Poczułam się powołana do gruntownego wykorzystania tarasu, z whirlpoolem włącznie.

Dalej wszystko mogłoby się potoczyć jak w najbardziej kiczowatej komedii romantycznej. Jedzenie było wyśmienite, szampan lał się bez końca, a podświetlone jacuzzi bulgotało. Wspólna kąpiel wydawała się przesadzona. Ciąg dalszy też.

– Cieszę się, że tu jestem... bardzo miły wieczór, mógłby się nigdy nie skończyć... – wyszeptałam sensualnym tembrem.

Martin zamyślił się, a potem spojrzał mi głęboko w oczy. Serce natychmiast zabiło mi mocniej. Moment był wymarzony na miłosne wyznania.

– Wiesz... – zaczął i uniósł kieliszek jak do toastu. Zamarłam. – Cały wieczór o tym myślę...

Ja też – pomyślałam.

– Chyba będę musiał wymienić tego napastnika! A tyle za niego zapłaciłem. Zupełnie się dziś nie sprawdził!

Natychmiast wypiąłam szampana do dna.

– Nie pij tyle! – upomniał mnie ostro. – Jeszcze się

utopisz w jacuzzi!

Więc jednak będzie jakieś jacuzzi?!

Nie było. Niczego nie było. Wspaniale wyspałam się w ogromnym łóżu, sama z ośmioma poduszkami. W salonie, na zaścielonej kanapie, znalazłam kartkę od Martina. Nabazgrał, że musiał rano wyjechać i zostawia mi bilet na samolot. Bezpośredni, z Kolonii.

<sup>[11]</sup> (hiszp.) – cudzoziemka



## LAWENDOWE POLA

Wróciłam na Majorkę. Próbowałam pracować, ale głównie zajmowałam się rozmyślaniami o ostatnim weekendzie i jego beznadziejnym zakończeniu. Altos słyszał już całą historię sto razy, Monika przestała odbierać telefony, a ja planowałam ofensywę. A przynajmniej weryfikację moich podejrzeń. Martin Schreiner mógł przecież być gejem! Albo traktował mnie śmiertelnie poważnie. Ewentualnie jedno i drugie. Musiałam to sprawdzić. Uzbroiłam się więc w megaseksowne sandały oraz kilka letnich sukienek idealnie eksponujących nogi i czekałam na jego przyjazd.

Michał po wycieczce do Mahon wszedł w nową fazę twórczą – maniakalnie rysował muchy. Musiały zrobić na nim ogromne wrażenie, bo powstawały bez przerwy na każdym wolnym skrawku papieru, a kilka nawet na kuchennym stole, niestety niezmywalne.

– Przecież one są czarne! – bronił się. – Żebyś ty widziała, ile tam było krów i muchów na tej Minorce!

\* \* \*

Budowa doszła do ostatniego etapu, wreszcie mogłam się zająć wyborem kamienia na podłogi, armatur, modelu kuchni, a nawet zamówieniem pierwszych mebli. Dużo jeździłam po wyspie, odwiedzałam sklepy i warsztaty w Santanyi i w Arta w poszukiwaniu staroci i miejscowego rękodzieła.

– Koniecznie pojedź do Larissy! – przypomniała Rosa. – Ona ma najlepszy sklep z hiszpańskimi antykami.

Larissa. Larissa Palma! Czy na Majorce można mieć lepsze nazwisko?

Zaprosiła mnie do siebie, gdzieś koło Felanitx,

miasteczka na wschodzie wyspy.

– Najpierw przyjeźdź do mnie na lunch, a potem pojedziemy do sklepu. Otwieram i tak dopiero o czwartej. Zapisz sobie dokładnie drogę, u mnie w domu nie ma zasięgu, jak się zgubisz, nikt ci nie pomoże – tłumaczyła z ostrym, północnoniemieckim akcentem. – Pisziesz? Za Felanitx nie jedziesz dalej prosto, tylko za kościołem skręcasz w lewo, po dwóch kilometrach, na rozjeździe w prawo, jedziesz siedem kilometrów i przy młynie tak prawie prosto, ale trochę w prawo, tylko nie bardzo w prawo, bo to na Sos Fulles. Dalej jedziesz jakieś trzy kilometry i jak zobaczysz pole lawendy, to jedziesz wzdłuż murku, aż dojedziesz do mnie. Przy bramie cię nie usłyszę, więc sobie otwórz, klucz leży pod kamieniem, a potem to już psy cię poprowadzą – wyrecytowała jednym tchem. – Zapisałaś?

– No tak mniej więcej... A jakichś sąsiadów nie ma, gdybym się zgubiła?

– Nie, ale jakoś dasz radę! Czekam o czternastej. Pa!

„Jakoś” okazało się bardzo szerokim pojęciem. Jakoś to ja dojechałam do Felanitx. Nad szosą falowało gorące majowe powietrze, okiennice w oknach były pozamykane, a mieszkańcy gdzieś się pochowali.

Kościół był. Skręciłam w znacznie węższą drogę, ale jeszcze asfaltową. Dojechałam do rozjazdu, który okazał się skrzyżowaniem, więc dopiero po chwili zdecydowałam się na skręt w prawo. Na szczęście na horyzoncie wyłonił się młyn. Banalnie proste. Byłam prawie na miejscu.

Niestety przy młynie droga się skończyła. Dalej rosły już tylko chaszczki poprzecinane jakimiś polnymi drózkami o tak nieregularnych liniach, że nie wiadomo, gdzie jest „w prawo”, a gdzie „bardziej w prawo”. Młyn, zgodnie z zapowiedzią Larissy, był zamknięty na cztery spusty. Wybrałam drogę „średnio” w prawo, po wertepach. Jechałam tak parę minut, wzbijając tumany żółtego kurzu,

ale lawenda się nie pojawiała, a ja zapomniałam spojrzeć na wskaźnik kilometrów. Na tych dziurach trudno ocenić, czy zrobiło się kilometr, czy trzy. Mój telefon dawno stracił zasięg. W końcu wyłoniło się pole lawendy. Bezkresne i dalekie od moich wyobrażeń o paru krzaczkach przy domowym murku. Lawendy było ze sto hektarów, a murków od cholery. Na lewo murek, na prawo murek, na wprost murek... Majorkańscy kochają je budować, to ich narodowa duma, więc każda posesja – ale też każde poletko, nawet wysoko w górach – ogrodzona jest murkiem z polnych kamieni. To teraz wzdłuż którego murku mam jechać? Już kwadrans po drugiej, spóźnię się!

Pojechałam wzdłuż najwyższego murku, który wydał mi się najbardziej godny zaufania. Piękna ta lawenda, pachnie i zniewala niekończącym się fiołkowym błękitem.

Mija dziesięć minut. Dalej lawenda.

Dochodzi czternasta trzydzieści. Lawenda.

Czternasta czterdzieści. Lawenda przestała mi się podobać.

Czterdzieści pięć. Nienawidzę lawendy.

Piętnasta. Nie widzę lawendy. Widzę młyn.

Jeździłam trzy kwadransy po lawendzie? Trudno, wrócę do Palmy, Larissa może telepatycznie odbierze moją decyzję. Albo poczekam pod sklepem w mieście? Zastanawiałam się, gdy pod młyn zajechała mała ciężarówka. To był młynarz. Mały, stary, tłusty i patrzył na mnie spode łba.

– ¡Buenas días! – zaszczębiotałam. Był moją ostatnią deską ratunku. – Czy wie pan, jak dojechać do domu za lawendowym polem?

– Jak to niemiecki dom, to nie wiem – burknął.

– A jak majorkański, to pan wie?

– Majorkańskich już tu nie ma. Wszystko Niemcy wykupili. – Splunął na bok i zniknął w drzwiach młyna.

– Ale ja jestem Polką! Pomoże mi pan?

– Auto austriackie... – krzyknął z głębi młyna.

Słyszałam, że Majorkańczycy masowo sprzedawali ziemię i swoje rodzinne domy bogatym cudzoziemcom, by po paru latach obarczyć ich całą winą za swoje nieszczęście, które polegało nie tyle na pogorszeniu standardu życia, ile na stałym wzroście cen nieruchomości. Nie mogli sobie darować, że sprzedali za tanio.

– Kurwa! W dupę się pocałuj! – wrzasnęłam po polsku i wsiadłam do auta.

– Señorita, proszę zaczekać! – Młynarz wybiegł na podwórko. – Tędy pani pojedzie. Albo nie! Jeszcze pani zabłądzi. Pojadę przed panią.

I tak w kilka minut, pod eskortą dostawczej furgonetki, podjechałam pod bramę Larissy. Na pożegnanie młynarz przyjaźnie mi pomachał.

– Curva! Polaca! Polska! Curva, curva, znam curva, znam! – Wyszczrzył żółte zęby.

## AMOR, AMOR

Budowa w Santa Maria stanowiła teraz mój zawodowy i emocjonalny punkt odniesienia. Wessała mnie, wchłonęła, stała się moim całym światem, nie licząc luźnych więzów z Altosem i Ivanką. No i bezwarunkowej miłości do Michasia, ale to było poza wszelką kategorią, konkurencją i koniunkturą.

Coraz częściej myślałam: moja budowa, mój dom. Wyobrażałam sobie, jaki będzie, jak się w nim będzie mieszkało, urządziłam go tak, żeby podobał się mnie. Żyłam nim, a wirtualnie już nawet w nim. Powiększyłam garderobę, wygospodarowałam osobny pokój na buty. Jak fajnie byłoby je mieć wszystkie poukładane na półkach! Uparłam się, że w kuchni musi być kuchenka do gotowania na parze – przecież odżywiam się zdrowo. O gościnnym pokoju myślałam, że świetny byłby dla Michasia.

Codziennie rozmawiałam z Martinem, opowiadałam mu o budowie, o pięknym stole, który udało mi się zdobyć, o moich pomysłach i nowych rozwiązaniach. Słuchał nie zawsze uważnie, czasem wręcz niecierpliwie, pytał jedynie o koszty, a gdy rozmowa schodziła na bardziej prywatne tematy, a tym bardziej na kwestie mojego honorarium, wycofywał się i szybko zegnał.

Ale gdy końcu przyjechał na Majorkę, od razu zaprosił mnie na romantyczną kolację!

– Do El Olivo. Znasz? – spytał.

Pewnie, że znam. Ze słyszenia. Anna zawsze zabierała tam swoich kochanków. Drogo i elegancko. Kolacja w El Olivo, świątyni sztuki kulinarnej w pięknej wiosce Deia, była często preludium do gorącej nocy w sąsiadującym z nią hotelu La Residencia, a kręta, górską drogą, która do niej prowadziła – pretekstem, by nie wracać po kolacji do domu. Nareszcie romantyczna randka! Na szczęście

zdażyłam do fryzjera i na depilację, bo Altos oddał mi wspaniałomyślnie swój termin. Włożyłam najbardziej seksowną sukienkę, w której nie mogłam oddychać, i nowe szpilki, w których nie mogłam chodzić. Tylko ślepy pedał nie przeleciałby mnie tak wylaszczonej.

Restauracja mieściła się w starej olejarni. Pośrodku sali stała ogromna żeliwna prasa do wyciskania oleju, wokół niej drewniane stoły, dyskretnie od siebie oddalone. Wymarzone miejsce na kolację przy świecach. Poczulałam się wyjątkowo pięknie, choć nowe koronkowe stringi boleśnie wpijały mi się w pupę.

Naprzeciw mnie, przy sąsiednim stoliku, siedziała elegancka staruszka w towarzystwie jakichś męskich pleców, bo tylko tyle mogłam dojrzeć ze swego miejsca. Jej szkliste z podniecenia oczy i lekko rozmazane czerwone usta przyciągnęły mój wzrok. Czyżby El Olivo miało aż taką moc?

Delektowałam się turbotem na risotto z ośmiornicy odważnie udekorowanym kogucimi grzebieniami, a Martin jadł – ku mojej lekkiej odrazie – gołębia z Nawarry.

– Mam nadzieję, że to nie synogarlica... – Wytarłam czarne od atramentu usta w białą serwetkę.

– A co za różnica? – zauważył beznamiętnie Martin. – Ptak to ptak!

– Rozumiem kura, indyk, kuropatwa... ale gołąb? Kanarka też byś zjadł?

– Nie wiem, może. A je się kanarki?

Wszystko się je, małpi mózg też. Paco jadł świńskie uszy. Wypiłam duszkiem wino. Pomogło. Poczulałam się jeszcze lepiej, a ptasi szkielet zupełnie mi zobojeźniał.

Po kolejnym kieliszku w samopoczuciu i samoocenie przeszłam do stadium anioła, tego od Victoria's Secret. Bogini seksu. Nie jestem pewna, czy Martin też mnie tak postrzegał, bo jakoś nie spieszył się z przejściem do

głównego punktu programu na king size bed w hotelowym apartamencie.

Starsza pani vis-à-vis chichotała, wdzięczyła się, wiała na krześle, na ile pozwalały jej stawy, karmiła truskawkami swego towarzysza, przytulała jego dłoń do policzka. Patrzyłam na to z nostalgią. Dlaczego Martin nie odpala we mnie takich fajerwerków? Kim był jej towarzysz? Kto spowodował, że stała się gorąca jak flambirowany naleśnik?

W końcu skinęła na kelnera. Skórzane etui z rachunkiem wylądowało na stoliku. Wyciągnęła po nie białą, kościstą dłoń, ozdobioną brylantami i plamami starymi, nie odrywając ani przez moment wzroku od swego gościa. Wsunęła do etui kartę kredytową, nawet nie sprawdzając rachunku. No nie! Na chwilę otrzeźwiałam i przestałam słuchać, co mówił Martin, zresztą i tak tego wieczoru nie był zbyt rozmowny. Kobieta zapłaciła, mężczyzna wstał, podszedł do niej, i odsunawszy krzesło, podał jej rękę. No niech ja zobaczę, kto tę bladą wampirzycę nakarmił świeżą krwią! W końcu jej towarzysz odwrócił się na tyle, że mogłam ujrzeć jego twarz. Vincenzo! To był on!

Popatrzył na mnie i udał, że się nie znamy. Przeszedł koło mnie, ostrożnie prowadząc pod ramię swą dobrodziejkę, i zniknął w hotelowym hallu.

– O czym tak myślisz? – zapytał Martin.

– O tobie na deser.

– Masz jeszcze siłę? Ja już padam!

Mnie tymczasem opadła szczeka i pożałowałam tych drogich stringów z jedwabnej koronki, straconego wieczoru, a najbardziej czerwonych podeszew zdartych na starym bruku. Ale przynajmniej miałam jasność. Gej doceniłby najnowsze louboutiny! To zwykły impotent! Szkoda, bo geja mogłabym jeszcze jakoś ożenić z Altosem, a potem odwiedzać w ich pięknym domu. Altos ucieszyłby się z wielkiej garderoby, którą zaprojektowałam trochę dla

siebie. Ale z impotentem nie dało się zrobić nic. Podkochiwałam się w nim zupełnie bez sensu.

\* \* \*

Dwadzieścia cztery godziny później moje zdanie na ten temat zmieniło się diametralnie. Gdy przywiozłam Martinowi nowe rysunki, które miał zatwierdzić, ten, gdzieś między progiem a kuchennym stołem, rzucił się na mnie ze znacznie większym zapalem niż na wczorajszego gołębia. Zrywał ze mnie kolejne fragmenty zupełnie nieestosownej do sytuacji garderoby, w tym płaskie mokasyny, całe szczęście markowe i, o wstydzie!, kompromitujące bawełniane majtki z napisem „Monday”, choć była sobota. Poddawałam się z temu z przyjemnością, choć miałam pewne obawy, że po tych amorach zostaną po mnie tylko powyrywane piórka i do cna wysrane kosteczki. No, ale nic tak nie kręci jak doprowadzony do szaleństwa zepsuty samiec alfa.

– Dlaczego nie... dlaczego nie stało się to wczoraj? Albo wtedy, w Kolonii? – spytałam, bo wciąż męczyła mnie myśl o żenującej bieliźnie.

– Ciągłe ci się przyglądam! Bardzo uważnie! – odpowiedział.

O Boże! Dyskretnie wsunęłam majtki do torebki. Niech myśli, że wcale ich na sobie nie miałam.

\* \* \*

Przez kolejne dni i tygodnie szybowałam lekko, niesiona skrzydłami feromonów. Przelatywałam przez budowę jak samolot ponaddźwiękowy i zaraz spieszyłam ku morzu, by wylądować na tarasie w La Mola. Już w charakterze anioła miłości, kupidynka w rozmiarze 36. Tam znajdowało się moje lądowisko, a konkretniej w ramionach



Martina, którego upał zniechęcił do spotkań inwestorskich w terenie. Przenieśliśmy je więc do jego apartamentu, wprost do kuszącego chłodem egipskiej bawełny łóżka. Wyhaftowane na poduszkach granatowym jedwabiem inicjały MS odbijały się czasem na moim policzku. Martin wodził po nich palcem i mówił:

– Za mało pijesz w takie upały, to z odwodnienia! – i otwierał kolejną butelkę szampana.

Potem jedliśmy zmrożone arbuzy albo grillowaliśmy rybę, którą Hannes rzekomo złowił o poranku. Czułam, że jest trochę zazdrosny o uwagę Martina. Przynosił nam wiktuały, zjawiał się pod byle pretekstem, więc zapraszałam go na lunch, a gdy znikał, najedzeni drzemaliśmy na tarasie, a potem studziliśmy rozgrzane ciała w basenie. Gdy Martin robił w nim swoje codzienne rundy, ja kładłam się mokra na leżaku i opowiadałam Altosowi przez telefon, jaka jestem szczęśliwa.

– A co z pieniędzmi? – Kiedyś pytał o to na koniec rozmowy, a teraz już po drugim zdaniu, jakby to było najważniejsze.

– Przecież jestem z nim jakby w związku...

– No właśnie, JAKBY związku – syczał gorzej, niż zrobiłaby to dr Dziubak-Kalińska, gdyby tylko wiedziała.

Matkę wolałam trzymać z daleka – Niemiec, protestant, bez tytułu i błękitnej krwi. I to z dziwnym kaprysem w postaci hokejowej drużyny. Chór kościelny albo sponsoring schroniska byłby według niej bardziej na miejscu.

Nie chciałam o tym myśleć i żyłam kolejnym pięknym letnim dniem.

\* \* \*

Któregoś dnia staliśmy na jego tarasie wychyleni przez balustradę, chcąc złapać jak najwięcej morskiej bryzy na

rozpalone słońcem i seksem twarzy.

– Nie będzie ci brakowało tego widoku?

– Nie... morza nie. Nie lubię morza. Ciebie będzie mi brakowało. – Objął mnie.

– Ale ja nigdzie nie zniknę po budowie!

– Nie? – zapytał jakby z pewną obawą w głosie. – To co zamierzasz robić? Myślałem, że wracasz po wakacjach do Polski czy do Wiednia... Nie mówiłaś tak?

– Ale to było przed tobą! – oburzyłam się.

Wtedy zamilkł i tym samym zakończył wątek romantyczny. Musiał gdzieś pilnie zadzwonić, potem zagłębił się w lekturze „Frankfurter Allgemeine”, a może raczej w mroku swego emocjonalnego chaosu. Zza gazety odpowiadał monosylabami albo udawał, że nie słyszy. Powiało chłodem. Mimo upału odczuwalna temperatura na tarasie spadła do punktu zamarzania.

– Jadę do domu! – nie wytrzymałam.

– Jak chcesz... – zgrabnie przesunął winę na mnie.

Wracałam w podłym nastroju. Tysiąc myśli, milion wytłumaczeń, trylion interpretacji każdej sekundy feralnego dnia dudniły mi w głowie. Gdy tylko dojechałam stromą drogą do głównej szosy, zadzwoniłam do Altosa. Uprzejmie wysłuchał mojej szczegółowej opowieści, która zajęła mi cały odcinek drogi od Andratx do Palma Nova. Zostało już niewiele kilometrów na jego porady.

– No i co o tym myślisz? Mów szybko!

– Zapłacił ci w końcu coś?

– Nie o to pytałam! Co myślisz, co on myśli? No o nas, w sensie...

– To zależy. Zapłacił czy nie?

– Jeszcze nie... ale porozmawiam z nim przy najbliższej okazji, obiecuję!

– Ile razy już obiecywałaś? To może sobie policz, ile już na benzynę wydałaś... telefony... no, o koronkowych

gaciach nie będę nawet wspominał – motywował mnie najlepiej, jak potrafił. – Nie boli cię to?!

Bolało, i to jak! Miał rację, wyciągi z mojego konta kasały jak jadowite węże.

\* \* \*

Opatrzność musiała jednak nade mną czuwać, bo okazja do poruszenia fundamentalnej kwestii pojawiła się niebawem, w pierwszych dniach czerwca. Spadła mi jak z nieba, zesłana pewnie przez świętego Krzysztofa, bo wprost na stację benzynową w Santa Ponsa. Musiałam zatankować samochód, żeby jak co dzień odbyć budowlano-miłosną rundę na trasie Santa Maria – La Mola. Jakies siedemdziesiąt kilometrów.

Zwykle tankowałam jak większość Hiszpanów, podając przez uchylone okno samochodu dziesięcioeuroowy banknot, a pracownik stacji wlewał mi do baku odpowiednią ilość paliwa. Tego dnia nie miałam gotówki, więc postanowiłam zatankować do pełna i zapłacić kartą kredytową.

Podalam magiczny kawałek plastiku z emblematem niebieskiej rozgwiazdy banku La Caixa.

Nic z tego.

– Karta zablokowana! Musi pani płacić gotówką – oznajmił pracownik stacji.

– W takim razie musi pan poczekać, nie mam pieniędzy. Mogę zjechać na bok? – zapytałam, bo za moim autem ustawiała się już spora kolejka.

– Wykluczone! Musi pani czekać tu!

Uśmiechnęłam się przepraszająco w stronę aut.

Jakiś facet z końca kolejki nie wytrzymał i z piskiem opon wyrwał do przodu. Kretyn! Gdy mijał mnie wielkim terenowym samochodem, demonstracyjnie popukałam się w czoło.

– ¡Perdón! Spieszę się na lotnisko! – krzyknął przez otwarte okno.

To był on! Mister Turkusowe Spojrzenie! Dlaczego akurat dzisiaj?

Co za popieprzony dzień! Z tego stresu pożarłam na wpół roztopionego na słońcu snickersa, którego Michaś zostawił sobie w aucie na później. Pomogło. Wzięłam głęboki oddech i wybrałam numer Martina. Pomocy! Ale on, zamiast mnie uspokoić i przybywać z odsieczą, tylko się zirytował. Dzwoneczek alarmowy w mojej głowie zadzwonił cichutko. A powinna włączyć się syrena!

W końcu łaskawie przyjechał. Zapłacił za moją benzynę, ale jeszcze długo wyjaśniał każdy szczegół.

– A dzwoniłaś do banku? To niemożliwe, żeby bez uprzedzenia zablokowali kartę! – stwierdził, podając banknot pracownikowi stacji.

– Jak się jest bankrutem, wszystko jest możliwe. Mało ostatnio zarabiam...

– A twój eks nie płaci ci już alimentów? Mówiłaś, że dostajesz czterysta euro... – nie poddawał się. Miałam ochotę zabić to skapiradło tu i teraz. Wysadzić w powietrze razem ze stacją benzynową.

– A mój klient? Zapłacił mi zaliczkę? Nie!!! – walnęłam ile sił. – To co się dziwisz, że jestem bankrutem?! Czy ty w ogóle zamierzasz mi zapłacić?!

Martin spochmurniał.

– Musisz wybrać, albo u mnie pracujesz, albo jesteśmy razem!

– Zastanowię się!

Wsiadłam do auta i bez słowa odjechałam. Jeszcze chwilę widziałam w lusterku, jak stoi zły przy swoim samochodzie.

\* \* \*

Martin milczał cały tydzień. Ja też.

Siedziałam właśnie mile zatopiona w niemęczącej lekturze gazety dla turystów, piłam drugą neskę z mlekiem i kończyłam nadgryzionego croissanta Michasia. Maczałam go w płynnej od słońca nutelli i szybko zjadałam, by czekolada nie spłynęła na obrus. Ostatni kawałek rogalika ułamał się i został w nutelli. Wydłubałam go palcem, a potem wytarłam rękę w biały szlafroczek, który miałam na sobie. Co tam, i tak szedł do prania. Czekoladowe odciski palców zostawały na brzegach gazety. Studiowałam właśnie rysunek linii papilarnych mojego kciuka, gdy zadzwonił dzwonek.

Przed furtką stał Martin. Śmieszny z bukietem białych róż o poranku.

– Nie cieszysz się? Miała być niespodzianka! Jadę prosto z lotniska... – powiedział.

– Cieszę się! – skłamałam. – Wejdz! Kawy? Idź na taras, ja tylko się przebiorę. Miałam taki mały wypadek.

– Nutella? – Pocałował mnie w usta. – Mam coś dla ciebie. – Wyjął z kieszeni błękitne pudełeczko.

O Boże, Tiffany! A jednak!

Wymarzone błękitne pudełeczko i złoty pierścionek. Zaręczynowy? Z brylantem, soliterem, białym, czystym, przezroczystym. Serce kołatało mi w piersiach.

– Mam rozpakować? – zapytałam głupio.

– Mam nadzieję, że ci się spodoba.

– A może najpierw otworzymy szampana?

– No bez przesady! – oburzył się. – Dopiero dziesiąta.

Rozwiązałam błękitną wstążeczkę i otworzyłam pudełko. W środku był breloczek do kluczy. Zgłupiałam.

– Nie podoba ci się?

– Ależ bardzo ładny! To jakieś symboliczne przesłanie?  
– chwyciłam się ostatniej deski ratunku.

– Co? Chodzi ci o ten grawerunek? To numer seryjny i telefon do Tiffany’ego w Nowym Jorku. Jeśli ktoś znajdzie breloczek, to będzie wiedział, gdzie oddać zgubę. A oni odnajdą ciebie, a właściwie mnie, bo ja jestem w ich kartotece. Kiedy przyjdiesz na budowę?

Ach tak. Nie miałam już nic do stracenia.

– Przyjdę, jak zaczniesz płacić. Nie mogę pracować dla ciebie za darmo. Nie stać mnie na taki luksus! – wypaliłam.

– Wszystko w swoim czasie, moja panno! Cierpliwości! Obserwuję cię!

– Nie! Ciągłe mówisz to samo. Albo mi płacisz, albo przestaję pracować!

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Szkoda, że nie zabrał róż.

## ZARNA GODZINA

Ivanka siedziała smutna. Tak bardzo chciała dopatrzeć się szczęśliwego zakończenia w mojej opowieści o feralnym poranku i nieodpowiednim prezencie. W świecie Ivanki wszystko było proste i łatwe, czarne, białe albo różowe, z przewagą różowego.

– Ale może taki przywiesek nieco znaczy? Może miał być do kluczy?

– Tak, breloczki zwykle są do kluczy...

– Ale ja myslim, że to kluczy do domu! Do jego domu! To co inneho!

– Ivanka, klucze na budowę to ja mam od trzech miesięcy. Po co mi breloczek? Mam inne problemy... wolałabym pieniądze.

– Żeby choć miał brylancik, to mohlabyś go sprzedać! – podsumowała godzinną sesję przy trzech latte bez kofeiny.  
– A tak nemasz nic!

Niestety miała rację. Pani z banku La Caixa, strażniczka mojego finansowego ogniska, dzwoniła regularnie, by poinformować mnie o debecie oraz coraz dłuższej liście rachunków do zapłacenia. Coraz gorzej sypiałam, a w mojej głowie krążyło widmo proszenia matki o pożyczkę. Słyszałam ją, znałam na pamięć to teatralne westchnienie, wdech na dwa, wydech na pięć, z wydmuchem przez usta.

„Muszę ustalić to z twoim ojcem” – brzmiała odpowiedź, zawsze ta sama. A był jakiś inny ojciec, nie mój? Ostatnia instancja, do której można się odwołać.

Tymczasem zadzwonił telefon. Nieznany hiszpański numer, pewnie znowu jakiś miły pan z informacją, że zaraz wyłączą mi prąd.

– Hello! Magdalena? – spytał damski głos. – Nazywam się Louise Reeve i dostałam pani numer od Anny. Podobno

to pani zrobiła ten wspaniały czarny tort na jej urodziny.

– Czarny? – Ten kolor ostatnio najwyraźniej mnie prześladował. Czarna godzina, czarne myśli, czarny tort.

– Tak, pamiętam, że był czarny i bardzo smaczny!

– Ach tak! Makowy!

W zeszłym miesiącu zawiozłam do Anny własnoręcznie upieczony tort na jej elegancki urodzinowy bankiet nad basenem w Esporlas. Wytrzymałam na tych targach próżności dla pięknych i bogatych trzy kwadransy i dwa drinki, po czym wyszłam po angielsku.

– Makowy? No tak, może i makowy. Mam w sobotę przyjęcie. Czy zechciałaby pani upiec taki duży dla mnie? Oczywiście zapłacę!

Louise była żoną miejscowego króla nieruchomości, Roberta Reeve'a. Dobiegająca pięćdziesiątki, wiecznie młoda blondynka, chodząca ofiara fryzjerów i chirurgów plastycznych, kopalnia silikonu, spizarnia botoksu i nosicielka wielkich jak przepiórcze jaja brylantów. Ulubiona klientka butików w Puerto Portals i posiadaczka wszystkiego, co można kupić. Była celebrytką i bohaterką każdego wydawanego na wyspie brukowca. Nieraz czytałam o niej przy śniadaniu, więc na swój sposób ją znałam. I teraz ona, piękność z okładki, dzwoni do mnie i chwali mój tort! Ale żeby tak od razu piec na zamówienie? Jeszcze nigdy w życiu nie ugotowałam niczego za pieniądze, no może poza robieniem bagietek z czekoladą francuskim bachorom, gdy w czasach studenckich pracowałam jako opiekunka w Prowansji.

– Mam teraz dużo pracy, a taki tort jest bardzo czasochłonny... Zastanowię się... – Mam gotować? Przecież jestem architektem! Wnętrz, ale zawsze.

– Zapłacę pani pięćset euro, bardzo mi zależy! Ale musi być bardzo duży! – Louise zawsze dostawała to, czego chciała, taki był porządek wszechświata i obie o tym



wiedziałyśmy.

– Pięćset? – powtórzyłam przerażona. Chyba oszalała. Za to może sobie kupić dziesięć tortów!

– Wydaje mi się, że to sporo... – odparła trochę urażona.

– Tak, oczywiście! Gdzie mam dostarczyć? – Zgodziłam się natychmiast, zrobiłabym i za sto. Pięćset euro! Nie wierzę!

Odłożyłam słuchawkę i poleciałam do kuchni. Pięćset euro za tort, kurza dupa! Chyba mi się śni.

Wygrzebałam z górnej szafki ostatnie torebki maku. Jak to dobrze, że matka zwiozła tyle tego na święta. Wycalowałam białe woreczki, prosto w napis „Mak niebieski”.

Kupiłam dwa kilo masła, czterdzieści jajek, cytryny, wanilię, mleko, cukier i największą tortownicę, jaką mieli. Był czwartek, postanowiłam więc od razu zająć się makiem i upiec z niego krążki, a następnego dnia przełożyć je kremem cytrynowym z masła i cukru.

Zalałam mak wrzącym mlekiem i obserwowałam, jak puchnie. Gdy wystygł, przelałam szarawą breję na wielkie sito. Boże, tyle zemleć ręcznie? Prymitywna maszynka do mięsa kupiona ostatnio w Carrefourze nie chciała trzymać się stołu, walczyłam ze śrubami, trzymając ją z całej siły przyciśniętą do blatu, a drugą ręką na zmianę mełłam i dorzucałam kolejne łyżki mokrego maku. Maszynka niechętnie wypluwała biało-niebieskie makowe spaghetti do miski ustawionej na krześle obok stolika.

Nie potrafię gotować bez bałaganu. Nim uporałam się z połową, mak był już wszędzie. Lepił się do stołu, chrząścił pod butami, był też – nie wiem jakim cudem – w moich włosach.

Trzasnęły wejściowe drzwi. Michaś wrócił ze szkoły.

– A co tu się dzieje?! – wrzasnął na powitanie. – Gdzie

ja będę jadł obiad?

– Może byś pomógł? – Co za potwora wyhodowałam na własnej piersi!

– Nie jestem babą, jeść mi się chce! – kontynuował kruczającą synowskiej miłości. – Fúj, tu się wszystko lepi! Ale by się tu much zleciało! Chcę Kapitana Igloo!

– Piękę tort na zamówienie! Dużo na tym zarobimy, może jednak zrobisz sobie dziś kanapkę... wyjątkowo...

– Sama mówiłaś, że kanapka to żaden obiad! – wyszczerzył zęby niedawno ozdobione najnowszym modelem aparatu w modnym kolorze „galaxy”. – A jesteś pewna, że ci zapłacą?

Skąd ta bestia wszystko wie? Pewnie podsłuchuje albo ma trzecie ucho. Miałam ochotę przemieścić go razem z resztą maku. Ale wyjęłam z zamrażalnika paluszki rybne i wrzuciłam na rozgrzaną patelnię. Kuchnię wypełnił smród strzelającej rozgrzaną oliwą smażonej ryby wymieszany z mdłym zapachem mleka i maku.

– Zobaczysz, jeszcze mi wystawią pomnik! Męczennicy, Matki Michasia!

Spojrzał na mnie jak na nienormalną. Nie miał za grosz abstrakcyjnego poczucia humoru. Po ojcu. Zjadł szybko i pobiegł na górę rysować muchy.

Pod wieczór wszystko było zrobione. Cztery wielkie kręgi z maku stygły na patio, zmywarka kończyła ostatnie zmywanie, a ja wypucowałam kuchnię i umyłam podłogę. Pachniało smażoną rybą i ciastem.

W sypialni, na łóżku znalazłam złożoną na pół kartkę z napisem „Wzór” w czterech językach. Otworzyłam. Koślawy, narysowany fioletowym flamastrem tort miał jakieś trzydzieści sześć pięter i metkę z ceną. Milion dolarów.

## MARIE

Louise była zadowolona. Zadzwoiła w niedzielę i podziękowała niezwykle serdecznie. Kamień spadł mi z serca, bo gdy w sobotnie popołudnie wręczyłam jej, a raczej jej butlerowi, tort zapakowany w pudło po sprzęcie AGD i umieszczony w dziecięcej wanience wyłożonej torebkami z lodem, patrzyła sceptycznie, wydymając swe restylanowe usta pomalowane szminką w kolorze Diorkiss.

Przewiezienie przy trzydziestostopniowym upale kremowego tortu przez pół wyspy nie było łatwym zadaniem. Michaś siedział w powiększonym o złożone siedzenia bagażniku i, za wytargowane dwie dodatkowe godziny na playstation, asekurował wanienkę na ostrzejszych zakrętach, choć jechałam wyjątkowo wolno. Mijali nas nawet rowerzyści, w swych małych kaskach i wielkich okularach podobni do przeskalowanych insektów z komiksów SF. Wiosną są na Majorce prawdziwą plagą. Szczególnie zdrowi niemieccy emeryci lubią ten sport. Średnio raz na tydzień jeden z nich wraca z pękniętym serduszkiem do Heimatu, w worku, razem z rowerem. Kierowcy furgonetek poganiali nas nerwowym trąbieniem, bo blokowaliśmy wąskie górskie drogi i mimo włączonej na full klimatyzacji dojechałam mokra jak mysz.

– A, więc to jest ten tort? – przywitała nas Louise, a ja myślałam już tylko o wielkich plamach z potu na mojej szarej koszulce polo. Szara, spocona mysz. Na szczęście miałam na sobie nowe klapki z drewnianymi koralikami, bardzo dizajnerskie.

Louise stała naprzeciw mnie pachnąca i świeża, w drogiej jedwabnej tunice i misternie upiętym koku à la grecka bogini. W uszach dyndały wielkie, złote kolczyki wysadzone ametystami, a połowę twarzy przysłaniały czarne okulary Chanel. Na opalonych stopach miała złote

sandałki na szklanych koturnach, długie rzemyki aż po kolana oplatały jej zgrabne łydki. Genialne, widziałam je w ostatnim „Vogue’u”. Była onieśmielająco perfekcyjna. Odwrotnie niż ja.

– Jeśli nie będzie dobry, nie musi pani płacić – wybąkałam zawstydzona.

– Szofer podrzuci jutro pieniądze – powiedziała. – Do widzenia!

Wracałam do domu zmęczona. Pięćset euro zostało gdzieś za horyzontem, gdy zadzwonił Altos, niewyczerpane źródło optymizmu.

– Oszukał cię! Wszystko wiem! Ivanka się wygadała...

– Kto? O czym ty mówisz? – Mój świat kręcił się chwilowo wokół tortu.

– Martin!!! – wypowiedział to, jakby chodziło o imię szatana. – A Moce ostrzegały! Zaslugujesz na więcej, Prinzessin!

Nie spałam pół nocy, a nad ranem wysłałam do Maksa maila z prośbą, by jak najszybciej wypłacił tysiąc euro z mojej książeczki oszczędnościowej na okaziciela, zdeponowanej u niego na czarną godzinę. Chyba właśnie wybiła.

\* \* \*

– Tort był wspaniały, palce lizać – zaszczebotała Louise. – Mam już dla pani następnego klienta! To pan burmistrz z Soller! Ależ mu smakował! Będzie niedługo wydawał wyborcze przyjęcie... Jest pani zainteresowana? Ach, jakoś wspaniale spałam po tym torcie. To dla mnie ważne, bo często nie mogę zasnąć... Dziś na noc zjem kawałek. Szofer już wiezie pieniądze.

– To bardzo się cieszę! – wybąkałam oszołomiona nawałem dobrych wiadomości.

– Wie pani, oni tu raczej nie używają maku. A szkoda!  
Czy pani wie, jak jest mak po hiszpańsku?

– Amapola?

– Albo adormidera! Dormir – spać. Rozumie pani? –  
mówiła podekscytowana swą błyskotliwością.

Nie byłam pewna, czy nie myli go z opium, nasenne  
działanie maku to podobno mit.

Cudowne właściwości nasion, rzekome czy nie,  
przyniosły mi bonus w postaci dodatkowych dwóch stów.  
Pani w banku La Caixa ucieszyła się na widok wpłacanej  
gotówki, wciągnęła ją natychmiast. Popiła średnio  
mineralizowaną wodą Font Veill i obiecała pomyśleć o  
odblokowaniu mojej karty z niebieską rozgwiadą.

Gdy później, zainspirowana rozmową z Louise i wizytą  
w banku, rozmyślałam o pieniądzach za torty dla  
burmistrza i pomału zerującym się koncie, zadzwonił  
Pedro.

– Magdalena! Gdzie ty się podziewasz? Nie było cię już  
ponad tydzień na budowie! Przyjeźdź natychmiast zobaczyć,  
co się stało! – Ledwo oddychał ze zdenerwowania, łapał  
powietrze jak konający karp przed Wigilią.

– Nie możesz powiedzieć?

– Nie. Musisz to sama zobaczyć! – Zabrzmiało jak  
rozkaz i nie wróżyło nic dobrego.

Jego zdenerwowanie udzieliło mi się natychmiast nie  
tyle w magiczny, ile w bezprzewodowy sposób. Na budowie  
coś się wydarzyło, tym razem coś strasznie straszego. Co  
najmniej katastrofa budowlana z ofiarami w ludziach.  
Inaczej nie mogłam sobie tego wytłumaczyć.

Pedro czekał na mnie przed kuchennym wejściem, z  
czerwoną twarzą i wysokim ciśnieniem. Wypisz wymaluj  
stan przedzawałowy.

– Idź zobacz! – rozkazał, wyjmując papierosa z ust.

W zeszłym tygodniu w prawie gotowej kuchni zaczęto

montować szafki, robione na zamówienie u stolarza w Ince. Czekaliśmy na nie ponad dwa miesiące. Stałam w drzwiach i omal nie padłam z wrażenia. Meble, pośpiesznie zdemontowane, tworzyły nieregularny kopiec pod oknem. Na środku kuchni, bezpośrednio na kamiennej podłodze, Juan kończył murować ścianę, której przedtem nie było i być nie miało.

– Pedro! A co to jest?! – wrzasnęłam przerażona. – Co on wyprawia?! Po co ta ściana? Te szafki są już do wyrzucenia!

– No widzisz!? Byli na weekend i kazali dostawić. Na służbówkę. A raczej ona kazała! Cholera jasna!

– Jacy oni?

– No ja nie wiem, ale Juan mówi, że pani inwestora kazała.

– Jaka inwestora? Ja?

– A odkąd ty, skarbie, inwestora jesteś? – Uśmiechnął się pobłaźliwie. – Marie kazała!

– Marie? Co za Marie?

– Narzeczona! Z Paryża! Modelka! Śliczna! Ho, ho! – Cmoknął obleśnie w złożone palce. – Nie poznałyście się? – zapytał zdziwiony. – Jak się z Martinem pobiorą, to tu zamieszkają na stałe.

– Coooo? – Czułam, jak gorąca fala adrenaliny przechodzi przez moje ciało.

– Laluniu, ty się nie denerwuj, maleńka! To się wyjaśni z tą ścianką.

Z jaką kurwa ścianką? Co za kutas! Marie?! Pieprzę, chrzanię tę budowę, oszust jeden! I jeszcze nie zapłacił!

„A mówiłam, trzeba było RAZ matki posłuchać! – dudniły półkule – MÓWIŁAM!”.

Wiem, kurwa, wiem!

\* \* \*

Nie pamiętam, jak wróciłam do domu. Michaś już był.

– Chora jesteś? – Spojrzał na mnie z niepokojem.

Bardzo nie lubił, gdy chorowałam. Byle przeziębienie wywracało jego porządek świata do góry nogami. Nie chciał być moim opiekunem. No cóż, dam mu wycisk jako staruszka, będzie mnie karmił łyżeczką.

– Nie, nie martw się. Ktoś mnie tylko zdenerwował.

– Ten Martin? – Trafiony zatopiony, ostra jak brzytwa dziecięca intuicja.

– Nieważne, mam kłopoty na budowie. Pewnie rzucę tę pracę.

– A mój laptop? Nie kupisz mi?

Poczułam, że kręci mi się w głowie, a światło zaczyna dziwnie pulsować.

– Chyba się położę...

Nie wychodziłam z łóżka przez cały następny dzień. Opuściły mnie wszystkie siły witalne, wszelka chęć do życia, apetyt i zdrowy rozsądek. Czułam się strasznie, oszukana, okłamana. Beznadziejnie.

„Sama sobie jesteś winna – powtarzała coraz głośniejsz matka w mojej głowie. – Dałaś się nabrać, głupia!”

Stara i głupia. Wiem, to wyłącznie moja wina. Nie można być tak naiwnym. Nie w moim wieku. Za trzy dni skończę trzydzieści sześć lat. Samotna, zbankrutowana i chora. Nie mogłam wstać, wszystko mnie bolało, wszystko wirowało, traciłam równowagę. Zdychałam. Czyżbym aż tak to przeżywała? Sięgnęłam po termometr. 39,5. Tym razem to nie rozmiar buta, byłam naprawdę chora. Na coś.

Doktor Huber przyleciała na swych wielkich, rudych skrzydłach.

– Ma pani grypę. Prawdziwą, nie ma żartów. Dam pani tamiflu. Za dwa dni powinno być lepiej. – Położyła chłodną dłoń na moim rozgrzanym czole. – Gorączka pewnie jutro

spadnie. Proszę izolować syna.

\* \* \*

To była najdłuższa choroba w historii mojego macierzyństwa. Cały tydzień. Rosa przygarnęła Michasia, a ja leżałam jeszcze kilka dni w gorączce, siódmych potach, w ciemnościach, bez nocy, dnia, godzin. Nie odbierałam telefonu i nie otwierałam żaluzji. Raziło mnie światło i drażniły dźwięki. Leżałam. Drzemałam, budziłam się, zasypiałam, łykałam tabletki, nie byłam w stanie mówić, czytać, wegetowałam. Już sama nie wiedziałam, czy zabija mnie grypa, czy złość. Tylko mój faks brzęczał co jakiś czas, wypluwając rysunki od Michasia. Na urodziny narysował mi tort w aktualnie ulubionych barwach moro (co było miłe), ozdobiony potworną ilością świeczek (co było traumatyczne). Nie marnował czasu u Rosy, tylko wymyślał coraz straszniejsze scenariusze, jak smoki pożerają Martina, jak się domyśliłam, albo jak generał osobiście strzela do niego z armaty.

Aż któregoś popołudnia natarczywy dzwonek wygonił mnie z przeпоcoanej pościeli, z barłogu depresji i mroku zamienionej w lazaret sypialni. Musiałam otworzyć, bo jakiś kretyn dzwonił jak najęty.

Przed drzwiami stała uśmiechnięta Ivanka. Jak na sprawę rozwodową w toku wyglądała przepięknie, służyło jej. Dekolt miała głębszy niż ostatnio, a spódniczkę krótszą, niedługo te dwa punkty się przetną.

– Magda! No nareszcie, dzwonię i dzwonię, a ty neberesz telefonu!

– Chora jestem...

– No ja vidim! Strasznie wyglądasz. Louisa też nie mogła się dovolać, a ty dorty jakieś masz robić dla starosty... to przyjechałam.



– Ale ja zdycham! Jak ja mam piec? Zaraz to odwołam.  
Nie mam siły!

– Hloupa jesteś! Burmistrz chce, to może i król zamówi.

Albo ona piła, albo ćpała. Pewnie jedno i drugie. Aktualnie nie byłam w stanie tego ocenić. Kręciło mi się w głowie od zmiany pozycji na pionową po tygodniu leżenia. Poza tym byłam teraz rok starsza i czułam to w kościach.

– Ja wam pomohu, razem z Michałkiem, i raz-dwa zrobimy te torty! – nie ustępowała. – Idź się myj, wkładaj dres i zaczynamy. Jadę po Michasia!

\* \* \*

Pracowaliśmy przez dwa dni. Piekarnik grzał się na okrągło, burmistrz zamówił aż dziesięć tortów. Ivanka załatwiła w Café Mozart parę kilo maku, ale nie był taki jak polski. Jakiś szary, a do tego strasznie drogi.

Przywiozła Michasia od Rosy i kazała mu mleć mak. Nie wiem, jak i czym go przekonała. Podobno mieli poważną rozmowę w samochodzie, powiedziała enigmatycznie. U mnie Michaś wytargował jeszcze zwolnienie z lekcji na następny dzień, przecież będzie zmęczony.

– Następnym razem wezmu moich synów do pomocy!

– A ty myślisz, że będzie następny raz?

– Ano!

Smarowałam właśnie ostatni tort cytrynowym kremem, gdy zadzwonił Martin. Od afery w Santa Maria dzwonił codziennie, ale ja nie chciałam wiedzieć, czy martwi się o budowę, czy o mnie. Właściwie było mi wszystko jedno. Choć pewną nadzieję, że zdarzy się cud i przyniesie mi w zębach umowę, zaliczkę oraz dowód na nieistnienie Marie, ciągle miałam. Może dlatego oblizyłam palce z kremu i sięgnęłam po słuchawkę.

– Halo? – starałam się mówić zimno i obojętnie, ale głos drżał mi jak wibrator dla słonia.

– Co się z tobą dzieje? – Nie był szczególnie miły, raczej obcesowy.

– Nic, piekę torty. W końcu muszę z czegoś żyć!

– Zdaje się, że pracujesz dla mnie! Dlaczego nie przychodzisz na budowę?

– Pracuję? A płacisz mi?

– Trochę cierpliwości – syknął. – Wszystko byś chciała naraz.

– Wszystko, czyli co? – Wkurzył mnie. – Marie ma więcej cierpliwości?! Zapomniałeś powiedzieć, że masz narzeczoną!

– To nie ma nic do rzeczy – uciał. – Sama wszystko zepsułaś! Wracasz na budowę czy nie?

– Ty głupi dupku! Co ty sobie myślisz? Że będę za darmo pracować? Wynoś się z mojego życia razem z Marie, Santa Maria i wszystkimi innymi Mariami! Chrzanię twój dom! I nie dzwoń do mnie! Nigdy więcej! – Rzuciłam słuchawkę. Ivanka uśmiechnęła się i złożyła palce w V na znak zwycięstwa.

– No to, Magdusia, świętujemy chyba, co? Napij się rychle, bo się strasznie trzęsiesz! Nejlepsi bude vodka!

Dawno tak dobrze się nie bawiłam. Zagryzałyśmy wódkę kawałkami nieudanego makowego spodu i wylizywałyśmy miski po kremie. Z resztek ciasta ulepiłyśmy dwa małe ludziki – Martina i Davida, jej męża, a potem dźgałyśmy je wykałaczkami, wydłubywałyśmy im oczka i obcinałyśmy migdałowe penisy.

– Moje pomsta je sladka! – Ivanka piszczała jak podłotek, odgryzając cukierkowe jajeczka ciastowemu Davidowi.

Siedziałam na lepkiej podłodze w kuchni, skręcając się ze śmiechu, gdy w drzwiach pojawił się Michaś.

– Zwariowałyście? A ja myślałem, że założymy fabrykę tortów i będziemy bogaci! – Był śmiertelnie poważny.

– Dobrze, Michalku – powiedziała Ivanka. – Ja mam velkou kuchnię, zrobimy fabrykę! Kupię dwa piekarniki i startujemy!

– Startujemy, startujemy! – wtórował jej przeszczęśliwy Michaś. – Będziemy bogaci!

– Taaak, będziemy baaardzo bogaci... – Owinęłam się szlafrokiem i zasnęłam w fotelu.

\* \* \*

W poniedziałek zadzwoniła boginka ze świątyni La Caixy. Tym razem odebrałam telefon bez obaw. Chór tysięcy aniołów zaśpiewał niebiańskim głosem:

– Odblokowaliśmy pani kartę. Dziś znowu wpłynęły na pani rachunek pieniądze! Dwa tysiące! Z Soller... – dodała szeptem – od samego burmistrza...

## WAKACJE

Nadeszły wakacje, najwyższy czas, bo zrobiło się już bardzo gorąco i dzieciom nie chciało się chodzić do szkoły. Wcale mnie to nie dziwiło, przy prawie czterdziestostopniowych upałach w Polsce ogłosiliby stan wyjątkowy, nie tylko koniec roku szkolnego.

Michaś pierwszy raz w życiu otrzymał przyzwoite świadectwo i specjalną pochwałę za postępy w języku angielskim. Ale najbardziej ucieszyło mnie „A”, czyli piątka z matematyki. Ileż to było kłótni przy kuchennym stole, gdy próbowałam odgrzebać w głowie resztki matematycznej wiedzy, wytłumaczyć Michasiowi, tak by zrozumiał, czyli po niemiecku, a potem odrobić z nim pracę domową po angielsku? Uważam, że ta piątka należała się mnie.

Gdy odwoziłam Michasia na lotnisko, był w podłym nastroju.

– Nie cieszysz się? Lecisz przecież na wakacje! Do dziadków! – próbowałam go rozchmurzyć. – Fajnie, że udało się kupić bilet na czarter, co? Nie musisz się przesiadać w Barcelonie!

– Ale ja lubię lotniska! To przez babcię i tego pilota! – odpalił obrażony.

– O czym ty mówisz?

– Babcia mi wszystko powiedziała! Bo ten pilot ma ci przywieźć mak! – mówił z wyrzutem. – Nie boisz się, że lecę polskim czarterem?

– Nie, polscy piloci latają na drzwiach od stodoły!

– Coooo??? – Spojrzał przerażony.

– Nieważne! Dzięki babci w ogóle dowiedziałam się, że jest bezpośredni samolot do Warszawy! Ten pilot to jakiś jej znajomy, przyleci z makiem, a potem z tobą prosto do dziadków. Tylko dwie i pół godziny...

– Popsułyście mi podróż! – warknął.

Boże święty! To nie był mój dzień. Najpierw nadęta matka, która łaskawie przekazując dziesięć torebek maku, jasno dała do zrozumienia, żebym nie liczyła na stałą współpracę.

– Mam zobowiązania wobec moich małych pacjentów, ja ratuję życie, nie mam czasu jeździć na lotnisko! A ty mogłabyś wreszcie znaleźć pracę w swoim zawodzie! – oznajmiła, żebym sobie przypadkiem nie pomyślała, że moja egzystencja może być ważniejsza od łupieżu przerasowionych yorków.

A teraz jeszcze ten mały obrażony samolotofil.

– Będę za tobą bardzo tęsknić! – Objęłam go mocno, gdy podeszliśmy do kontroli paszportowej. Plastikowa torebka z dokumentami, którą miał na szyi, wbiła mi się w brzuch. – Auć!

– No widzisz, nie jestem już dzieckiem, nie muszę tego nosić na szyi!

– Musisz, taki jest przepis. Jeszcze tylko rok!

– O kurczę! Zapomniałem baranka!

– Podam go za tydzień. Następnym czarterem.

– Tydzień nie wytrzymam! – Prawie się rozplakał.

– Przecież jesteś dorosły!

– Aaa, no tak! To pa!

Zniknął za metalową bramką.

Pa, syneczku! Dorosły! Jutro jakoś prześlę ci tego baranka, choćbym miała wyczarterować concorde'a.

Nie lubiłam się z nim rozstawać. Brakowało mi go już dwie sekundy po pożegnaniu. Na myśl, że jest gdzieś daleko, potrafiłam się popłakać. Widok jego pustego pokoju z rozgrzebaną pościelą i zabawkami porozrzucanymi po podłodze wywołał atak ckliwego sentymentu. A przecież powinnam się cieszyć wolnością! Wolnością od gotowania, prania, odwożenia, przywożenia, zakupów, odrabiania lekcji, wywiadówek i paru innych równie intelektualnych

wyzwań. Powinam.

W torebce wibrował wyciszony telefon. Ledwo go usłyszałam. Coś się stało? Michaś miał lądować dopiero za godzinę.

– Magda, kupiłam dwa piekarniki! Zaczynamy! – Ivanka miała w głosie tyle entuzjazmu co cała Spartakiada Młodzieży w Ołomuńcu.

– Jeszcze by się jakiś klient przydał...

Ostatnie dwa torty zrobiłyśmy w zeszłym tygodniu, na zakończenie roku szkolnego w Kings College, i nie zanosilo się na następne zamówienia.

– Neboj se, na dobry dort zawsze bude klient!

– Będzie albo nie będzie, a rachunki do zapłacenia już są! – ripostowałam z polską niewiarą w siebie, sukces i cokolwiek.

W rzeczywistości nie było aż tak źle, bo wraz ze zniknięciem z mojego życia Martina i jego budowy wydatki magicznie zmalały. Fryzjer, pedicure, depilacja, na którą chodziłam razem z Altosem, seksowne dessous czy choćby dodatkowe paliwo do auta – wysysacze ostatnich centów z miesięcznego budżetu – zostały skreślone grubym flamastrem z listy rzeczy niezbędnych. Moje konto, jeszcze niedawno pokasane przez Wampira Głupoty nabierało zmartwychwstańczych rumieńców, zasilane co parę dni przelewami amatorów makowego tortu.

Tańsze życie okazało się ku mojej radości całkiem malownicze. Odkryłam pyszne, ogródkowe warzywa u chłopów spod Bunyola, ryby za jedno euro prosto z łodzi w porcie i przepych wiejskich targów. Robiłam zakupy w miejscach piękniejszych niż malarskie plenery, spotykałam ludzi ciekawszych niż bohaterowie Becketta i podziwiałam na straganach kompozycje doskonalsze niż te na obrazach holenderskich mistrzów. Jadłam oczami.

Było zresztą zbyt gorąco, by się obżerać. Na śniadanie

wystarczała soczysta brzoskwinia, której sok spływał mi po rękach, aż do rękawów szlafroka.

Na lunch przyrządzałam pa amb oli – ciemny, cienko krojony chleb, z pomidorami, polany oliwą i posypany grubą, morską solą, albo sałatę z pachnących tomatów, które kroiłam hiszpańskim sposobem prosto do miski, bez użycia deski. Dorzucałam kilka oliwek, czosnek, czasem cebulę, dużo świeżego pieprzu i płatki soli z salinas. Niebo w gębie za grosze. Białych, świeżo złowionych, pysznych ryb Michaś nie jadał, aż któregoś dnia odkryłam, że zje wszystko, byle tonęło w czosnkowym alioli. Ucierałam więc majonez z wiejskich jajek z majorkańską oliwą i wciskałam całą główkę czosnku.

Teraz, gdy Michaś wyjechał, umawiałam się z Altosem na kolację, czasem nad wodą, pod wieczór, o „niebieskiej godzinie”, między dniem a nocą, gdy plaża pustoszała i Altos nie musiał cierpieć.

– Widziałaś ich, Prinzessin? Te małpy na piachu, jedna na drugiej? Obrzydliwe to jest, pfuj! Dlaczego ja mam patrzeć na takich brzydkich ludzi?

Ale o zmierzchu przychodził chętnie, bez marudzenia i wykrętów, wyraźnie stęskniony i szczęśliwy, że po miesiącach detronizacji znów powrócił do łask. Rozkładaliśmy koc na ciepłym piasku i zaczynaliśmy ucztę. Jedliśmy bajecznie kolorowe jarzyny z targu, pokrojony w cieniutkie plastry jamon serrano, sobrassadę – czerwoną kiełbasę, i tepanadę – pastę z drobno posiekanych oliwek, w której maczaliśmy owalne majorkańskie suchary.

Kiedyś przyniosłam tumbet – zapiekanekę z letnich warzyw, która na zimno była równie pyszna. Uwielbiałam ją, ale Altos patrzył z niechęcią na gałązki tymianku, których nigdy nie żałowałam.

– Nie mogłabyś raz zrobić bez tego zielska? – spytał

skupiony na usuwaniu każdego listeczka.

– No ale cały sens tego dania jest w aromacie! Dlatego robi się je tylko w lecie, gdy wszystko jest świeże i pachnące. Zioła też.

– Udowodnię ci, że w zimie też będzie dobra!

– W zimie już mnie tu pewnie nie będzie. Coś czarno widzę ten mój interes. – Rysowałam patykami na piasku torty i dekorowałam je świeczkami ze znalezionych petów. Jakaś obsesja.

– To nie będziesz bogata? – zmartwił się zupełnie jak Michaś. – Przecież ciągle pieczesz te torty i pieczesz... ile dziennie? Dziesięć? Masa kasy!

– Teraz pieczemy może dziesięć w tygodniu, wcale nie tak dużo. A klienci nie płacą jak burmistrz! Poza tym nie mam skąd brać dobrego maku, a wysyłka pocztą jest zbyt droga. No i cło.

– Nie martw się, Prinzessin. – Pogłaskał mnie czule po głowie – Już ja coś wymyślę, chyba nawet wiem co! Spytam dziś Wyższe Moce, czy to dobra droga, i jutro ci powiem.

\* \* \*

Tym razem Wyższe Moce nie zawiodły. Altos też nie. Zadzwonił do mnie dokładnie jak obiecał, co było ewenementem na skalę naszej znajomości.

– ¡Guapa! Mam! Udało się! Jest kurier. Mam twój mak!  
– krzyczał podniecony jak narkoman na plantacji konopi.

– Kurierem to dziękuję, będzie kosztowało majątek!

– Nie, to nie tak. Moja sąsiadka, Elena, pamiętasz? Jej rodzice robią oliwę, mają gaj przy Valdemossie.

– Ta z węzem? – Jak miałam nie pamiętać wieczoru z pytonem.

– Tak, z señorem Gatito. To jest oliwa dla smakoszy, sprzedają tylko kilku odbiorcom!



– A co ma oliwa do maku?

– Posłuchaj do końca. Kupuje od nich jakiś Polak, niby do Polski, ale Elena podejrzewa, że tak naprawdę to dla delikatesów w Monachium.

– Oszust jakiś, tak?

– Nie, Moce mówiły, że nie! On przyjeżdża tu często próbować nową partię... a zresztą sobrasadę też kupuje, od ich kuzyna. No więc pomyślałem, że jak polski handlarz, to może i mak ci sprzeda. Nie cieszysz się? – spytał zawiedziony.

– A rozmawiałeś z nim? Dość to wszystko skomplikowane...

– Ależ skąd! Nie rozmawiałem! Oczywiście, że nie rozmawiałem. Takie rzeczy pozostawiam tobie! – obruszył się. – Zresztą nie mam telefonu, nie dała mi. Wasan, komm! – zawołał w głąb mieszkania na psa. – Muszę kończyć, bo Wasan chce wyjść!

## SERCA NA MAJORCE

Rany po Martinie okazały się płytsze, niż myślałam.

Monika zaledwie w dwóch sesjach telefonicznych wytłumaczyła mi, że nie ma po kim płakać. Uwierzyłam.

– To nie była miłość, Prinzessin – zgodził się Altos – tylko projekcja twoich życzeń. Przyznaj, że zakochałaś się w jego domu, nie w nim! Ale że ci nie zapłacił, tego mu nigdy nie wybaczę!

– Jeszcze się na nim zemścimy, Altosiu – uspokoiłam go.

– Poproszę o to Moce. I o jakiegoś dobrego kochanka!

Nie wnikałam już, czy chodziło o kochanka dla mnie, czy dla niego. Mimo że moje życie erotyczne ograniczyło się teraz do morderczych treningów w siłowni, gdzie regularnie zostawiałam przy stacjonarnym rowerku kilkaset spalonych kalorii i parę kropli potu. Pedalujący obok machos z owłosionymi torsami wypacali całe kałuże testosteronu, co wyglądało dość obrzydliwie, ale z drugiej strony była to obecnie moja jedyna okazja do choćby wizualnego kontaktu z gołym męskim ciałem.

Któregoś dnia Rosa, pewnie zmartwiona moim przedłużającym się celibatem, bo samotności per se za problem nie uważała, zaprosiła mnie na przyjęcie. Impreza miała być tematyczna – Krąg Serc, nie usłyszałam tylko, czy Samotnych, ale pewnie tak.

– Na pewno spotkasz jakąś bratnią duszę! – obiecała.

Bratnią duszę? Do seksu? Chyba tantrycznego.

\* \* \*

Nie poszłam tego dnia na trening, by nie ryzykować przekrwionych z wysiłku oczu, a zamiast tego zafundowałam sobie manicure i świeże pasemka.

Skoczyłam jeszcze do Palmy po megaseksowną sukienkę w kolorze fuksji, idealnie podkreślającym miodową barwę opalonych nóg, a popołudnie spędziłam z plasterkami ogórka na oczach i aloesu na policzkach.

Strzeliłam sobie drinka na rozluźnienie i pojechałam do Rosy zawojować czyjeś samotne serce. A właściwie nie czyjeś, tylko to należące do Mr. Perfect. Wyglądałam jak milion dolarów, musiało się udać!

Podjechałam taksówką, specjalnie spóźniona o godzinę, by mieć wielkie entrée. Jeszcze raz sprawdziłam w lusterku mojej puderniczki, czy wszystko jest bliskie perfekcji. Było! Wzięłam głęboki wdech i z sercem bijącym szybciej niż zwykle weszłam przez uchylone drzwi. Czułam, że ON tam jest!

Salon wypełniony był zapachem kadzidełek i dźwiękami tybetańskich gongów. Na podłodze siedział krąg brzydkich kobiet w średnim wieku. Trzymały się za ręce i kiwały w rytm muzyki z zamkniętymi oczami. Chciałam natychmiast wyjść.

– Magda! – zawołała Rosa. – Spóźniłaś się, jesteś ostatnia. Siadaj szybko do nas, zaraz zaczynamy.

Nie było odwrotu. Wściekła zajęłam miejsce na brudnym dywanie, naciągając moją nową sukienkę na półgoły tyłek. Jedna z kobiet podniosła się i stanęła w samym środku koła.

– Witajcie w Kręgu Serc! Korzystamy z gościny naszej siostry Rosy, która podarowała nam dziś swój czas i to piękne miejsce, byśmy mogły nawzajem obdarowywać się energią i miłością – wyrecytowała. – Ale najpierw się poznajmy. Nazywam się Regina i jestem Odbiorczynią Waszych Serc.

Cholera! – pomyślałam – co to za ezoteryczny szajs! Wolalabym podarować moje serce pierwszym lepszym owłosionym plecem z siłowni niż tej antypatycznej babie w

kwiecie menopauzy i indiańskim kaftanie. Ale Regina nie czytała w moich myślach, bo ciągnęła:

– Dzięki naszemu Kręgowi Serc wszystkie staniecie się bogate, nie tylko w miłość, ale też w realne pieniądze. Miłość bowiem przyjmuje różne formy. Powitajmy nasze mistrzynie: Beatę i Veronikę – wskazała na siedzące w kręgu tłuste koleżanki w podobnym wieku. Mistrzynie pokłoniły się nam hinduskim gestem z rękami złożonymi jak do modlitwy.

– Namaste! – syknęłam hinduskie pozdrowienie.

Odpowiedziały ciepłym uśmiechem. Pozostałe panie przyglądały się rytuałowi z niemym zachwytem, czekając na spłynięcie łaski pańskiej, manny albo cholera wie czego. Na objawienie Męczyzny Życia przestałam już liczyć.

– Są też wśród nas siostry pomocnice – dodała Regina, a pomocnice pokłoniły się synchronicznie.

Gdzie ja jestem? Rosę chyba pogięło, żeby takie świry zapraszać do domu. Ale nie, ta siedziała rozpromieniona i delektowała się każdym słowem Reginy.

– Dziś wyłonimy spośród was osiem darczyń. – Wydawało mi się, że Regina patrzy szczególnie wymownie na mnie. – Czy jesteście gotowe?

– A co te darczynie mają darować i komu? – nie wytrzymałam.

Regina zmrużyła oczy i już wiedziałam, że mnie nie lubi. Westchnęła głęboko i powiedziała:

– Serca! Jeśli dziś osiem z was podaruje mi swoje serce, mistrzynie staną się odbiorczyniami, a pomocnice mistrzyniami, wy natomiast osiągniecie stopień darczyń, aż kolejne dobre kobiety podarują wam swoje serca. Któregoś dnia i wy dostaniecie osiem serc...

Zaczęło mi coś świtać. Nim jednak zdążyłam zapytać, Regina zaintonowała piosenkę zespołu Carpenters.

*What the world needs now is love, sweet love,*

*It's the only thing that there's just too little of.*

Fałszowała, a krąg mocniej złapał się za ręce. Miałam ochotę uciekać, ale z lewej mistrzyni, a z prawej siostra pomocnica nie pozwalały wyrwać się z uścisku.

*What the world needs now is love, sweet love,  
no not just for some but for everyone.*

Czy ja wyglądałam na samotną desperatkę? Czego te baby chcą? Piosenka wydawała się nie mieć końca, a dywan stawał się coraz twardszy i bardziej drapiący.

W końcu zamilkły. Skorzystałam z okazji i pod pretekstem sięgnięcia po szklanę z wodą, w której pływały plastikowe kostki lodu w kształcie czerwonych serduszek, wyrwałam się z uścisku sąsiadek. Regina skarciła mnie wzrokiem.

– I pamiętajcie, jeśli nie stać was na całe serce, możecie kupić połówkę albo i ćwiartkę, ale wtedy nie dostaniecie na koniec osiemdziesięciu tysięcy euro!

O cholera! To piramidka, system śnieżnej kuli, co za łajdactwo!

Z wrażenia zakrztusiłam się wodą, a piekielne plastikowe serduszko niemal utknęło mi w gardle. Kaszląc, rzuciłam się do łazienki. Jakoś udało mi się nie udusić. Byłam czerwona, spocona i zmęczona. Ochlapałam twarz zimną wodą i spojrzałam w lustro. Nie wyglądałam teraz najlepiej, ale czy aż tak źle, żeby kupować pół serca za pięć tysięcy euro? Czy nikt nie podaruje mi go za darmo? I poproszę tym razem całe, nie pół!

## SIAŁA BABA MAK

Minęły dopiero dwa tygodnie od wyjazdu Michasia, a ja już zdychałam z tęsknoty. Dzwoniłam do niego codziennie, ale nie był zbyt rozmowny. Zdecydowanie chętniej przysyłał mi co parę dni faksem swoje rysunki. Malował jezioro, łódkę, dziadka łowiącego ryby, żaby, bociany, okręty podwodne i torpedy, czyli mazurską faunę i florę. Odpisywałam mu rysunkami tortów, ciasteczek, słoneczek i serduszek. „Nudno tam u ciebie, narysuj mi, jak coś się wydarzy. Over and out” – napisał któregoś dnia.

Dziś właśnie miało się coś wydarzyć. Ivanka pojechała do Palmy, by wpisać naszą nowo narodzoną spółkę do Registro Comercial. Po wizycie u notariusza, rejestracji w urzędzie skarbowym i otwarciu firmowego konta był to ostatni krok na drodze do zalegalizowania naszej tortowej działalności. Wróciła po kilku godzinach.

– Otwieraj szampanskie! – krzyczała Ivanka od progu. – Już prawie załatwiłam!

Sięgnęłam po schłodzoną butelkę. Patrzyła niecierpliwie, jak nalewam jej kieliszek.

– Mmmm... mniem! Firmę zarejestrowałam, ale jmeno brakuje. Muszę im do jutra poslat faksem.

– Przecież mamy nazwę: Wypiek Ciast i Tortów, Magdalena Blum i Ivana Thomson.

– Tak chcesz na pudełkach pisać? Potrzebujemy piekne jmeno – przerwała mi.

– To może coś z makiem... może... Poppy Seed?

– A jak jest mak po szpanielsku?

– Po hiszpańsku? Amapola.

– Amapola! Pieknie! Jak Polka, jak ty: Ama-Pola, Ama-Polka – wyrecytowała zadowolona z odkrycia. – Nalej jeszcze! – Podsunęła kieliszek.

Dwudziestego pierwszego lipca Amapola otrzymała

swój numer podatkowy NIF. Miałyśmy firmę.

Nie byłam już rozmemłaną kurą domową, bezrobotną matką i rozwódką bez perspektyw. Ani artystką malującą landszafty do szuflady. Ani butoholiczką wydającą ostatni grosz na niewygodne szpilki. Od dziś moja poranna kawa miała smak biznesu. Poważny, profesjonalny i szybki. Bez wertowanych godzinami katalogów firm obuwniczych, bez croissantów i trzeciej neski.

Przeglądałam gazetę, dopijając proteinowy koktajl z guaraną, który miał mi dać większego kopa do pracy niż dwa litry kawy. Przelatywałam wzrokiem tytuły „Pogoda jak marzenie utrzyma się przez całe lato”, „Uratowano topielca”, „Skandal u niemieckiego rzeźnika”, „Życie znowu podróżowało”, oj tam, raptem cztery i pół procent, i nagle – Vincenzo! Zdjęcie, czarno-białe. Podpis: „Maurizio Brerra znany też jako Vincenzo Gallo. Policja Okręgu Calvia poszukuje wszystkich kobiet poszkodowanych przez Maurizia Brerrę. Mężczyzna oskarżony jest o wyłudzenie około 700 tysięcy euro w postaci gotówki i dóbr materialnych oraz o oszustwa matrymonialne. Poszkodowane powinny się zgłaszać...”.

Zawsze podejrzewałam, że coś z nim jest nie tak. Ten plakat, niby z koncertu, koronkowy salon, tandetna maniera włoskiego żigolaka, spotkanie w El Olivo, gdzie występował w roli świeżej krwi dla wampirzycy...

Natychmiast zadzwoniłam do Rosy, ona jedyna знаła Vincenza.

– To ty nie słyszałaś? Od miesiący wszyscy o tym trąbili, ale ty tylko Martin albo ciasta. Podobno najpierw nabrał jakąś bogatą wdowę, zamieszkał u niej, zresztą byłyśmy tam razem, a potem umieścił ją w domu starców, ukartował to z jej lekarzem...

– A czemu poszukują innych kobiet?

– Musiał z czegoś żyć. Ponaciągał kilka niemieckich

turystek. Pożyczał od nich pieniądze na swoje rzekome nagrania, a potem zniknął, aż w końcu któraś poszła na policję.

– Ja chyba nawet jedną widziałam. A ten plakat? Pamiętasz?

– No właśnie. Nigdy nie był żadnym pianistą, zaledwie słabym nauczycielem gry – westchnęła Rosa. – Tak poznał tę pierwszą wdowę, dojeżdżał na lekcje uczyć jej wnuki... na rowerze...

Vincenzo. Vaffanculo!<sup>[12]</sup>

Żałowałam, że go poznałam, że jechałam samochodem wyludżonym od jakiejś wdowy, że otarłam się o ten dom, nie jego, tylko oszukanej babci. Stąd te kwiatki i falbanki. Co za ohyda!

– Altos! Wiesz, co się stało? – I wyrzuciłam całą tę śmierdzącą historię do słuchawki. Gdy skończyłam, zapytał łagodnie:

– A czemu tak się denerwujesz, Prinzessin?

– Nie wiem. Może przesadzam.

– Jesteś naiwna. I tyle. Przecież nic ci nie zrobił! Był na twojej drodze, musiałaś go poznać, wszystko ma sens! Potknięcie też jest krokiem naprzód!

Czułam, że Altos promienieje. Lubiłam tę minę.

– Przyjedź do mnie jutro. Załatwimy mak – dodał, jakby na pocieszenie. – Zdobędziemy numer kuriera. Już wiem jak!

\* \* \*

Altos nie miał żadnego numeru. Ani producentów oliwy, ani Eleny, ich córki, która mieszkała z nim przez ścianę. W zeszłym tygodniu przekupiony obietnicą vouchera na permanentny makijaż oczu, co było jego marzeniem, zgodził się zapukać do jej drzwi. Niestety nie



było jej w domu, ale odkrył, że Elena wraca zawsze na sjeść.

– Bądź o pierwszej trzydzieści! Ani minuty później! Musimy ją uprzedzić.

Czekaliśmy na Elenę z butelką wina i świeżo uprażonymi krabowymi chipsami, które uwielbiała. Wasan, zdenerwowany moją wizytą, więc zamknięty w pokoju, rysował mokrym nosem esy-floresy na szybie tarasowego okna. Parę minut przed drugą skrzypnęły balkonowe drzwi i Elena zasiadła przy plastikowym stole. Przez chwilę podglądaliśmy ją ukradkiem przez szparę w przepierzeniu. Rozłożyła na stole gazetę zamiast obrusu i zamyślona wydziobywała jednorazowym widelczykiem z plastikowego pojemnika kawałki tuńczyka z sałatki kupionej w supermercado.

Altos chrząknął głośno, by uprzedzić ją o naszej obecności, i krzyknął przez bambusowy płot:

– Elena, ¿que tal, guapa? Napijesz się? Mam zimne wino, musujące! – Podał jej nad poręczą kieliszek. – Chipsy też mam!

– ¡Fantástico! ¡Muchas gracias!

– Magdalena jest ze mną. Pamiętasz, poznałyście się?

– A, to ta, co nie lubi mojego Gatito?! – spytała z przekąsem.

– Ja po prostu boję się węży – nie wytrzymałam. – Słyszałam, że do twojej rodziny przyjeżdża kupiec z Polski? – Altos syknął na mnie i popukał się w głowę. Elena nic nie odpowiedziała, wpatrzona w swoją sałatkę.

– Widzisz, wszystko popsulaś – skarcił mnie Altos. – Teraz nie będzie już z nią żadnej rozmowy! Idź już, jakoś to sam załatwię. Ale łatwo nie będzie! – oznajmił i protekcyjnym gestem wyprosił mnie z tarasu.

Wracałam do domu wściekła. Jacy oni są wszyscy skomplikowani! Altos z tymi swoimi maniami, wariactwami.

I Elena... ten wąż...

\* \* \*

Straciłam pół dnia pracy, a wciąż czekała na mnie rozgrzebana tabelka w Excelu z listą potencjalnych odbiorców naszych tortów. Biznesplan zakładał, że jeszcze w tym tygodniu dostarczymy próbki do kilkunastu kawiarni na wschodnim wybrzeżu. Musiałam zredagować ofertę i kupić w Auchan plastikowe pudełka, do których wkładaliśmy po kawałku tortu. Były idealne, ciemnofioletowe jak polski mak.

Pod furtką siedziała zapłakana Ivanka. Wyglądała jak gwiazda telenoweli, odcinek dwa tysiące siedemset szósty, zemsta Leoncia, czy jakoś tak. Czarne od tuszu łzy spływały jej po policzkach, tlenione włosy kleiły się do mokrej twarzy, a czerwone oczy zdradzały, że ten stan trwa już jakiś czas. Połowa odcinka, emocje sięgnęły zenitu.

– Ja jsem skonczone – wyłkała na mój widok.

Przykucnęłam koło niej, a ona zaniósła się jeszcze głośniejszym szlochem. Sytuacja była beznadziejna, tym bardziej że sąsiadka spod piątki właśnie podjechała pod dom. Zaraz weźmie czynny udział w scenie dramatycznej, bo jak wielu Hiszpanów uwielbia okazywać empatię. „¿Cariña, que pasa?”<sup>[13]</sup> – spyta i zasypie nas potokiem pocieszeń. Tego nie zniosę na pewno. Nie dzisiaj! Szybko wzięłam Ivankę za rękę i jak dziecko poprowadziłam do domu. Posadziłam na kanapie i nalałam jej duży kieliszek koniaku. Wypiła duszkiem.

Uśmiechnęła się przez łzy. Pomogło, więc nalałam jej jeszcze jeden. I sobie też, na wszelki wypadek.

– David, ten kurevnik! Zasaranec! Hloupý czurak! – łkała.

Kwadrans i parę szlochów później zrozumiałam, że w

ramach rozwodowej umowy David obiecał Ivance dom i w sumie słowa dotrzymał, tylko nie wspomniał, że podżyrował nim parę kredytów. Sprawa była jasna – albo Ivanka spłaci dług, albo wróci na łono czeskiej rodziny we wsi Wbrda w okręgu ołomunieckim, czego bała się najbardziej na świecie.

– Nevratim se do Czeske republiky!

– No ale co możesz zrobić? Jak spłacisz dom? Dostajesz alimenty?

– Alimenty na waciki chyba! Ledwo na jidlo starcza! Ja się chyba zabiju!

No tak, samych błyszczyków musiała zużywać z dziesięć w miesiącu. Tymczasem kryzys osiągnął fazę plateau; Ivanka oddawała się rytmicznym spazmom na kanapie, a ja siedziałam obok w mdłościach po wypitym koniaku, który jednak mi nie służył. Tkwiłyśmy tak, każda w swoim cierpieniu, pewnie z pół godziny.

– Mam pomysł! – rozchmurzyła się nagle. – Zawsze ci mówiłam, że mi vadi ten aquapark koło naszego domu. I wiesz co? To będzie świetny interes!

– Sprzedasz dom na akwarium dla fok?

– No o czym ty gadasz?! – obruszyła się. – Zrobimy razem kawiarnię! Café Amapola! Na tarasie i w salonie, a ja będę z dziećmi mieszkać na górze, na co mi taki veliki dum? – Była podniecona swoim pomysłem. Tak bardzo podniecona, że pomyślałam, że to nie jest normalne. Jeszcze niedawno chciała się przecież zabić.

– Ale my grosza nie mamy! Wiesz, jaka to inwestycja?

– Ja to udzielam! Pożyczmy pieniądze.

– Ciekawe, kto pożyczycy zbankrutowanej rozwódce z Czeskiej Republiki?

– I drugiej z Polski! – Zaśmiała się. – Nie martw się, mam już kogoś na oku!

Własna kawiarnia? Z niezrównoważoną emocjonalnie

wspólniczką? To brzmiało jak skok na za długim bungee.

[12] (wł.) – Pieprz się!

[13] (hiszp.) – Kochanie, co się stało?

## CAFÉ AMAPOLA

Ale najpóźniej we wrześniu zapłacicie? – upewniał się Zdenko, chorwacka złota rączka, nie odrywając wzroku od głębokiego rowka, jaki tworzyły ściśnięte push-upem wielkie piersi Ivanki. Już miałam się go zapytać o upust w kosztorysie.

– To pomalujesz te ściany? Kuchnię trzeba odnowić, siłę doprowadzić, tu jedną ściankę działową... no i...

– A pani Ivanka sama tu mieszka? – przerwał mi, zwracając się nie wiadomo do kogo, ale chyba do piersi, bo nadal się na nie gapił. – Bo tu się wszystko rozpada! No, oczywiście, nie wszystko – poprawił się zaraz i głupio uśmiechnął.

Wyszliśmy na taras, chciałam mu jeszcze pokazać przewody, które pięły się, jak to na Majorce, bezpośrednio po murze. Trzeba je było jakoś zaizolować.

– Przecież to wszystko sparciało! – Zdenko kręcił głową, jakby po raz pierwszy widział fuszerkę.

– Wszyscy tak mieszkają i jakoś działa – oburzyła się Ivanka. – Dom w końcu swoje lata ma... no, może nie jest to willa...

– Zrobiłbym pani z tego cacuszko, pani Ivanko! – cmoknął.

Posłała mi mordercze spojrzenie. Nie moja wina, że znowu przebrała się za kurwę.

Poza tym Ivanka miała rację. Jej dom może nie był rezydencją, ale też niczym nie odbiegał od setek innych, zbudowanych tu w latach sześćdziesiątych budynków, w miejscowym stylu, z prefabrykowanymi tralkami wokół tarasu, mozaiką przy frontowych drzwiach i fasadą w kolorze jajecznym. Część tarasu ktoś kiedyś zabudował naprędce skleconą altanką, która służyła za składzik dla ogrodowych poduszek i zardzewiałego grilla. Ale właśnie

konieczność rozebrania tej dziwnej konstrukcji, bardziej nawet niż dekolt Ivanki, przekonała Zdenka do pracy na kredyt.

– Uwielbiam burzyć! – przyznał z bałkańskim błyskiem w oku i jakby na potwierdzenie tych słów kopnął z całej siły w altanę. Ivanka jęknęła.

Po południu Zdenko wnosił graty z tarasu i zrywał stare kable, a my siedziałyśmy w ogrodzie, pochylone nad listą niezbędnych zakupów i spraw do załatwienia. Lista była coraz dłuższa, a ja wciąż dopisywałam nowe pozycje. Farby do ścian, lampy, rośliny, wielki stół do kuchni do przyrządzania ciast, lodówki, maszyna do espresso, zmywarki, stoliki i krzesła... Ivanka z coraz bardziej zboląłą miną pytała, czy to konieczne.

– Nie damy rady, to wszystko będzie kosztowało majątek – westchnęła.

– To był twój pomysł. Mówiłaś, że załatwisz pieniądze...

– No ale nie tolik! Nie możemy tyle zainwestować!

– Obawiam się, że musimy. – Dopisałam do listy naczynia i sztuce.

– A jak splajtujecie? Wiecie, ile takich knajp bankrutuje? Wystarczy przejść się po deptaku! To może jednak zapłaćcie mi z góry! – wtrącił Zdenko.

– Ivanka! On ma superpomysł! Bankruci! – Doznałam nagłego olśnienia. – Zbieraj się! Jedziemy po towar!

Zdenko popatrzył zdumiony.

\* \* \*

Przeszłyśmy całą nadmorską promenadę w Magaluf, a potem jeszcze w Palma Nova. Tu interesy miały krótkie życie, bo zabierali się do nich amatorzy tacy jak my. Na wielu drzwiach wisiały kartki „Se Vende” albo „Traspaso” – co znaczyło, że właściciel poszedł właśnie z torbami.

Potem siadliśmy na pustoszejącej pod wieczór plaży z puszkami ciepłej coli z zepsutego automatu.

Patrzyłam na mieniące się złotem morze, zachodzące słońce, białe łodzie płynące na noc do portu. Zbyt piękne, by to namalować. Wyszedłby kicz z bazarowej makatki.

– Patrz, jaki widok! Mieszkamy w rajku, a uganiamy się za jakąś starą lodówką!

– Takovy život, Magdo!

– Jacy wy, Czesi, jesteście pragmatyczni!

– A wy tacy romantyczni, a co mate?

– A to, że już wiem, jak będzie wyglądała nasza kawiarnia! I wcale nie zrobimy hacjendy, to nie pasuje do twojego domu. Zrobię projekt, a ty skarbie obdzwoń jutro tych wszystkich bankrutów i spróbuj odkupić od nich jakieś sprzęty. Powinni sprzedać za grosze.

– Zobacz! – Kawałkiem patyka narysowałam prostokąt na piasku. – To jest twój taras. Jak zburzymy altanę, to postawimy osiem stolików i mały barek do sprzedaży na wynos. No i kolory... jak nasz tort – bladocytrynowy i fioletowoczarny.

– A meble? Za co kupimy stoły, żidle, barek?

– Mam już pewien pomysł. Jutro to załatwię!

Czekał mnie długi spacer po Arenal.

\* \* \*

Dochodziło południe. Na szerokiej plaży skwierczały rozlane na ręcznikach ciała we wszystkich odcieniach opalenizny. Białe, czerwone, prawie czarne, chude, grube, brzydkie bez Photoshopa i niezgrabne bez ubrań. Melodie z wielu głośników mieszały się z wrzaskiem dzieci, rykiem skuterów wodnych i startujących samolotów. Mijaliśmy brzydkie hotele, pamiętające czasy późnego generała Franco, knajpy w guście angielskiego proletariatu, sklepy

dla emerytów z Dolnej Saksonii, stragany z dmuchanymi krokodylami i kremami do opalania, stoiska, gdzie sprzedawali sangrille w dwudziestolitrowych wiadrach.

– I to są wakacje? Te małpy jeszcze za to płacą! Jest tyle pięknych miejsc na Majorce, czemu pchają się na Arenal? – denerwował się Altos.

– Ale plaża ładna i tanio. Ty też to chyba lubisz, co?

Zamilkł obrażony. Z trudem trzymał fason w obowiązkowym czarnym mundurku, który skupiał słoneczne promienie jak soczewka. Nawet Wasan, pies afrykański, dyszał w tym upale. Szliśmy już drugą godzinę.

Zaczynałam wątpić w genialność mojego pomysłu. Nieczynne knajpy, które miały być kopalnią unikatowych mebli z lat siedemdziesiątych, były zamknięte na cztery spusty, a ich wnętrza, sądząc po tym, co udało się nam podejrzeć przez brudne szyby, wyczyszczone lub zagracone zwykłym chłamem.

Byłam zmęczona i chciało mi się pić. Bardzo.

– Usiądziemy na chwilę? – Pokazałam na pierwszy lepszy bar.

– Tutaj? – Altos się skrzywił.

– Tu nie ma innych! Wszystkie są takie same. Jak wolisz umrzeć z odwodnienia, proszę bardzo. A zresztą, ja siadam. – Opadłam na zielone plastikowe krzeselko.

Gorące tworzywo nieprzyjemnie przyklejało się do gołych ud. Altos, choć ubrany w długie spodnie, najpierw położył na krześle gazetę.

– Dwie fanty, bez szklanek, bez lodu, ze słómkami – wydał precyzyjne instrukcje starszemu kelnerowi – i wodę dla psa, ale nie zimną!

Kelner na okrągłej brązowej tacy przyniósł dwie zakapslowane buteleczki i słómkę w białych papierkach. Postawił je bez słowa i czekał.

– Por favor – nie wytrzymałam – może pan otworzyć te



butelki?

– Nie – odpowiedział krótko.

– Altosiu, to jakiś wariat!

– Ja rozumiem niemiecki – wtrącił kelner. – Dzisiaj strajk.

– A co mnie to obchodzi? – zezłościł się Altos.

– Zamknęli najstarszy lokal, czterdzieści lat tu stał i ciągle klienci byli, a teraz burzą pod nowy hotel, to my dziś strajkujemy, nigdzie was nie obsłużą... aż do samego portu!

– Odwrócił się na pięcie. – Możecie nie płacić!

Za chwilę wrócił do stolika.

– A podpiszecie protest? – spytał i podsunął mi jakiś papier pod nos.

Na wymiętej skserowanej kartce widniało kilkadziesiąt nazwisk, głównie niemieckich i angielskich, zapisanych w nierównej kolumnie pod niewyraźnym zdjęciem budynku z końca lat pięćdziesiątych. Café del Flor.

– Całkiem ładna! Szkoda, że zamknęli! Kiedy to mają rozebrać?

– Nie wiem, już zaczęli... parę dni temu.

– Prinzessin, przecież my dokładnie tego szukamy! – Altos poderwał się na widok ulotki. – Calle Vista Mar... to musi być przy plaży. Zbieraj się! I ty też! – Szarpnął drzemiącego w cieniu stolika Wasana. Nie znałam go takiego. Pędził jak burza, ledwo za nim nadażałam. Tylko Wasan ucieszył się z niespodziewanego sprintu. – Jeszcze jedna przecznic! – dopingował mnie Altos. – Moce mówią, że zdążymy!

– Nie tak szybko! Zniszczę sobie buty! Na co mamy zdążyć?

– Na wysadzenie dynamitem!

Dynamit?! Co za pomysły!

Już traciłam dech, gdy Altos krzyknął:

– No widzisz, jest!

Faktycznie. Biały klocek ze stylowym neonem Café del Flor stał na rogu ulicy i nadmorskiego deptaka. Robotnicy kręcili się wokół, demontowali żaluzje, wyjmowali ramy okienne i zrzucali je prosto na ulicę. Na chodniku stała wielka garmażeryjna lada.

– No, takiej chyba nie chcesz... jest cała zardzewiała. – Altos był bardzo tym widokiem rozczarowany.

Zajrzałam do środka, ale już prawie nic tam nie było. Za to neon przepiękny!

– A wy czego tu? Nie wolno wchodzić – warknął postawny mężczyzna wyglądający na szefa.

– Chciałabym odkupić ten neon.

– To? – zdziwił się. – To od dziesięciu lat nie działa. Nie opłaca się naprawiać. Po co pani coś takiego?

– Właściwie szukam starych mebli, w stylu vintage... ale tu już nic nie ma, więc chociaż może ten neon... – Uśmiechnęłam się do niego aż po same siódemki.

– To sam złom! Wywozimy właśnie na wysypisko. – Pokazał na stojącą po drugiej stronie ulicy otwartą ciężarówkę.

Nie wierzyłam własnym oczom. Była pełna pięknych, metalowych giętych mebli z wczesnych lat sześćdziesiątych. Okrągłe stoliki i finezyjne krzeselka piętrzyły się na naczepie ciężarówki. Na samej górze leżała ogrodowa huśtawka z szeroką kanapą i wypłowiałym baldachimem. Byłam wniebowzięta. To były nasze wymarzone meble!

– Zapłacę pięćdziesiąt euro, jeśli zawieziecie to do Costa d'en Blanes... błagam!

Już widziałam mebelki, polakierowane na pastelowe kolory, na tarasie Amapoli.

– Señorita żartuje? – Szef zsunął z nosa okulary przeciwsłoneczne i wlepił w nas wielkie czarne gały.

– Proszę, trzydzieści euro, resztę dostaniecie na miejscu. Niech pan pisze adres!

Altos stał uradowany z boku i mruczał coś pod nosem. Pewnie dziękował Mocom, że spacer się skończył, bo gapił się w niebo.

Ivanka z początku nie była zachwycona kupą rupieci, która po południu wylądowała w jej ogródku. Część rzeczy była przerdzewiała, poduszki nadawały się na śmietnik, a stołom brakowało szklanych blatów. Zdenko wycenił swoją pracę na następne tysiąc euro, ale ja i tak wiedziałam, że to manna spadła nam z nieba. Gdy po kilku dniach oczyszczone przez nas meble pokrył lawendowy lakier, a huśtawka dostała nowe życie dzięki bladożółtym poduchom, które szylałam po nocach, Ivanka nie mogła ukryć zachwytu.

– Wybornie! – Klasnęła w dłonie, gdy ustawiliśmy stoliki na tarasie.

W nocy przyszedł faks od Michasia. Narysował samolot, statek, wyspę, siebie i swojego ojca, podpisanego R.B., i jakieś patyczkowate stwory. Pewnie Robert znów zabierał go na wypasione wakacje z kolejną chudą laską z powiatowego miasteczka. Muszę to wyjaśnić, nim go rozpaskudzi na jakichś Karaibach.

Rano, kiedy upał nie był jeszcze zbyt duży, jeździliśmy ze Zdenkiem do ogrodników po kwiaty, wszystkie oczywiście w naszych fioletowo-żółtych kolorach. Uwielbiał te wyprawy, a najbardziej moment zapinania pasów, które zacinały się i wymagały jego pomocy.

– Sprawdź, czy nie jest za ciasno – mówił, przejeżdżając powoli dłonią po całej długości napiętego na mych piersiach pasa.

Tymczasem Ivanka (do której też się po kryjomu zalecał, a raz nawet przyniósł storczyk w doniczce) załatwiała ostatnie formalności. Robiła kalkulacje i codziennie oznajmiała, że właściwie już jesteśmy bankrutami. Byłam chyba zbyt zmęczona, by rozumieć

powagę sytuacji. Otwarcie kawiarni, na razie warunkowe, bo wciąż brakowało jakiegoś papierka, planowałyśmy za dwa tygodnie. Pozostała jeszcze nierozwiązana kwestia maku i ozdobnego szyldu. Zamówienie stylowego neonu, jaki sobie wymarzyłam, przekroczyło nasze finansowe możliwości.

Przywiozłam z domu pędzle i farby i, walcząc z lękiem wysokości, starałam się wymalować na fasadzie czytelny i ładny napis. Nie było to łatwe. Barwniki nierówno wsiąkały w stary tynk, który tu i ówdzie zaczął się nawet kruszyć. Kaplicy Sykstyńskiej z tego raczej nie będzie.

Ivanka chodziła wściekła, mrużąc pod nosem, że rujnuję elewację, a Zdenko, zadowolony, podglądał, gdy stałam na wysokiej drabinie.

– W sukience ci znacznie ładniej – komentował. – Po co wkładasz te portki?

– To przecież hot pants, specjalnie dla ciebie! – żartowałam, a on brał to za dobrą monetę.

Męczyłam się, od paru godzin cyzelowałam literki, retuszowałam detale. Wciąż wyglądało okropnie. Nie byłam czempionem liternictwa. Nie ma się co oszukiwać! Już pewnie mi bliżej do malarki, tak przynajmniej uważał Herbert. No to maki. Wielkie, przerysowane i fioletowe jak nasze logo! Troszkę niestety przypominały bratki.

Nawet nie zauważyłam, kiedy zrobił się wieczór, malowałam jak napalona makowym opium, aż cała fasada pokryła się kwiatami.

Zdenko już dawno poszedł do domu, Ivanka siedziała w kuchni, czytając „Česke Noviny”, a ja, pochlapana farbami, w idiotycznym kapelusiku z gazety i wielkiej kraciastej koszuli, która się ostała po mężu Ivanki, kończyłam ostatni szczegół osobliwego malunku. Stałam w mocnym świetle jachtowego reflektora, który Zdenko przytaszczył z portu i zamontował na drugiej drabinie, tak

by oświetlał dom.

– Jakie piękne! – usłyszałam za plecami głęboki baryton.

Odwróciłam się. Pod drabiną stał jakiś facet i gapił się na moje nogi. Widziałam tylko kontury sylwetki, światło ślizgało się po jego włosach i zatrzymywało na szerokich ramionach.

– Czy pani Magda? – zapytał po polsku.

Poruszył się i lampa oświetliła jego twarz. O Boże, to on! Clooney! Te turkusowe oczy!

Omam nie spadłam z drabiny. Spostrzegł to i podał mi dłoń. Zawahałam się.

– Śmiało! – Złapał mnie za rękę.

Sprowadził na dół ostrożnie, a ja patrzyłam na żółto-fioletowy ślad, który zostawiłam na jego opalanej dłoni.

– Pięknie pani maluje! Przepraszam, nie przedstawiłem się. Marek Hampton. Przysyła mnie Elena, a właściwie jakiś pan Altos. Dał mi pani numer, dzwoniłem cały dzień, ale nie odbierała pani, więc w końcu podał ten adres.

– Ach, pan jest od maku! Miło, że pan wpadł, mam wyłączony telefon, bo i tak bym nie mogła odebrać. – Właśnie uświadomiłam sobie, że w przeciwieństwie do niego muszę wyglądać strasznie.

– Jutro lecę do Polski, a za tydzień przysyłam na Majorkę transport po oliwę, mógłbym podrzucić przy okazji trochę maku.

– To wspaniale... Przepraszam, zaraz wracam. – Wycofałam się do domu i zamknęłam drzwi. Oparłam się o nie i wzięłam głęboki oddech. Czy to się dzieje naprawdę, czy może zatrułam się rozpuszczalnikiem?

– Magda, jak ty wyglądasz! – Ivanka podniosła wzrok znad komputera. – Pobrudzisz dverze!

– Clooney przyjechał! Zaraz zemdleję!

– Co? Nerozumim!

– Ten od maku to mój Clooney! Właśnie przyjechał! Idź pogadaj z nim, ja muszę coś ze sobą zrobić.

Ivanka rozdziawiła błyszczące usteczka, a ja pobiegłam na górę. W jaskrawym świetle zobaczyłam w lustrze potwora wymazanego farbą – na włosach, na szyi, wszędzie. To jakiś koszmar, pierwsze trzy sekundy przecież decydują. Przepadło! Wyszorowałam plamy farby z twarzy, kosmetykami Ivanki zrobiłam szybki makijaż i rozpuściłam włosy. No, nie było tak źle. Zdjęłam brudną koszulę i chwilę się zawahałam, bo miałam pod nią tylko cienki topik na ramiączkach i bardzo krótkie szorty. Zrzuciłam stare tenisówki i na bosaka zbiegłam na dół.

Marek aka Clooney odwrócił głowę i podniósł się z kanapy, jakby ciągnięty do góry za niewidzialne sznurki. Stał naprzeciwko mnie i nic nie mówił.

– Coś nie tak? – zmieszałam się.

– Ależ wszystko tak, nawet bardzo tak! – odparł z uśmiechem. – Już panią gdzieś widziałem...

– Nie, na pewno nie, to niemożliwe! – Spanikowałam. Oby nie wtedy na stacji benzynowej, jak pokazywałam mu fucka! Albo nie daj Boże przed domem Teresy, z tą czerwoną gębą pod prąd! – Może to był jakiś mój sobowtór?

– Tak, bardzo piękny sobowtór!

Ty też jesteś bardzo pięknym sobowtórem, pomyślałam, ale nie mogłam się skupić na błyskotliwej riposcie, bo Ivanka za jego plecami dawała mi tajemne znaki – wkładała sobie palec do otwartych ust i dziwnie się nim dławiła.

– Co? Niedobrze ci?

– Połknął haczek – wyszeptała, przechodząc trochę zbyt blisko mnie w drodze po kieliszki, jednocześnie otwierając butelkę. – Jak ja się cieszę, że wreszcie mamy mak! – dodała zdecydowanie za głośno.

– Samochód i tak jedzie pusty. Przywiozę wam pięćdziesiąt kilo maku, to żadna ilość, a wy mnie za to zaprosicie na słynny tort!

Stuknęliśmy się kieliszkami. Marek spojrzał mi w oczy. Zelektryzował mnie na turkusowo. Speszylałam się. Co się dzieje? Chyba głupieję z prędkością światła. Podoba mi się, ale żeby aż tak? Tak! Clooney zawsze mi się podobał. Nie dopiłam jeszcze kieliszka, a już jednego zdania sklecić nie mogę. Przysłuchiwałam się chwilę paplaninie podnieconej Ivanki, nie rozumiejąc z niej ani słowa. Może to jednak z niewyspania?

– Jestem strasznie zmęczona, muszę się zbierać. – Wstałam z kanapy. Wino kompletnie mnie ścięło. Lepiej, żeby nie zapamiętał mnie w wydaniu kretyнки.

– Pan Marek cię podrzuci – zaszczebotała Ivana. – Już go o to poprosiłam. Nie możesz prowadzić w takim stanie, a ja zitra po ciebie przyjadę...

Kiedy ta czeska małpa zdążyła to nakręcić? Wolałabym jednak iść z nim jutro na kawę. Jak się wyśpię, umaluję i włożę szpilki albo chociaż koturny. Posłałam jej mordercze spojrzenie, a ona popukała się w głowę. Zresztą było mi wszystko jedno, oczy same mi się zamykały.

Wsiedliśmy do starego pikapa. Marek jechał powoli, ale pewnie. Poczułam się bezpiecznie. Nawet nie wiem, kiedy zasnęłam.

– Pani Magdo... – Pochylił się nade mną. Pachniał wiatrem, słońcem i gorzką czekoladą. – Jesteśmy na rondzie, ale nie wiem, gdzie dalej jechać.

– Przepraszam, byłam bardzo zmęczona.

– Nie chciałem pani budzić, ale na mnie już czas, mam o świcie samolot.

Jak to samolot? A kawa? A obcasy? Nie może teraz wyjechać!

– A mak? Kiedy przywiezie pan mak? – zapytałam

prawie histerycznie.

– Za tydzień będzie samochód.

– Pan będzie jechał tym samochodem, z Polski?

– Proszę się nie martwić! Jakoś to zorganizuję! –

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Do zobaczenia! – Uśmiechnęłam się.

– Do zobaczenia, na pewno!

Na pewno! Powiedział „na pewno”!



## W KORCU MAKU

Przez następne dni chodziłam jak zombie. Otwarcie kawiarni zbliżało się z prędkością meteorytu, a do mnie nie docierało nic. Ostra niewydolność umysłowa. Stan po turkusowym zelektryzowaniu. Totalne otępienie, rozum ograniczony do kilku komórek, którymi myślałam tylko o jednym. O nim. I chyba miałam to wypisane na czole wielkimi literami.

– Nic z tebe nemam!! – narzekała Ivanka. – Pogonię tego Marka!

– Sama jesteś winna! Po co mnie odwoził?

– Ja swoje vim. Może chociaż zmielesz mak?

Trzeci raz czytałam bez zrozumienia instrukcję obsługi elektrycznej maszynki.

– Nie dam rady, jestem przemęczona. A jeszcze jadę dziś do Soller, Michaś ma tam dotrzeć z ojcem po południu. Spakujesz mi trochę tortu? Zawiozę im.

– Płyną jednak z tej Ibizy? Makowca też zapakować? – Otworzyła lodówkę. – O której ma być kierowca z makiem?

– Koło trzeciej. Będę jutro o drugiej – obiecałam.

\* \* \*

O drugiej po południu to ja jeszcze spałam. Obudziłam się po czwartej! Głowę miałam ciężką, jak po egipskiej narkozie. Wybrałam numer Ivanki.

– Kde jesteś??? – na dzień dobry wydarła się do telefonu. – Czy wiesz, która hodina?! Miałaś być tu przed dwiema godzinami!

– Przepraszam cię, zasnęłam. Późno wczoraj wróciłam. Przywieźli mak?

– Przivezli? I to jak przivezli! Zasypali nas tym makiem! Wiesz, co se tu dieje?! Po co tyle zamówiłaś?! – Tak

wścieklej Ivanki jeszcze nie słyszałam.

– Pięćdziesiąt kilo, jeden worek – odpowiedziałam spokojnie.

– Piet set kilo! Cała kuchnia w workach! – krzyczała. – Jakiś wariat to przywiózł! Powiedział, że masz coś w korcu maku znaleźć, to się rozliczymy. Co to jest makowy korec?

– A on czeka na pieniądze?

– Pojechał, ale co budu dielat? – Ivanka była roztrzęsiona.

Narzuciłam sukienkę, wsunęłam pierwsze lepsze klapki i pobiegłam do auta, które wciąż pachniało mielonymi. Michasiowi aż uszy się trzęsły, gdy je wcinał. Chuda laska patrzyła z pogardą, jakby całe życie jadła tylko homary.

– Bo my z Robusiem to najbardziej lubimy owoce morza z estrogenem – zapiszczała.

– Estragon, misiaczku, to zioło nazywa się estragon – poprawił ją Robert Henry Higgins.

– No mówię, że estrogen, mój ty wilku morski. – Żaneta przyssała się do dużego palca jego nogi. I dobrze, bo dzięki temu przestała mówić.

Gdy dojechałam na miejsce, Ivanka już uspokojona siedziała w kuchni i piła wino, uniwersalny środek na wszystko. Na podłodze stało dziesięć białych worków z makiem, jeden z nich zawiązany był czerwonym sznurkiem.

– Może w tym jest faktura? – Wskazała na niego wzrokiem. – Patrzyłam na internet, co to je ten korec... korzec. To padesat albo sto litru.

– Genialna jesteś! No ale czemu go nie otworzyłaś?

– Obavam se faktury!

– Po pierwsze zamawiałam pięćdziesiąt. Po drugie nie zapłacimy za pięćset, bo nie mamy czym. Swoją drogą ten kierowca to poeta. Nie mógł ci dać rachunku do ręki? – Pochyliłam się nad workiem i rozwiązałam czerwony

sznurek. – Jest! – Rozerwałam niebieską kopertę.

Kredowy papier wydawał mi się zbyt elegancki jak na rachunek z hurtowni. Wyjęłam kartonik, na którym narysowana była mała łódeczka.

Ivanka wyrwała mnie z zadumy.

– Ile chcą?

– Nie... nie wiem... nic z tego nie rozumiem... –  
Podałam jej kartkę.

– Oj poczekaj, a patrzyłaś na druhe stronie, co je pisano?

„Pani Magdo, zapraszam na kolację w Sant Elm. Odbiorę Panią o siódmej”.

Odwróciłam się na pięcie i bez słowa pobiegłam do auta. Ivanka krzyczała coś za mną po czesku, ale ja doznawałam właśnie gwałtownych wyładowań na synapsach. I musiałam się przebrać. Myśli kotłowały mi się w głowie szybciej niż mój rozpędzony na maksa diesel. Więc on tu jest! Przejechał taki kawał drogi, Boże, moje paznokcie, lakier mi odłazi... i co, mamy się tłuc szosą do Sant Elm? To przecież same zakręty i przepaście. Przecież ja go w ogóle nie znam, może to jakiś psychol. Nie ma przystojnych, normalnych i wolnych! Pewnie ma żonę. Drugi Martin... Będę czujna, nie dam się nabrać! O wszystko wypytam, o narzeczoną też. Głowę muszę umyć, strąki po tej nocy, że szlag by to. W co ja się ubiorę? Gdzie jest ta nowa sukienka? A jakie buty? Szpilki będą zbyt pretensjonalne. Sandały? Mam tylko godzinę! Mało!

\* \* \*

Potężny samochód zajechał pod dom. Właściwie półciągarówka, pasuje do niego. Importer oliwy... no cóż, matka chyba nie będzie zachwycona. Oby miał jakiś tytuł. Chociażby magister. Chyba po raz setny przejrzałam się w

lustrze, jeszcze raz przypudrowałam nos i skropiłam się perfumami. Może za dużo? Zauważy... Z makijażem też przesadziłam. Starłam ręką róz z policzków.

Wyszłam z bramy, a serce waliło mi jak wiertarka udarowa.

Stał oparty o samochód. W wieczornym słońcu wyglądał jeszcze lepiej niż wtedy, w nocy. Był ubrany w ciemne dżinsy i białą koszulę. Podwinięte rękawy odsłaniały mocne, opalone przedramiona. Na gołych stopach zamszowe mokasyny. Włosy, które wtedy wydały mi się kruczoczarne, w dziennym świetle okazały się jaśniejsze, gdzieniegdzie przetykane srebrnymi nitkami. Oczy przysłaniały klasyczne ray-bany, ale gdy do niego podeszłam, zdjął je na powitanie. I znowu to turkusowe spojrzenie! Boże, to jak topór Kupidyna. Padłam na miejscu.

– Nareszcie! – powiedział jakby do siebie.

– Chyba jestem dość punktualnie. – Spojrzałam na zegarek. – Dziękuję za mak. Jedziemy?

– Śpieszy się pani?

Właściwie gdzie ja się śpieszyłam? Ciągłe się gdzieś śpieszyłam: po Michasia do szkoły, do pracy, po zakupy, nawet na spacer. Gdzie ja tak pędzę i po co? Cały czas bez tchu. A przecież prawdziwa dama NIGDY się nie śpieszy. Matka wyczytała tę mądrość w książce jakiejś arystokratki. Wyjątkowo się zgodzę. Muszę wyluzować. Powinnam.

– Niech pan zwolni! Mamy cały czas tego świata, prawda? – zacytowałam Louisa Armstronga, gdy jechaliśmy szosą wzdłuż wybrzeża, ale zaraz pożałowałam. Jak się będziemy tak wlec, to przez niebezpieczny, kręty odcinek nie przejedziemy przed zmierzchem.

Lecz w Andratx nie pojechał dalej prosto, tylko skręcił w stronę portu.

– Nie wiedziałam, że tędy też można dojechać do Sant

Elm. Musi pan wspaniale znać tę okolicę!

– Czy ja wiem? Mam tu w porcie taką małą łajbę...

– Ma pan tu jacht?

– To raczej stara żaglówka.

Łódź, pewnie rzeczywiście nie najmłodsza, przynajmniej wnioskując z jej drewnianego wykończenia, była spora i miała urok dyskretnej elegancji, klasę dobrego rzemiosła. Szlachetnie spatynowane drewno, mosiężne okucia, żagle w starym stylu. Spodobała mi się.

– Ładna! Nie znam się na żaglówkach, ale widać, że jest wyjątkowa.

– Dziękuję! Była zrobiona na zamówienie z Plymouth w 1957 roku. Ma tyle lat co ja!

– Czterdzieści pięć? – Wyglądał na znacznie mniej. – To dlatego pan ją kupił?

– Nie. – Uśmiechnął się. – Odziedziczyłem po ojcu, zamówił ją, kiedy się urodziłem.

– W Polsce?

– Nie, w Anglii.

– Aha – bąknęłam, nic z tego nie rozumiejąc.

\* \* \*

Marek zniknął w kokpicie, a po chwili wynurzył się z wielką tacą.

– Przygotowałem coś małego... Przywiozłem dziś rano. Nie patrz tak na mnie, ja nie jechałem z tym makiem przez trzy dni, przyleciałem dziś z Warszawy. Możemy sobie mówić po imieniu? – Uśmiechnął się. – Jesteśmy teraz jedną załogą!

Na tacy poukładane były kabanosy, małosolne ogórki, oscypki, razowy chleb. Przypomniała mi się matka wioząca w termosie karpia. Zaczęłam się śmiać.

– Ostatnio trochę zajmuję się slow foodem. Nie musisz

jeść, wziąłem na wszelki wypadek, może wylądujemy na bezludnej wyspie – tłumaczył się.

Zanim wylądujemy na bezludnej wyspie, co pewnie było jakąś metaforą łóżka, bo niby czego, musiałam wyjaśnić palące kwestie. Ostatnia okazja!

– Jesteś singlem – zapytałam i poczułam, jak się czerwienię, bo nie znosiłam takich pytań – czy zostawiłeś w Polsce żonę z trójką dzieci?

– Dlaczego akurat z trójką? Nie, nie mam dzieci.

– Aa... – Nie mogłam wydusić zgrabnego pytania. – Czyli nie masz dzieci... a ja mam, jedno.

– Wiem, twoja współpracowniczka wystawiła ci piękną laurkę.

O Boże święty!!! Nie mogłam się skupić na dalszej konwersacji, bo robiłam w głowie listę kompromitujących mnie faktów, o których Ivanka mogła mu powiedzieć. Krótka ta lista nie była. Nerwowo zagryzałam francuskiego szampana góralskim oscypkiem, sporadycznie wydając z siebie jakąś monosylabę zachwytu. Było naprawdę pięknie. Zachodzące w morzu słońce, piękna łódź, piękny mężczyzna i ja. W takiej sytuacji pytanie o narzeczoną nie mogło mi przejść przez gardło.

Gdy wpłynęliśmy do małej zatoczki, piękny mężczyzna zapytał:

– Chcesz płynąć do miasteczka? To już prawie Sant Elm, widzisz, to ta góra. Czy wolisz ognisko na plaży?

– A nie możemy zostać na łodzi? Jest tak przyjemnie.

– Dobrze, pokażę ci Sant Elm kiedy indziej. Kupiłem tam dom kilka lat temu. Właściwie to ruina, ma ponad sto lat, nie mogę się jakoś zebrać do remontu. A teraz kładź się i patrz w niebo! – Rzucił mi kaszmirowy pled. – Przepytam cię z gwiazd.

– Nie znam się na gwiazdach! Gdybym się znała, nie błędziłabym tak.

– Hm?

– Dryfuję po tej Majorce, a raczej po jej mieliznach, piekę torty, zamiast pracować w swoim zawodzie. W Wiedniu miałam firmę, projektowałam sklepy, biura...

– Myślałam, że jesteś malarką!

– No, chociaż tyle! – Roześmiałam się.

Położyłam się na miękkich poduszkach, szampan szumiał mi w głowie.

Marek pochylił się nade mną i pocałował w usta. O narzeczoną zapytam jutro.

\* \* \*

Gdy zaczęło świtać, dopadł mnie syndrom spanikowanego Kopciuszka. Ostrożnie, żeby nie obudzić Marka, sięgnęłam po puderniczkę.

– Zostaw! I tak jesteś piękna! *Czasami wstaję o świcie i nawet moja dusza jest wilgotna.*

*Szumi, ciągle szumi morze dalekie.*

*To jest właśnie port.*<sup>[14]</sup>

– Neruda! Znasz? – zdziwiłam się. – To mój ulubiony poeta!

– Dla niego nauczyłem się hiszpańskiego... Wiesz, co było dalej?

– *...tu cię Kocham?*

– *Tu cię Kocham i nadmiernie zasłania cię horyzont.*<sup>[15]</sup>

Łódź pomału zbliżała się do portu. O tej porze zatoka była senna, czasami mijały nas tylko rybackie kutry. Piłam gorącą kawę otulona pledem.

– Często tu przyjeżdżasz?

– Tak, ciągle tu wracam... już tyle lat, to w pewnym sensie rodzinne strony...

– Masz tu rodzinę? – No tak. Pewnie ma zaparkowaną żonę.

– Nie, moja matka tu umarła... właściwie tragicznie

zginęła.

– To straszne! Kiedy to się stało?

– Miałem dziesięć lat. Pojechała z ojcem na wakacje, wypadła z łodzi, nigdy jej nie znaleźli. Nie bój się, nie z tej łodzi, z jakiejś wycieczkowej. Ojciec wtedy wrócił sam do Anglii.

– Musiałeś to bardzo przeżyć.

– Prawdę mówiąc, niewiele pamiętam, byłem w szkole z internatem pod Edynburgiem. Ojciec nie okazywał wiele emocji. Któregoś dnia przyjechał do mnie do szkoły, by mi o tym powiedzieć. Zresztą umarł kilka lat później, a wtedy przyrodni brat matki zabrał mnie do Polski. Kiedy otwarcie Amapolki?

– W przyszły czwartek o piątej, zapraszamy wszystkich na tort i cup of tea. Przyjdiesz? Jeśli oczywiście będziesz na Majorce. Jutro próba generalna. No właśnie, to co z pieniędzmi za mak? – przypomniałam sobie.

– Jak to co?

– Muszę zapłacić!

– Najpierw wpadnę na otwarcie, spróbować, co z tego maku wyszło.

– Nie wracasz do Polski?

– Nie. Chcę zobaczyć, jak sobie poradziłaś. Zrobię sobie krótkie wakacje.

Krótkie wakacje... Bez żony czy od żony? Gdy podjeżdżaliśmy pod mój dom, było już zupełnie jasno.

– Wejdiesz na kawę?

– A jak już nie wyjdę?

– To zostaniesz...

[14] tłum. Jan Zych

[15] tłum. Jan Zych



## WIELKIE OTWARCIE

I został. Na razie na śniadanie, które zjedliśmy w pośpiechu. Nie było czasu na poezję i czułe słówka. Ale na sakramentalne pytanie starczyło. Głaz spadł mi z serca. Singiel! Rozwiedziony.

Ivanka nawet się nie zdziwiła, gdy pojawiliśmy się razem w jej kuchni. Myślała, że Marek przyjechał po pieniądze.

– Będę wam dzisiaj pomagał i chętnie mak skręcę. – Pokazał na swoje muskuły. – Chyba dam radę?

– Oj, dasz – uśmiechnęła się – szczególnie że trzeba tylko nacisnąć guzik w maszynie. Te wory mógłbyś poprzemnieść. Czemu tak dużo tego maku?

– Przyda wam się! Jestem hurtownikiem, w detal się nie bawię!

Gdy Marek upychał worki w spiżarni, Ivanka rzuciła się na mnie z zestawem kluczowych pytań.

– Nie, nic nie było! Na pierwszej randce? Nie, nie ma żony. Miał, ale się rozwiódł. Pojechała na stypendium do Stanów i zakochała się w jakimś lektorze na Harvardzie – odpowiedziałam jednym tchem.

– W czernym? – spytała nie wiadomo czemu.

– Nie wiem, chyba nie. Już są po ślubie.

– No to jsem rada! – zawołała wyraźnie ucieszona. – Oblejmy to! – Już biegła po kieliszki.

Pracowaliśmy razem do popołudnia. Mdlilo mnie od ciągłego próbowania ciasta, kremu, polewy. A także od migdałowej nalewki, wypitej z Ivanką po kryjomu, więc duszkiem. Oprócz tortu piekłyśmy czeskie buchty. Chciałyśmy, żeby nasze specjały były makowe albo choć trochę słowiańskie. Nie było to wcale proste, bo tak naprawdę sernik był niemieckim Käsekuchen, szarlotka ubogą kuzynką Apfelstrudel, nawet faworki to

Schmalzgebäck.

– Nie ma nic, co by było prawdziwie polskie. – Wertowałam internet. – Strucla makowa też jest niemiecka...

– Zróbcie śliżyki z podsytą – wtrącił nagle Marek.

– Co? – Zbaraniałam. – A co to jest? Brzmi dość okropnie.

– Takie ciasteczka. Macza się je w makowym kremie, jak w czekoladzie... Jadałem to jako dziecko.

– Nigdy o tym nie słyszałam. A ty skąd jesteś? Ze Śląska?

– Nie, rodzina matki była z Wilna. Tam się jadało podsytę, a kutię we Lwowie.

– I ta podsytą to makowy krem? – zapytała Ivanka. – Divne, nawet cesky je to divne!

\* \* \*

Siedzieliśmy we trójkę na tarasie portowej restauracji Flanigan. Słusznie uważana za jedną z lepszych na Majorce, przyciągała miejscową socjetę i bogatych turystów. Na wyłożonych tekowym drewnem ścianach wisiały zdjęcia gości. Król Juan Carlos, jego rodzina, trzech tenorów, Belmondo, gwiazdy i celebryci z całego świata. Jedzenie było przednie, ambiente wysmakowane, ale największą zaletą Flanigana był wart milion dolarów widok na elegancki portowy deptak, luksusowe jachty, palmy, morze, błękitne niebo i zalane słońcem patio. W południe wpadali tu zwykle empresarios, miejscowi przedsiębiorcy, na biznesowy lunch, a później, koło trzeciej, właściciele ogromnych, zaparkowanych w porcie łodzi. Mekka pięknych i bogatych, a raczej pięknych albo bogatych.

Ivanka była zachwycona. Siedziała wystrojona, twarzą do sali, tyłem do widoku, i co chwila przeciągała usta

błyszczkiem. Jej opalony, zdecydowanie za głęboki dekolt falował w rytm przyśpieszonego oddechu. Podniesione gorsetem piersi wyglądały jak rozłożysty balkon, na którym spoczywała płatanina złotych łańcuszków, serduszek i krzyżyków. Zastanawiałam się, czy Ivanka widzi znad nich swój talerz.

Zamówiliśmy paellę de marisco. Pachniała pysznie, ale prawie jej nie tknęliśmy. Ivanka czujnie rozglądała się po sali, wykręcając szyję za każdym lepiej wyglądającym mężczyzną. Marek opowiadał, jak wychowywał się u wuja w Poznaniu, skończył tam liceum, a potem studiował ekonomię w Warszawie.

– Ale skończyłem stosunki międzynarodowe – dodał.

– Na pewno ci się bardzo przydało w pertraktacjach z hiszpańskimi chłopami. Nie żal ci studiów? – zapytałam.

– Stosunki międzynarodowe nie są moją pasją...

– Czyżby? – zachichotała Ivanka.

Uśmiechnął się i puścił do mnie oko.

– I tak wozisz oliwę z dwoma dyplomami?

– Kierowcy jeżdżą, ja się tylko obijam, widzisz przecież... same przyjemności, dobre jedzenie, piękne kobiety.

– Dziękuję! Bardzo jesteś miły. – Ivanka wyprostowała się na krześle i dumnie rozejrzała po sali. Nagle aż podskoczyła.

– Popatrz, to princ, vidite, siedzi tam u stołu!

– Kto? – nie zrozumiałam.

– No, princ Majorki!

– To zięć króla, a nie żaden princ – powiedziałam.

Ivanka robiła, co mogła, by zwrócić na siebie uwagę. Prężyła się, wierciła na krześle, bawiła włosami, głośno śmiała, ani na chwilę nie odrywając wzroku od księcia.

Odwróciłam się dyskretnie, by zobaczyć obiekt jej adoracji. Książę siedział przy stole z Paco Bandalem! W tej

samej sekundzie nasze spojrzenia się skrzyżowały i Paco już pędził w moją stronę.

– DaRRRling, ciągle na MajoRRRce? VeRRy good, VeRRy good!

Patrzyłam zmieszana.

– Robię w sobotę paRRty dla mojego dear fRRRIEND and la Infanta. Musisz być! Potrzebuję pięknej paRRtneRRki.

Marek chrząknął. Paco natychmiast stanął na wysokości zadania mimo swoich skromnych stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów na ukrytych obcasach.

– Pana też zapRRaszam, siRRR. – Poklepał go małą rączką po ramieniu. – A ty, daRRRling – zwrócił się do Ivanki – jesteś wolna? Przyjdziesz?

Ivanka promieniała, bo właśnie usłyszała najpiękniejsze słowa w swoim życiu. Zakreśliła zalotnie jasny lok na palec i zupełnie nie swoim głosem wyszeptała, trzepocząc grubo umalowanymi rzęsami:

– Ja... ja zawsze chętnie...

Nie wątpię – pomyślałam.

– I przyniosę ci moje baardzo, baaardzo słodkie – Ivanka powolnym, wystudiowanym ruchem oblizała usta – ciasto!

Paco stał jak zaczarowany i dopiero torujący sobie drogę między ciasno ustawionymi stolikami kelner wytrącił go z hormonalnego transu. Już nie był zainteresowany moim towarzystwem. Pożądał Ivanki. Natychmiast.

Gdy przy deserze wstała do „powder room”, oczywiście by przedefilować przed nosem Bandala, Marek powiedział:

– Dobrze, że taka nie jesteś. Bardzo ją lubię, ale chyba niezbyt do siebie pasujecie.

– To skoncentruj się na tym, że ją lubisz! Radzę ci!

– Przepraszam! Coś czuję, że właśnie straciłem szansę na dach nad głową. Miałem nadzieję, że przygarniesz mnie

na parę dni.

– Niemoralna propozycja? Nie rozumiem...

– *Naprawdę, o Niedobra,*

*jaka noc długa, jaka ziemia samotna!*

*Znów znalazłem się w hotelu o jednoosobowych pokojach,*

*jadam po restauracjach zimne obiady...<sup>[16]</sup>*

– Nic z tego, nie poderwiesz mnie na Nerudę!

– Masz gościnny pokój, wynajmij mi go! Zapłacę. Jestem niekłopotliwy. Gdybym był mordercą, załatwiłbym sprawę w nocy na łodzi. Nie udusiłem cię i nie molestowałem, choć tego ostatniego może powinnaś żałować. Nie cierpię hoteli. Paszport zdeponuję u Ivanki, więc w razie czego wyda mnie policji – wyrecytowałem jednym tchem.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– To daj mi ten paszport! – zdecydowała za mnie Ivanka, która właśnie, dziwnie rozpalona, wróciła do stolika.

\* \* \*

Nie wiem, jak minęły ostatnie dni przed otwarciem Amapoli. Byłam zbyt zabiegana, by zastanawiać się nad faktem, że w pokoju gościnnym mieszka samotny dorosły samiec. I to bardzo męski egzemplarz. Kiedyś podejrzałam z okna sypialni, jak mój sublokator uprawia o świcie jogę. Stał na głowie, a ja patrzyłam z góry na jego umięśnione nogi. W Michasiowej łazience natknęłam się na maszynkę do golenia i męskie kosmetyki, zupełnie tu obce, a pierwsze bokserki, które znalazłam w koszu z brudną bielizną, wprowadziły mnie w konsternację. Pogięło go? Gacie mam mu prac?

Nie dawałam mu okazji, by sam został w domu,

zaglądał do moich rzeczy, otwierał szuflady, wchodził w moją prywatność. W końcu był tylko... letnikiem? Ale on o tym nie myślał, chodził za mną jak cień, zgadywał pragnienia, spełniał zachcianki, przynosił kwiaty, krótko mówiąc, był zawsze do usług. Nie miałam czasu, by myśleć, że jest coś nienormalnego w tym, że spędzam całe dni z obcym człowiekiem, że dzielę z nim dom, moje rozterki, wątpliwości i strach, że się nie uda.

Znosił to wszystko, i mnie, rozdrażnioną, nerwową, czasem złą, cierpliwie, z dojrzałą wyrozumiałością i ciepłem. W ciągu tych pięciu dni stał się częścią mojego życia, zanim zdażyłam to zauważyć. I nie było mi z tym źle. Krótko mówiąc – zadurzyłam się w tym moim letniku, chyba z wzajemnością i na pewno platonicznie.

Altos poczuł się odsunięty i nie omieszkał mi tego powiedzieć, gdy w końcu znalazłam chwilę, by odebrać telefon. Broniałam się, że to brak czasu, stres, praca, kawiarnia.

– Dlaczego kłamiesz, Prinzessin? – Nie chciał słuchać wymówek. – Twoje serce jest już gdzie indziej, zabrałaś je...

– Altosiu, moje serce jest tam, gdzie zawsze, i nie zamierzam go donikąd zabierać!

– Ja wszystko wiem! ON u ciebie mieszka! Poddałaś się!

– Proszę cię, nie świruj! Jutro otwarcie, a potem wszystko wróci do normy. Czekam na ciebie. Będziesz moim najspecialniejszym gościem! Przyjdiesz?

– Przyjdę wieczorem, jak wyjdą mały – obiecał.

\* \* \*

Piętnasty sierpnia, najważniejsze święto, Asunción de María, Dzień Wniebowzięcia. Owszem, modliłam się o wzięcie, ba, nawet o duże, bardzo duże wzięcie dla naszej

kawiarni. Bo data według mnie nie była najlepsza – upał, wszyscy na wakacjach „w Europie”, szkoły zamknięte, więc choć rozesłałyśmy ponad sto zaproszeń, mogłyśmy liczyć tylko na przypadkowych turystów i klientów aquaparku. Ivanka była innego zdania.

– Tylko teraz, póki są wakacje! To najlepszy czas! Przecież turystów jest pięć razy tyle co mieszkańców. A poza tym muszę spłacić dom! Nie ma na co czekać.

Może i racja.

Otwarcie Amapoli zaplanowałyśmy na czwartą po południu, z punktem kulminacyjnym o piątej. Chciałam dobrze wyglądać, więc wzięłam przed śniadaniem długą kąpiel, z maseczką na włosach i aloesem na twarzy. Było gorąco, narzuciłam tylko batystową koszulkę i koło południa zesłam na taras.

Marek czekał na mnie jak co dzień.

– ¡Buenas días! Dzisiaj jest twój dzień!

– Oby! Strasznie się denerwuję!

– Ale pięknie wyglądasz. Chyba codziennie powinnaś otwierać jakiś biznes.

– Dzięki za śniadanie, ale nie wiem, czy coś przełknę. – Nerwy ścisnęły mi żołądek jak gorset Madonny.

Wyjął spod stołu butelkę szampana, który chłodził się w kubełku z lodem.

– Za Amapolę! – Napełnił kieliszki. – I za ciebie, Magda, jesteś bardzo dzielna!

– Dziękuję! Nie wiem, jak bym sobie dała radę bez ciebie.

– Nie będę ci już potrzebny. Jutro znikam, tak jak się umawialiśmy – powiedział całkiem poważnie.

– Chyba żartujesz?

– Ubieraj się! Podrzucę cię do Ivanki. Powinnaś być tam wcześniej.

– I nie zostaniesz z nami?

– A chcesz, żebym został?

Co za pytanie? Pewnie, że chcę! Niewiele pomoże, ale przynajmniej się nim pochwałę. Nie ma takich mężczyzn na Majorce, to mój rodzynek w makowym cieście.

\* \* \*

Ivanka wystroiła się na otwarcie jak stróż w Boże Ciało, a może raczej jak burdelmama na przyjazd autobusu Arabów. Byłam przerażona.

– Przecież ty nic nie widzisz spod tych rzęs!

– Ale piękne są, powiedz! – Zatrzepotała czarnymi skrzydłami, które przykleiła sobie do powiek

– To nie kabaret! Błagam cię! I włóż jakąś dłuższą sukienkę!

Naburmuszona poszła do łazienki.

Za kwadrans czwarta otworzyłyśmy drzwi do Amapoli. Na parkanie wisiał wielki napis: „Café Amapola – Wielkie Otwarcie”.

Stałyśmy na progu jak wojenne wdowy wciąż czekające na powrót mężów z frontu, ale nikt nie przychodził. Na ulicy żywej duszy, tylko z niedalekiego aquaparku słyszeć było jak zwykle krzyki rozbawionych dzieci.

– Na którą umówiłaś reportera?

– Całe szczęście na piątą! Mamy jeszcze godzinę.

Kwadrans po czwartej podjechał pod bramę czarny samochód. Kierowca wysiadł i wyjął z bagażnika kosz kwiatów. Serce zabiło mi mocniej, zresztą Ivance też.

– Señorita Magdalena? – spytał. – Mam kwiaty dla pani.

Wzięłam od niego trochę zbyt pretensjonalny, ciężki bukiet i spojrzałam na doczepiony bilecik: „Good luck! Pozdrowienia od pierwszej klientki! Louise”.

– ¡Gracias! Proszę podziękować pani Reeve.



Ivanka miała zawiedzioną minę.

O czwartej dwadzieścia przyszli pierwsi goście – trzy niezgrabne wczasowiczki, prosto z plaży, w okropnych sukienkach na spalonych ramionach. Już przy furtce wolały się upewnić, czy dobrze trafiły:

– Kawa i ciasto dzisiaj gratis, prawda?

Zaraz potem przyjechał Zdenko z kolegami. Nigdy wcześniej nie ucieszyłam się tak na jego widok. Dzięki temu już dwa stoliki były zajęte. Ivanka częstowała tortem i kawą, a ja wypatrywałam kolejnych gości. Zaczynałam żałować tego otwarcia w środku lata, w takie upały nikt najwidoczniej nie myślał o jedzeniu ciężkich tortów. Za dwadzieścia minut reporter sfotografuje pusty lokal.

– Zdenko, błagam cię, weź to i leć na parking. – Wcisnęłam mu plik fioletowych ulotek. – Rozdaj jak najszybciej przed aquaparkiem. Musimy mieć tu ludzi, rozumiesz!

Gdy wyszli, kawiarnia znowu opustoszała.

Marek przyglądał się nam z rozbawieniem. Po co tu w ogóle przyszedł?

Ivanka likierem pomarańczowym koła nerwy na zapleczu.

– Tego nie poczują, będę pachnieć jak oranżadka – tłumaczyła.

Koło piątej pojawiło się kilka matek z dziećmi, które Zdenko zwerbował na parkingu. Szarańcza w mokrych kąpielówkach od razu opanowała ogród i obsiadła naszą pieczołowicie odrestaurowaną huśtawkę. Byłam bliska łez.

– Proszę cię, zrób coś! – zaskomlałam bez sensu. – Niech tu przyjdą jacyś ludzie!

– Szkoda, że nie pomyślałyście o tym wcześniej. – Marek wydawał się niewzruszony. – Ile tych gości potrzebujesz?

– Nie wiem. Autobus?

Reporter, na szczęście spóźniony, nieco bezradnie rozglądał się wokół.

– Mam już fotografować, czy ktoś jeszcze będzie?

– Może najpierw same torty – zaciągnęłam go do środka – a gości później.

Gdy pokazywałam mu witrynę, na tarasie coś się wydarzyło.

Ludzie wstawali od stołów i wyglądali na ulicę. Spojrzałam przez okno – pod domem zaparkowała policja na niebieskim sygnale. Pewnie wypadek! Tego nam tu jeszcze dziś brakowało! Rozejrzałam się, Marka nigdzie nie było.

– *Joder!*<sup>[17]</sup> To samochód infantki! – wrzasnął reporter i rzucił się na ulicę.

Wybiegłam za nim. Eskortowana przez dwa policyjne auta czarna limuzyna miała ciemne szyby i zatknięte na masce hiszpańskie flagi. Coś dla Michasia. Szkoda, że go tu nie ma! Otworzyły się tylne drzwi i z samochodu wysiadł... Paco Bandal. Reporter błyskał fleszem, aż Paco przysłonił oczy ręką, szepnął mu coś do ucha i wbiegł przez taras do środka, mijając wpatrzonych w niego klientów. Pobiełam za nim, ale on już był kuchni. Ivanka dopijała właśnie kolejny kieliszek. Była wyraźnie wstawiona.

– Pacolku, a myślała jsem, że jste nepriszel! – zawołała do niego nie wiedząc czemu po czesku.

– EveRRything allRRRight!

– O, thank you, thank you – Ivanka rzuciła mu się na szyję – zrobiłeś to kochany, naprawdę zrobiłeś!

– SuRRre, dla ciebie seRRduszko zRRobię wszystko. Ale teRRaz muszę lecieć, infantka czeka na samochód. Dostałem tylko na kwadrans. Beso! – Pocałował ją i wybiegł z kuchni.

Ivanka odprowadziła go maślanym wzrokiem i głęboko westchnęła.

– Co to było? Po co on tu wpadł? Skąd wy się w ogóle znacie? – Miałam wrażenie, że byłam widzem slapstickowej komedii.

– Z Flanigana! Zapomniałaś?

– Przecież tam nawet ze sobą nie rozmawialiście!

– A w powder roomu kto był? – Uśmiechnęła się szelmowsko.

Nie chciałam się nawet domyślać, co się wydarzyło w powder roomie, i zupełnie nie rozumiałam akcji z pożyczonym od infantki samochodem. Otwarcie i tak jak na razie było klapą.

Wyszłam przed dom. Za limuzyną stał autokar na światłach awaryjnych, a grupa emerytów robiła sobie zdjęcia na tle królewskiego auta. Policja próbowała ich przepędzić.

– Da ist der König!<sup>[18]</sup> – krzyczeli.

Przerażony Marek starał się zapanować nad sytuacją.

– Proszę już wchodzić! Proszę do środka! – Zaganiał niemieckie staruszki do kawiarni.

– Marek, co tu się dzieje? Co to za ludzie? – wydarłam się.

– Trochę wymknęło się spod kontroli... przepraszam. Chciałaś autobus, to masz!

– Porwałś ich?

– Nie, dałem kierowcy pod hotelem parę groszy, by ich tu wysadził. Ale nie mówiłaś, że będzie król!

Potrzebowałam drinka. Natychmiast.

Zamknęłyśmy o ósmej. Autokar emerytów pożarł wszystkie wypieki. Co do okruszka. A ja dopijałam właśnie likier prosto z butelki. Co do kropelki.

– Oblewamy sukces? – spytał Marek.

– Wątpię – burknęłam. – Nie było najlepiej. Emerycy raczej do nas nie wrócą, a ten cały cyrk z limuzyną...

– Ja jsem rada – powiedziała Ivanka – a Magdę to

chyba musisz inaczej pocieszyć!

– Uwielbiam cię, daRRRling! – Marek posłał jej całusa.

Odpowiedziała szerokim uśmiechem.

– Kochani moi, musim letiet. Jestem umówiona.

– Tylko nie mów, że będziesz testować materac foRR cosmonauts – rzuciłam.

– Ano! – Uśmiechnęła się i pobiegła do łazienki.

\* \* \*

Wróciliśmy do domu. Przyzwyczaiałam się, że Marek wszędzie mnie podwoził, od tygodnia nie używałam samochodu. Stał na podwórku, zakurzony pustynnym piaskiem, który sirocco przywiał z Afryki.

– Miło mieć kierowcę – powiedziałam szybciej, niż pomyślałam.

– Dziękuję!

– Przepraszam, nie to chciałam powiedzieć. Bardzo mi pomogłeś! I szkoda, że już wyjeżdżasz.

– Zdałem egzamin na asystenta?

– Celująco!

Weszliśmy do domu. Otworzyłam szeroko drzwi na taras i ciepłe, pachnące powietrze wypełniło salon.

– Jest piękny wieczór, a ja na nic nie mam siły. Trochę szkoda... Masz jakiś pomysł? Zadzwoń tylko do Michasia, a ty coś przez ten czas wymyśl. Tylko żadne wideo, bo nie znoszę, żadna kolacja, bo mdli mnie od tortu, i żaden alkohol, bo wątroba mi wysiadła.

– Możemy tu leżeć i patrzeć w niebo. Nauczę cię gwiazd.

– Taak... Wielka Makówka, Mały Tort, Droga Maślana... Ja nic innego dziś nie zobaczę, odpada. Może mi coś opowiesz o sobie, niewiele o tobie wiem.

– Chcesz umrzeć z nudów? To, że jestem wolny,

ustalałaś przez ostatni tydzień chyba ze sto razy. Mój życiorys musisz znać na pamięć... Nie wolisz wspólnej kąpieli w płatkach róż?

A myślałam, że dość dyskretnie drażylałam temat jego emocjonalnej dostępności. Zaczerwieniłam się. Najwyraźniej.

– Nie przejmuj się tak! To był żart z tą kąpielą! – Objął mnie.

– Nie znam się na żartach – skłamałam.

– Więc teraz będzie całkiem serio. Zakochałem się w tobie.

[16] tłum. Zofia Szleyen

[17] (hiszp.) – O kurwa!

[18] (niem.) – Tam jest król!

## DZIEŃ MÓJ POWSZEDNI

Ledwo zasnąłam, a już ktoś zadzwonił do drzwi. Otworzyłam oczy. W sypialni panował półmrok, zamknięte okiennice nie wpuszczały porannego słońca. Marek jeszcze spał. Dzwonek wciąż brzęczał, coraz intensywniej, ktoś bardzo się niecierpliwił. To ma być pierwszy wspólny poranek? Szlag by trafił tego debila! Zawinęłam się w ręcznik i zbiegłam na dół. Przed furtką stała Ivanka.

– No w końcu! Ja już chyba pul hodiny tu dzwonie! Czytałaś „Diario de Mallorca”? – Tryskała entuzjazmem.

– Obudziłaś mnie!

– Patrz! – Wcisnęła mi do ręki gazetę.

Usiadłyśmy w kuchni.

– Miałam ciężką noc. A twój Marek to gdzie się podziewa? Wyprowadził się?

– Śpi... w moim łóżku. Też miałam miłą noc. – Podałam jej kubek z kawą. – Zostaje jeszcze kilka dni. Chcesz wczorajszego croissanta?

– Magda, jak ja se raduji! – Objęła mnie. – Bałam się, że nigdy nie zauważysz, jak on za tobą szaleje.

Otworzyłam gazetę. Na trzeciej stronie zobaczyłam zdjęcie czarnej limuzyny.

– No, czytaj pod zdjęciem! Lepiej nie można było wymyślić! To je muj Pacek!

– „Dworski posłaniec zamówił dla infantki tort w nowo otwartej Café Amapola w Costa en Blanes”. Ivanka!!! To oszustwo!

– Jakie oszustwo? Jutro idę na party z dortem, svata pravda!

– I musiałaś mu za to... musiałaś się z nim przespać, tak?

– Przespałam to ja się z nim przedtem, a potem razem to umyśliliśmy, na jego materacu. Takiego kochanka to w

Czeske republice nenajdete! Ani w Manchesterze! – Promieniała. – A ty jak? Jaki ten Marek?

– Też całkiem hiszpański! – Uśmiechnęłam się.

– Opowiesz mi potem vszechno!

– Przyjadę na dwunastą, a teraz wracam do mojego kochanka. Zamknęłam za Ivanką drzwi i wślizgnęłam się do ciepłego łóżka.

Marek już nie spał.

– To znowu ty, kochanie? – udawał przerażenie. – Rzuciłaś się na mnie wczoraj jak po stuletnim poście...

– Nie bój się! Jeszcze tylko mały deser...

– Teraz to ja cię zjem! Połknę cię w całości! – Oblizwał się i zanurkował pod kołdrę.

\* \* \*

Mimo upału nie mogliśmy narzekać na brak gości. Uknuta na kosmicznym materacu intryga okazała się skuteczną dźwignią naszego tortowego handlu. Stałam za ladą i obsługiwałam niekończącą się kolejkę.

– To właśnie taki zamówił posłaniec? – pytały zniecierpliwione klientki, stukając paznokciami w ladę, a ja pakowałam tort za tortem w fioletowe kartony i przewiązywałam bladożółtą wstążeczką.

Tortów szybko ubywało. Widziałam przez uchylone drzwi, jak Ivanka uwija się w kuchni. Pomagały jej dziewczyny, które przyjęłyśmy w zeszłym tygodniu do pracy – Juanita, smagła Hiszpanka, i Kasia, studentka z Wałbrzycha, która dorabiała sobie w czasie wakacji. Uczyły się mleć mak, doprawiać masę, smarować torty. Nasza mała firma wyglądała dziś bardzo poważnie.

– Jeśli wezmą jeszcze kilka na wynos, to będziemy musiały zaraz zamknąć. Nie możemy sprzedawać tortów, które się nie pogryzły v noci! – tłumaczyła Ivanka

zdziwionej Kasi.

Zdenko krążył wokół nich jak sęp. Coś dłubał przy zepsutym kontakcie, śrubokręty wciąż wpadały mu pod stół, wychodził, wracał, sypał marnymi dowcipami. Dziewczyny chichotały, a Ivanka głęboko wzdychała. Wreszcie nie wytrzymała i wygoniła go z kuchni, ale za chwilę wrócił z miną zwycięzcy.

– Macie gościa. Siedzi pod palmą od pół godziny i nikt go nie obsłużył!

Natychmiast pobiegłam do ogrodu. Przy najbardziej oddalonym stoliku, choć wszystkie były wolne, siedział Altos. Był wyraźnie obrażony, głowę zadarł do góry, patrzył w niebo i stukał palcami w blat. Gdy do niego podeszłam, spojrzał na mnie skwaszony.

– No nareszcie! Już myślałem, że tu może samoobsługa... bar mleczny.

– Czemu nie wszedłeś? Byłam za ladą! Tortu? Kawy?

Altosowi zaświeciły się oczy, choć bardzo chciał to ukryć. Natychmiast założył ciemne okulary.

– Ale nie za dużo! Muszę dbać o linię! – Musnął się po płaskim brzuchu.

Przy drugim kawałku tortu ciekawość przebiegu mojego romansu zwyciężyła. Zasypał mnie pytaniami. Opowiedziałam mu, jaka jestem szczęśliwa, jak wszystko gładko się układa i jak bezproblemowy jest Marek.

– Kochasz go? – przerwał niecierpliwie.

– Dopiero się w nim zakochałam. Do kochania to jeszcze długa droga.

– Żebyś się nie zdziwiła, nigdy nie wiadomo, co Moce zrobią z człowiekiem. Kiedy są na niego złe! – dodał z diabelskim uśmieszkiem. – Gdzieś w tym musi być hak, zobaczysz! Zrób mi jeszcze kawy, Prinzessin! I przepraszam za wczoraj! Ale wcale nie żałuję, że nie przyszedłem. Już słyszałem, ile tu było małp!



\* \* \*

Marek czekał z kolacją. Jeździł cały dzień po małych gospodarstwach i kupował lokalne przysmaki, kozie sery, pasztety, sobrasadę, konfitury z pomidorów, oliwki i migdałowe ciasteczka. Nie, nie żeby mnie rozpieścić, ani, co gorsza, utuczyć. Karmił nas służbowo, bo wciąż poszukiwał nowych dostawców majorkańskich specjałów.

– Otworzyłeś sześć butelek wina dla dwóch osób?

– Tak. I wszystkich musimy spróbować. Jutro chcę złożyć zamówienie.

– Wino też może być slow? Myślałam, że slow food to tylko jedzenie?

– To wszystko, co jest prawdziwe, lokalne i robione tradycyjnymi metodami. Autentyczne i niepowtarzalne. Jak ty... O czym tak myślisz?

– A, nic takiego. Altos mnie dziś czymś zirytował. Miał chyba zły dzień. A może po prostu jestem zmęczona.

– Męczysz się, bo to nie twój świat. Jak malowałaś maki na ścianie, miałaś więcej energii. Dlaczego nie malujesz? Marnujesz talent!

– Kiedy mam malować? Widzisz, co się dzieje! Dzień jest za krótki. A muszę z czegoś żyć!

– To się kiedyś zmieni. Jestem tego pewien. – Uśmiechnął się. – A na razie zrobię ci dobrze.

Położyłam stopy na jego kolanach. Uciskał je mocno i powoli. Było mi dobrze, bardzo dobrze. Usnęłam.

## ZEMSTA SŁODKA JAK TORT

Nigdy nie przypuszczałam, że normalność może być tak podniecająca. Broniłam się przed nią przez całe życie, w liceum za pomocą punkowego irokeza, następnie krótkim epizodem w bieszczadzkiej komunie, a potem konsekwentnie unikając biurowych godzin pracy i polis ubezpieczeniowych. Moi partnerzy stanowili kolekcję nieprzewidywalnych indywidualistów, skomplikowanych dziwaków albo emocjonalnych popaprańców i dostarczali mi więcej adrenaliny niż rozpedzona kolejka górską. W nieustającym wirze skrajnych doznań nie mogło być mowy o żadnej rutynie, żadnej stabilizacji. Jedynie Michaś nadawał pewien rytm mojemu życiu, porządkował je jednak bardzo powierzchownie, dzieląc dzień na pory karmienia, spania czy odwożenia do szkoły. Głębiej, pod cienką warstewką pozornego ładu, panował znajomy i pieczołowicie pielęgnowany chaos.

Marek ciągle przedłużał swój pobyt. Zostanę jeszcze dzień, dwa – mówił, aż niepostrzeżenie minęły trzy tygodnie. Nim się zorientowałam, w moje życie wkradła się pewna rutyna, mała stabilizacja. Posiłki o określonych porach, zakupy na zmianę i film na dobranoc. Kto pierwszy do łazienki, kto drugi do pralki. Ja gotuję, ty zmywasz. Ty prasujesz, ja sprzątam. Tu przesadziłam, bo Marek przekonał mnie do outsourcingu tych prac i zatrudnił koleżankę Juanity, niewidzialną rękę, która wprowadziła do domku apteczny porządek i laboratoryjną czystość. Bardzo to było miłe oraz rozwiązało problem prania jego gaci.

Poukładana normalność podobała mi się coraz bardziej, choć czułam, że właśnie oddaję ulubiony bastion emocjonalnej płataniny i spory kawał mojego naturalnego środowiska. Sytuację pogarszał niespotykanie normalny charakter Marka, który nie wysyłał ukradkiem SMS-ów, nie

miał historycznej byłej żony (bo jego eks szczęśliwie oczekiwała właśnie drugiego Mulatka), nie był zazdrosny o Michasia, nie przejawiał żadnych uzależnień, za to chętnie i spontanicznie wziął na siebie finansowy ciężar naszego bieżącego życia.

– Skoro u ciebie mieszkam, to chyba oczywiste – mówił i płacił wszystkie rachunki oraz tankował mój samochód, robił rano śniadanie i czekał wieczorem z kolacją, szedł po zakupy i wnosił śmiecie, a któregoś dnia zaprosił Ivankę i Altosa na rejs wzdłuż zachodniego wybrzeża. Jakiś hak w tym musiał być! Jeszcze mi się nie zdarzył związek bez haka i facet bez drugiego dna.

– Mnie nie oszuka! Po tym rejsie wszystko ci powiem! Przejrzę go na wylot – szepnął Altos, kiedy wchodziliśmy na pokład.

W głębi ducha bardzo na to liczyłam, bo w tym idealnym Marku musiała istnieć jakaś rysa, pewnie tym większa, im gładziej była nieskazitelna powierzchnia, ale powiedziałam tylko:

– Na razie zdejmij buty! Na jachcie chodzi się na bosaka!

Skrzywił się.

– Nie wystarczy, że mam chorobę morską? Poświęcam się dla ciebie!

Ivanka, niepoczyszona, że nie ma z nami jej hiszpańskiego kochanka, ubrana w bardzo symboliczne, różowe bikini, ale za to w pełnym makijażu, opalała się na dziobie. Marek, na szczęście nieczuły na takie natężenie wdzięków, mocno trzymał ster, a Altos, spocony jak mysz w swym czarnym mundurku, nie spuszczał go z oka. Podwinał jedynie nogawki, odsłaniając wydepilowane łydki i pociągnięte blad różowym lakierem paznokcie.

– Co tam masz dobrego, księżniczko? – Pokazał na wielki piknikowy kosz, dobrany specjalnie pod kolor mojego

biało-granatowego kostiumu i kłapek.

– Szampana. Jest lodowaty! Napijesz się?

– Chętnie, ale tylko z truskawkami, kochanie! – odpowiedział jak rasowa kokota. – Ten twój biały kapelusz jest naprawdę genialny! Wyglądasz jak gwiazda filmowa!

Gdy wypłynęliśmy na pełne morze, w Ivance odezwała się dusza pływaczki. Podniosła się ze swego posłania, zdjęła czarne okulary i bez słowa skoczyła w ciemną toń.

– Co ona wyprawia! Tu jest niebezpiecznie! – krzyknął Marek.

Wychyliłam się za burtę, ale Ivanki nie było. Rozglądaliśmy się nerwowo, Marek wyjął lornetkę.

– Może nie ma co przesadzać, ona była w końcu mistrzynią Czechosłowacji w stylu motylkowym – przypomniałam sobie.

– Ale tu są skały i mocne prądy! – Marek naprawdę się martwił.

– Chyba widziałem jej bikini – powiedział po chwili Altos z zawietrznej. – Samo pływało, ale już zniknęło.

– Co? Marek, jej się musiało coś stać! Może tu są rekiny! Ratuj ją! – Słyszałam, jak serce wali mi w piersiach. Bałam się o nią. – Róbmy coś!

– No ja niestety nie wskoczę! – zaznaczył spokojnie Altos, skubiąc idealnie wymanikiurowany paznokieć.

Miotalam się po pokładzie, więc Marek zerwał z siebie koszulę i przymierzył się do skoku.

– Ahoooj! – usłyszeliśmy głos Ivanki. Płynęła jakieś sto metrów za łodzią i machała do nas.

Żyje! Kamień spadł mi z serca.

– Już po ciebie zawracamy! – krzyknęłam co sił.

– Nie! Wszystko w porządku! – odkrzyknęła.

– Czy ona zwariowała? Altos, nalej mi szampana! Albo nie, lepiej wódki! Marek, płynmy po nią!

– Niepotrzebnie tak się denerwujesz, Prinzessin! Co ma

pływać, nie utonie. Moce już o to zadbały – dodał z diabelskim uśmieszkiem.

Co on chrzani? Od rana zachowywał się dziwnie. Usiadłam na dziobie i nie spuszczałam wzroku z Ivanki. Uspokoiliam się dopiero, gdy do niej dopłynęliśmy.

– Machałam, bo zgiął mi stanik, myślałam, że go wyłowiliście – wyjaśniła z czarującym uśmiechem. – Jeszcze sobie trochę ponurkuje.

Altos wywrócił oczami, Marek westchnął, a ja wychyliłam kieliszek.

Wieczorem Altos zadzwonił z raportem.

– Muszę się do czegoś przyznać, Prinzessin. To nie było przypadkowe. Sam namówilem Ivanke, chciałem zbadać jego zachowanie w krytycznej sytuacji. Mówiłaś, że jego matka utonęła, tak?

– Nie wystarczy, że się na niego cały czas gapieś? Jak mogeś?!

– Musiałem sprawdzić tę traumę na Ivance, bo Moce mówią, że on kłamie.

– Kłamie? Odkryłeś coś?

– Nie jestem pewien. Muszę zrobić inne badanie.

– Kretyn!

Trzasnęłam słuchawką.

– Kochanie, kto to dzwonił? Altos? Wiesz, on jednak jest gejem, tak mi się dziś przyglądał, obawiam się, że mu się spodobałem.

\* \* \*

W sobotni poranek w kuchni Ivanki panowała cisza. Otwierałyśmy o jedenastej, jeszcze nikogo nie było, tylko Kasia siedziała przy stole pochylona nad ogromnym tortem i w skupieniu wielką cukierniczą strzykawką rysowała na nim bladofiołkowy wzorek.

– A na co ten wielki tort? – spytałam.

– Jakaś firma cateringowa zamówiła, na wesele chyba... – odpowiedziała. – Z parą z marcepanu i z domkiem.

– Gdzie jest to zamówienie?

Podawała mi faks. Firma Palma Events zamawiała tort na przyjęcie z okazji otwarcia nowego domu, średnica pięćdziesiąt pięć centymetrów, motyw „Para młoda, ale nie w strojach ślubnych”.

– Dziwne życzenie – mruknęłam do siebie.

– Mamy po południu zawieźć, gdzieś do Santa Maria chyba. Adres jest w mailu, bo dosłali później.

Santa Maria? Nowy dom? Nie... to musi być przypadek. Ale ręce i tak mi się trzęsły, gdy otwierałam pocztę w naszym firmowym laptopie.

From: Palma Events.

Subject: Adres dostarczenia.

Klikam. Santa Maria, Cami de Coanegra...

Ja chyba śnię! Martin! A jednak! Chyba nie wie, co robi, idiota! U mnie zamówił tort?

– Ivanka! Czemuś przyjęła to zamówienie? Tort dla Martina! Nie rozumiesz?

– Zdenko zawiezie i już. Nie denerwuj się, skarbie! Co tam Martin – powiedziała spokojnie.

Jak to co? Łajdak, oszust, bigamista! Czy to mało? A teraz będzie świętował otwarcie mojego domu z nią!

Chodziłam po kuchni jak lew po klatce i wściekła patrzyłam, jak Kasia lepi figurki z marcepanu.

– Zrób ją grubszą! – zarządziłam.

Spojrzała zdziwiona.

– Ale to podobno jakaś modelka...

Wiadomo, modelka! Ta cholerna Marie z Paryża!

– To zrób ją strasznie chudą! Anorektyczkę zrób! Nogi z wykałaczek! A on ma być niższy od niej, skoro to modelka!

– Co się pani stało? – Kasia była przerażona.

– Muszę lecieć! Zrób, jak prosiłam!

Z samochodu zadzwoniłam do Zdenka.

– Musisz wypożyczyć fioletowy smoking! I żółtą muchę. Nie, nie żartuję! Na dziś, na teraz! Nie wiem skąd, może z teatru. I buty!! Lakierki, pamiętaj!

Wpadłam do domu. Na szczęście Marka nie było. Nakręciłam włosy na grube hollywoodzkie wałki, zrobiłam dyskretny makijaż, wsunęłam do stanika żelowe wkładki i dołożyłam do nich niemały biust. Razem nie przymierzając Pamela Anderson. Dobrze! Modelka na pewno jest płaska jak decha. Spryskałam się obficie perfumami Amouage, które Martin specjalnie dla mnie przywiózł z Omanu, wbiłam się w obcisłą sukienkę i najwyższe szpilki z mojej szafy. Miałam w nich prawie dwa metry.

Gdy wróciłam do Amapoli, Ivanka spojrzała ze zdziwieniem.

– Magdo, co se ti stało? Idziesz na jakiś ślub?

– Gdzie Zdenko?

– Dzwonił, że zaraz będzie. – Wyjrzała przez okno. – O, o vlku mowa! Właśnie podjechał!

Wyszliśmy przed dom.

– Jezusmaria! – krzyknęła Ivanka. – Czyście powariowali? Jakiś bal przebierańców jest dzisiaj? Co on ma na sobie?

Zdenko, w tandetnym smokingu z błyszczącej tkaniny, szedł, ostrożnie stawiając stopy.

– Buty są trochę za małe – wyjaśnił czerwony na twarzy. – Co tu tak śmierdzi? Harem tu macie, czy co?

– Magda się wyperfumowała... To najdroższy perfem na świecie, ignorancie, z Muscatu – wyjaśniła Ivanka.

– I tak już przez tę muchę oddychać nie mogę! Przebrałaś mnie jak do cyrku!

– Wyglądasz fantastycznie – łągałam – a tę godzinę

wytrzymasz! Zabieraj tort i jedziemy!

Zdenko poczłapał do kuchni po tort z wdziękiem niedźwiedzia w baletkach.

– Co wy dielate? Co to ma znaczyć? – Ivanka kręciła głową.

– Muszę się odegrać na tym dupku! Osobiście. Obiecałam to Altosowi. Nie martw się, zrobimy tylko wrażenie bogatej firmy. Dostawa z butlerem! Butler James!

– Zdenko butlerem? Chyba zwariowałaś! Nie, nie zgadzam się. I ty też nie powinnaś do niego jechać!

– Ale ja muszę! Rozumiesz? Muszę mu pokazać, że dobrze mi idzie, że zarabiam!

– Jak? Z tym przebierańcem?

Zdenko chrząknął znacząco.

– Odpust mi, milovany! A ty lepiej strzel sobie drinka, bo się cała trzęsiesz. Ja to załatwię! Ale najpierw sama zrobię się na bóstwo!

Zdenko odetchnął z ulgą i poluzował muchę. Zdjął buty i boso, ale w smokingu, usiadł przy kuchennym stole.

– Jednak nie rozumiem kobiet... – Westchnął.

– Nikt nie rozumie, nie martw się. Ja sama się nie rozumiem, nawet nie wiem, co bym mu tam powiedziała. Może dobrze, że Ivanka pojedzie. Muszę sobie melisy na nerwy zaparzyć.

– Dla mnie też! – poprosił.

Po godzinie Ivanka wróciła z misji zadowolona.

– Vszechno dobrze! Pocałowałam go w usta i oddałam mu klucz od naszego gniazdka!

– Co?! Od jakiego NASZEGO gniazdka?

– No od budowy! Tak jak chciałaś, razem z przivieskiem. Powiedziałam, że nie będę go już odwiedzać, bo słyszałam, że się żeni, a ja mam sve vlastni zasady. Nie wiem, czy zrozumiał, ale ona tak. Dała mu w twarz i uciekła z płaczem.



– Tak. Naprawdę nie rozumiem kobiet – powtórzył zamyślony Zdenko znad kubka z melisą.

## TURKUSY

Idylla trwała już pięć tygodni.

– Dobraliście się jak w makowym korcu! – powtarzała Ivanka, zadowolona, że wreszcie zrozumiała polski idiom.

Nawet Altos zarzucił poszukiwania drugiego dna Marka, a co więcej, trochę go polubił. Ponadto uznał, że Marek, jako Anglik z urodzenia, zna się na wyścigach chartów. Kiedyś marzył o sportowej karierze dla swojego i nawet teraz, gdy Wasan lekko posiwiiał, wciąż łudził się, że mógłby jeszcze zawodniczo pobiec. Choć raz.

– Przegoniłby te wasze greyhoundy, oj tak! Bo to pies królewski! No nie, Wasan? – Głaskał psa po wystających żebrach.

– Może w drugim życiu. Już jest za stary – odpowiadał mu Marek.

– Tak, w drugim życiu! – zupełnie poważnie zgadzał się Altos.

\* \* \*

Któregoś popołudnia Marek przyjechał do Amapoli. Zwykle o tej porze jeździł po wyspie, spotykał się z rolnikami, odwiedzał winnice. Często dzwonił z drogi, opowiadał, co załatwił, mówił, kiedy będzie. A teraz wyrósł tu przede mną, trochę zmieszany, niespokojny. Minę miał dziwną, jakby coś przede mną ukrywał.

– Stało się coś?

– Tak. Porywam cię na wycieczkę! Wsiadaj!

– Wykluczone! Mamy mnóstwo gości. Nie mogę zostawić interesu, a Ivanka przychodzi dopiero o piątej!

– Możesz. Przywiozłem zastępstwo, Altos już się przebiera. Kasia wytłumaczy mu, co ma robić. Jest bardzo zmotywowany.

– Oszalałeś? Wystraszy nam klientów!  
– O nic się nie martw! Jedziemy! – Pociągnął mnie za rękę.

Gdy odjeżdżaliśmy, zobaczyłam, jak Altos wychodzi na taras przepasany firmowym fartuszkiem. Wyglądał słodko. Pomachałam mu, a on posłał mi całusa. Złapałam go tak, jak zrobił to kochanek mojego adwokata, Angela. Marek przyglądał się rozbawiony.

– Porozumienie dusz?  
– Chyba nie jesteś zazdrosny?  
– Skądże! Za dużo dziś w niego zainwestowałam. –  
Roześmiał się.

Gdy dojechaliśmy do polnej drogi, powiedział:  
– A teraz zamknij oczy i nie podglądaj! Otworzysz, kiedy pozwolę.

Samochód trząsał się na wybojach, chyba jechaliśmy pod górę. Słyszałam dzwonki owieczek, czułam wiatr we włosach i mocne słońce na twarzy. Trwało to wieczność.

– Już mogę? – spytałam.  
– Nie, jeszcze chwila... uwaga... już prawie jesteśmy...  
otwórz oczy!

Byłam w niebie, a właściwie gdzieś między morzem a niebem, na szczycie klifu. Rozejrzałam się. Staliśmy na podwórzu starego opuszczonego domu wśród zdziczałych drzew i resztek kamiennego murku. Miejsce było przepiękne, ale zrujnowane domostwo robiło przygnębiające wrażenie. Kiedyś musiała to być bogata posiadłość.

– Cudny widok, ale współczuję właścicielom. Warte grosze, a remont tego musi kosztować majątek. Pewnie w ogóle się nie opłaci. Szkoda, piękne miejsce!

– Dziękuję! To mój Sant Elm. Opowiadałem ci już o nim. Teraz widzisz, dlaczego nie mam gdzie mieszkać na Majorce. – Pocałował mnie. – Ale nie przywiozłem cię tu, żeby się chwalić tym pałacem. Mam dla ciebie zlecenie,

płatne.

Otworzył bagażnik i wyciągnął sztalugę.

– Mam nadzieję, że zabrałem, co trzeba. Karton, pastele, ołówki.

– I co? Mam narysować ten landszaft? Czy życzy pan sobie portret?

– Nie, narysuj mój dom. A ja się zdrzemnę, Altos to twardy negocjator, wykończył mnie.

Popatrzyłam na tę ruinę i wpadłam w trans. Dom mnie zahipnotyzował. Miał idealne proporcje, szlachetne zdobienia, ślady świetności skryte pod brudem, deskami, którymi zabite były okna, wyłamanymi kratami. Spojrzałam i natychmiast wiedziałam, jaki kiedyś był, jaki może kiedyś będzie. Narysowałam jasnoszare okiennice, beżową fasadę, ciężkie drewniane drzwi z czarnymi okuciami, drzewka w donicach przy wejściu i wysypany kamyczkami dziedziniec. Może jeszcze basen? I mały domek przy basenie... A tu będzie wisiał hamak... tu fotele w ogrodzie. Na tym, pod drzewem, fajnie będzie drzemać albo czytać książkę... Chciałabym mieć taki dom. Ten spokój, ten widok. Bajka. A na tarasie stanie wielki drewniany stół. Koniecznie stary. I Marka oliwki... i wino... i te jego śliżyki... moje śliżyki, ja je przecież piekę. I domek na drzewie... Michaś zawsze chciał taki mieć. Dorysowywałam kolejne detale.

– Taki właśnie powinien być – usłyszałam głos Marka za plecami.

– Nie śpisz?

– Cały czas tu stałem, nawet nie zauważyłaś. To był widok wart każdych pieniędzy. Uwielbiam patrzeć, jak malujesz. A taki tree house to było marzenie mojego dzieciństwa! Ile jestem winien za projekt?

– Projekt? To tylko szkic, fantazja...!

– Więc nazwę ten dom Fantazja Magdaleny!

– Chyba najpierw będziesz musiał sprzedać baaardzo

duzo oliwy.

Uśmiechnął się.

Wieczorem wpadłam sprawdzić, czy Altos dał sobie radę. Dziewczyny obsługiwały gości w ogrodzie, a Ivanka stała za ladą.

– Jest u mnie w sypialni – powiedziała. – Po godzinie osłabł i dostał migreny. Leży z kompresem, zły jak osa, lepiej tam nie idź! A kiedyś si pomyslim, że Marek mu zaplatił za to dwieście euro! – Westchnęła.

\* \* \*

Wakacje dobiegły końca, dzieci Ivanki wróciły z Moraw, a ja czekałam na powrót Michasia. Nie będzie to bułka z masłem. Byłam przygotowana na najgorsze, a Marek na nocowanie w hotelu; jego walizki stały już spakowane w holu.

– Przykro mi, że muszę cię wykwaterować!

– Dam sobie radę. I tak już za długo siedzę ci na głowie.

– Polubiłam to! Będzie jakoś pusto bez ciebie.

I mniej wygodnie, pomyślałam. Kto mi teraz poda śniadanie do łóżka? Naprawi furtkę? Zabierze na wycieczkę?

– Czuję się przy tobie taka... hmm... zaopiekowana. Chyba nigdy tak nie miałam.

Nawet na pewno nie miałam, ale nie będę mu opowiadać o plejadzie łajdaków, egoistów i oszustów, którzy przewinęli się przez moje życie, i to za obopólną zgodą.

– Tak przecież powinno być! Bezpiecznie. – Przytulił mnie.

Dzień przed planowanym przylotem Michasia zadzwonił Robert Blum. Na jego roztargnienie, ignorancję i brak wychowawczych zasad zawsze mogłam liczyć.

– Michaś mówi, że ma jutro wracać na Majorkę, a ja wykupiłem wakacje w Tunezji. Za trzy dni wylot... zgodzisz się? – zapytał nieśmiało, licząc się z moją odmową.

– A co, Żaneta jeszcze nie widziała wielbłądów? – spytałam życzliwie. – Przecież za trzy dni zaczyna się szkoła!

– Ewelina! – poprawił mnie. – Wiedziałem, że się nie zgodzisz.

– Skoro teraz to Ewelina, to oczywiście, że jedź! Z Ewelina Michaś jeszcze na wakacjach nie był!

– Dzięki – powiedział szybko, bym się nie rozmyśliła.

Ucieszyłam się, a przecież strasznie za Michasiem tęskniłam. Jeszcze nigdy nie rozstawaliśmy się na tak długo. Podczas tych niekończących się ośmiu tygodni widzieliśmy się tylko raz, wtedy w Soller. A teraz, zamiast zrobić Robertowi zwyczajową awanturę albo bezsilnie wybuchnąć płaczem, cieszyłam się na te darowane dwa tygodnie mojej bajki dla dorosłych.

Biegałam po Amapoli jak na skrzydłach, nie mogąc doczekać się wieczoru z cudowną wiadomością na deser. Gości było niewiele, obsługiwałam ich sama, Kasia pracowała w kuchni, a Ivanka szykowała na górze pokoje dzieciinne.

Pod wieczór do Amapoli przyjechała Rosa.

– Niespodzianka! – zawołała na mój widok – Zobacz, kogo przyprowadziłam. Pamiętasz Teresę?

Teresa była jeszcze mniejsza i jeszcze bardziej pokurczona, niż gdy widziałam ją po raz ostatni. Tak, już minął rok. Jej twarz niemal całkowicie przysłaniał bladoróżowy kapelusz z napisem Mallorca, jakich pełno na nadmorskich straganach.

– Już się pani lepiej czuje? Ma pani ochotę na tort makowy czy może sernik?

Teresa nie odpowiedziała, a Rosa niemym gestem

wyjaśniła, że nie jest z nią najlepiej. Delikatnie, acz stanowczo zaprowadziła ją do stolika i pomogła usiąść w fotelu.

– Jest aż tak źle? – spytałam cicho, stawiając przed nimi talerzyki z tortem.

Rosa wzruszyła ramionami.

– Mak? Polski mak. Skąd tu mak? – zapytała nagle Teresa.

– Mak z Polski! Importujemy. Lubi pani mak?

– Lubię, bardzo lubię. Makowiec. I podsytkę. – Drżącą ręką nabrała na widelczyk kawałek ciasta.

Spadł, nim zdążyła przenieść go do ust, i wybrudził jej jasną sukienkę. Rosa zmoczyła serwetkę, bez słowa wytarła tłustą plamę i powiedziała tonem przedszkolanki:

– Teresa była niegrzeczna i nie brała lekarstw, to się doigrała!

– Doigrała, igrała – powtórzyła bezmyślnie staruszka.

– Już ktoś mnie pytał o podsytkę. To podobno wileński specjał, pani Tereso.

– Ja jestem z Wilna. Podsytkę się je ze śliżykami – przytaknęła.

No właśnie. Ze śliżykami! Muszę je znów upiec dla Marka.

– Pokażę wam zdjęcia z otwarcia! Mamy nawet wpis od posłańca infantki!

Gdy wróciłam z albumem, Rosa kończyła karmić Teresę tortem. Przytrzymała jej filiżankę, gdy ta głośno siorbała herbatę.

– O, zobaczcie! To jest właśnie samochód infantki!

Teresa zdjęła niemodne przeciwsłoneczne okulary w białych plastikowych oprawkach i podsunęła sobie zdjęcie pod sam nos. Myślałam, że zaraz je wciągnie jak tabakę.

– Fantastic! – Spojrzała na mnie znad albumu zamglonymi oczami starego człowieka. Mimo mocnej zaćmy

przezierał przez nie wyblakły błękit. A właściwie turkus! Ten turkus! Mój turkus! Marka! Przypadek? A może...? Nie, to niemożliwe. Jego matka przecież nie żyje. Mam chyba jakąś obsesję, miliony ludzi mają turkusowe oczy, nawet ja, gdy założę soczewki na moje szarobure tęczówki. Chociaż...

Pobiegłam po Ivankę. Nie chciała wyjść do gości bez makijażu.

– Musisz dokładnie zobaczyć jej oczy! To są oczy Marka! Według mnie identyczne. No, maluj się szybciej, bo sobie pójdą!

Ivanka przyszła po kilku minutach.

– Ne, Marek ma ciemniejsze. Gdzie ja położyłam błyszczczyk?

– Bo na starość oczy blakną. Według mnie są takie same. No i ta podsytka. Może to jego matka?

– Przecież ona je mrtwa. Jakby żyła, toby ci powiedział.

– A może on kłamie? Może się jej wstydzi? Różnie bywa.

– No ja už nevim. Jak chcesz, to jedź już do domu, masz przecież dobrą nowinę dla Marka!

\* \* \*

Tego wieczoru postarał się wyjątkowo. Przygotował moje ulubione risotto z truflami, a stół udekorował martwą naturą z cytrusów i kwiatów.

– Jak rozpusta, to rozpusta! Dostaliśmy dodatkowe dwa tygodnie wolnej miłości, nie zapominaj!

– A ty skąd właściwie wiesz? Pewnie od Altosa... Nie mógłby inaczej okazywać ci wdzięczności? Miała być niespodzianka. Obiecał, że nic nie powie.

– Jesteś zła na mnie czy na niego? Bo dziwnie mi się przyglądasz. Jeśli to było dla ciebie takie ważne, to przepraszam!



Oczywiście, że byłam zła. I to jak! Miałam ku temu już co najmniej dwa powody. Postanowiłam jednak odłożyć ważniejszy z nich na deser. Risotto nie mogło czekać, a awantura i owszem. Dopiero gdy mój żołądek nasycił się truflami, a krew czerwonym winem, uznałam, że wybiła godzina desantu.

– Nie jesteś ze mną szczery, prawda? – zasyczałam jak żmija, patrząc mu prosto w oczy.

– O co ci chodzi? – Zmarszczył brwi.

– Dobrze wiesz! Okłamałeś mnie!

– Ja? Kiedy?

– Nie udawaj! Twoja matka żyje, prawda?

Marek nie odpowiedział. Wstał od stołu i bez słowa podszedł do balustrady. Stał tak nieruchomo, patrząc przed siebie w granatowy horyzont. Dolałam sobie wina i wypiałam do dna. Chyba właśnie zbudziłam demona.

– Marek! Powiedz coś!

– Tak, ona żyje.

– Czyli mnie okłamałeś! Dlaczego? A może ty zawsze kłamiesz?

– Uspokój się! To nie tak!

– Jak nie tak?! Oszukałeś mnie! Pewnie w innych sprawach też! Z kim ja mieszkam? Z oszustem! – W moim głosie zabrzmiała dawno niesłyszana histeryczna nuta.

„Trzeba było obcych ludzi do domu nie zapraszać! Od początku był dziwny!” – darł się demon głosem dr Dziubak-Kalińskiej. Cała się trzęsłam. Jakieś słabe to wino!

Marek podszedł do mnie, złapał mnie za rękę jak małą dziewczynkę i tłumaczył jak debilowi.

– Posłuchaj! To bardzo trudne sprawy. Żyłem ćwierć wieku w przekonaniu, że zginęła, gdy byłem dzieckiem. Nie mówię o tym obcym ludziom, to zbyt osobiste.

– Więc jestem obca?! – Wyrwałam się z jego uścisku.

– Nie, już nie, jesteś moja i bardzo cię kocham, ale

spytałaś o matkę pierwszego dnia.

– To mogłeś nic nie mówić, a nie kłamać! – wrzasnął demon, nim zdążyłam pomyśleć.

Demon długo jeszcze nie mógł się uspokoić, miotał się, bluzgał. Marek słuchał w milczeniu, tylko szczeka dziwnie mu drgała, jakby stał na Power Plate, a nie tu, przede mną, w epicentrum sercowego dramatu. Gdy demon skończył, Marek powiedział trochę smutno, a trochę poważnie:

– Masz rację. Niepotrzebnie opowiedziałem ci tę historię, ale sam w nią wierzyłem przez tyle lat. Czasem nadal w nią wierzę. Jutro wyjadę do Polski na parę dni, a ty sobie przemyślisz, czy chcesz ze mną być. Ja zresztą też. Boję się historycznych kobiet.

Wyjedzie? I co? Koniec? Diabli nadali dziś tę Teresę!

Rano spakował rzeczy i zniknął. Bez scen, bez tłumaczeń, łez i uniesień. Podziękował, pożegnał się i wyszedł. Miło i grzecznie.

– Skoro tak postanowiłeś... – wydusiłam na pożegnanie, siląc się na obojętność.

Ale gdy odjechał, położyłam się w łóżku, które ciągle nim pachniało, i było mi źle. Gniłam tak parę godzin, dręcząc się szeroko pojętą własną głupotą. Koło południa doszłam do wniosku, że zrobiłam aferę o nic, bo co za różnica, czy on uważa swoją matkę za zmarłą, czy żywą, ba, większość moich koleżanek zdecydowanie bardziej wolałaby nieżywą teściową. Jednak potem ustaliłam, że mimo wszystko trochę mnie oszukał. Ale z drugiej strony Teresa też nic o żadnym synu nie wspominała. Kompletnie się w tym pogubiłam i pojechałam ukoić nerwy przy kręceniu maku.

Ivanki nie było, pojechała z Bandalem do Porto Cristo, gdzie ten dobijał targu w sprawie krycia miejscowej klaczy swoim arcydrogim ogierem. Gdy próbowałam jej opowiedzieć przez telefon, co się stało, pisnęła tylko:

– Teraz nie mogę się skupić, tu wszystko jest takie sexy! Porozmawiamy jutro!

Wieczorem wróciłam do domu.

Nie było kolacji na tarasie, seksu pod prysznicem i faceta w łóżku. Była pusta lodówka, sterta naczyń w zlewie i chmara muszek, które zleciały się do zapalonego światła w kuchni. Zrobiłam sobie tosta, nalałam wina i usiadłam przed telewizorem. Żeby chociaż ten do mnie mówił.

## MATKA TERESA OD KŁAMSTW

Señor director już na panią czeka, proszę. – Sekretarka Paco Bandala spojrzała na mnie znad okularów i lekkim ruchem głowy pokazała masywne drzwi.

– ¡Gracias! Już tu kiedyś byłam, robiłam z nim wywiad. – Uśmiechnęłam się.

Paco poderwał się na mój widok i wyczałował w oba policzki. Na tabaczkowym skórzanym fotelu siedział starszy pan i palił cigarillo. Pewnie znajomy policjant – pomyślałam.

– DaRRRLing, mamy trochę informacji. W sumie niewiele, ale najpierw poznaj, pan Leon Cortega y Lloret!

Dygnęłam jak mała dziewczynka przed eleganckim, siwym jak gołębek mężczyzną o szlachetnej twarzy. Wzbudzał respekt.

– Policja ustaliła, że pod wskazanym adresem mieszka pani Teresa Ramirez, lat osiemdziesiąt jeden, zamężna z Pablem Ramirezem Pensem, niepracująca, pobiera zapomogę socjalną – przeczytał z kartki Paco. – Ale señor Cortega, dobRRy przyjaciel mojej rRRodziny – tu skłonił się lekko w jego stronę – opowie ci więcej. Señor Cortega jest adwokatem. Siadaj i słuchaj, skaRRbeczku! Kawy?

– Magdalena, mogę tak do pani mówić? – spytał adwokat. Skinęłam głową. – My tu na Majorce wszyscy się znamy, wiadomo, mała wyspa. Mało się dzieje...

– No tak... – Nie rozumiałam.

– Otóż to była znana historia, z tą Teresą Ramirez. Zresztą, co tu dużo mówić, prowadziłem jej sprawę rozwodową.

– Rozwodową? Paco właśnie powiedział, że jest mężatką.

– Tak, ale najpierw musiała się rozwieść. To był sześćdziesiąty ósmy rok. Zgłosiła się do mnie, bym pomógł

jej w rozwodzie z panem... zaraz pani powiem, mam to gdzieś w papierach. – Sięgnął po teczkę. – Przepraszam, ale chcę zaznaczyć, że wszystko, co powiem, musi zostać w tych czterech ścianach. – Rozejrzał się po pokoju, jakby podkreślając, że chodzi właśnie o te ściany. – Jestem co prawda od dawna na emeryturze, sprawa stara, ale jakaś przyzwoitość obowiązuje.

– Nie bądźmy małostkowi – wtrącił się Paco, który nie lubił słowa przyzwoitość w żadnym kontekście.

– Jeśli o mnie chodzi, może być pan pewien, to dla mnie zbyt osobiste.

– No cóż... – Cortega zaciągnął się cigarillem. – To była jedna z dziwniejszych spraw w mojej karierze, ale zacznijmy od początku. – Usiadł wygodniej w fotelu. – Tess, bo tak się wtedy nazywała Teresa, przyjechała z mężem na Majorkę we wrześniu 1967 roku. Było już trochę po sezonie, ale jak później opowiadała, chcieli odpocząć po nieudanym pobycie w Szkocji. Zamieszkali w Castello Son Vida, najlepszym wtedy hotelu na wyspie, i planowali zostać tam dwa tygodnie. Któregoś wieczoru wybrali się na pokaz flamenco, Tess interesowała się tańcem, podobno miała zostać baletnicą, ale wojna pokrzyżowała jej plany. Akurat występował w mieście słynny Furioso, taki miał pseudonim Pablo Ramirez. Tess zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, choć potem opowiadała, że to tylko flamenco tak zawróciło jej w głowie. W tajemnicy umówiła się z Pablem, czyli z Furiosem, i przepadła na trzy dni. Mąż odchodził od zmysłów, szukała jej policja, zawiadomił nawet konsula. Wtedy właśnie pomyślał, że mogła się utopić, bo widziano ich na statku. Pisano o tym w gazetach! – podkreślił adwokat. – Wróciła dzień przed planowanym powrotem i oznajmiła, że zostaje z Furiosem. A młoda już nie była, miała jakieś czterdzieści pięć lat! Awantura wybuchła na cały hotel, ale ona się uparła, że nie wróci do Anglii. No a

potem ją rozwodziłem, trwało to prawie dwa lata. Mąż postawił warunek, że Tess musi całkiem zniknąć z ich życia; mieli wspólne dziecko.

– Syna? – spytałam.

– Tak, syna. – Spojrzał zaskoczony. – Miał wtedy dwanaście lat, coś koło tego, nie pamiętam. Tess musiała się zrzec wszelkich praw i jeszcze notarialnie to poświadczaliśmy. Żadnych widzeń, listów, nic, nada!

– To straszne – wykrztusiłam. – Ale dlaczego ona się zgodziła?

– Takie były czasy. Miał powiedzieć synowi, że zostawiła go dla idioty? Oszalała na punkcie tego tancerza i na wszystko się zgodziła. A może nigdy nie była dobrą matką? Nie wiem. Poza tym Pablo niewiele zarabiał, a ona była przyzwyczajona do luksusu. Mąż, no wtedy już były mąż, utrzymywał ich w zamian za milczenie. Taka była umowa.

– Ale ona żyje praktycznie w nędzy!

– ¡La rueda de la fortuna!<sup>[19]</sup> Długo się nie cieszyła pieniędzmi. Anthony, jej były mąż, umarł nagle parę lat później. Wszystko zostawił rodzinnej fundacji, która zarządzała majątkiem, póki syn nie skończył trzydziestu pięciu lat. Dziwne to było jak dla mnie, nawet próbowałem jej potem pomóc, no bo jak to tak, żeby i żona w nędzy, i syn w nędzy...

– Była żona – poprawił nie wiedząc czemu Paco.

– A Pablo?

– Zniknął, jak tylko przestały przychodzić pieniądze z Londynu. Teresa była już po pięćdziesiątkę i Pablo poszukał sobie młodszej. Zresztą szybko wyjechał z wyspy, podobno jest gdzieś w Katalonii... jeśli w ogóle jeszcze żyje, nasz stary Furioso. – Ożywił się nagle. – Paco, pamiętasz Pabla?

– Miałem wtedy kilka lat, ale słyszałem! Pożeracz serc, co? – westchnął Bandal.

– A syn? Co się z nim stało? Nie szukał matki? – nie odpuszczałam.

– Żył w przekonaniu, że matka zginęła. Tak spisano w umowie. Po śmierci ojca, zgodnie z jego wolą, syn został wysłany do Polski, do dalszej rodziny. Ojciec nie chciał, żeby został w Anglii sam, tak mówił testament. W każdym razie z tego, co wiem, chłopiec dorastał w Polsce.

– A ona? Po śmierci męża nie chciała odzyskać syna?

– Zwariowała po tym, jak opuścił ją Pablo. Chciała się zabić. Zamknęli ją na wiele lat w Centro de Salud Mental, w domu wariatów. Potem kilka lat mieszkała w klasztorze. Siostrzyczki trochę ją ponaprawiały i teraz mieszka sama. Imalda się nią opiekuje. Wszystko jej się w głowie pomieszało. ¡Una historia horrible! – Skrzywił się.

– Dziękuję! Bardzo mi pan pomógł. – Wstałam.

– I pamiętaj! To nasza tajemnica!

– Tak, oczywiście, nikomu nie powiem. Do widzenia, señor Cortega! Adios, Paco!

Byłam już w drzwiach, gdy Cortega zawołał:

– Magdalena! Ty znasz Marka, prawda?

– Tak...

– Szlachetny człowiek. Bardzo o nią dba, a ona nawet go nie rozpoznaje – powiedział już bardziej do siebie.

– ¡Gracias! – Odwróciłam się i wyszłam.

[19] (hiszp.) – Fortuna kołem się toczy.

## BARCELONA

Spotkanie z adwokatem dało mi jasność sytuacji (pogoniłam ideał) i ciemność przyszłości z Markiem (pograżyłam się na własne życzenie). Inaczej ujmując, totalny dół wykopany wpychaniem nosa w nie swoje sprawy.

– Zawiodłem się na tobie! – powiedział jakoś smutno, gdy zorientował się, że rozmawiałam z Cortegą. A już myślałam, że dzwoni z przeprosinami, oświadczynami czy inną propozycją nie do odrzucenia.

Trochę mu się nie dziwię. Ale tylko trochę, bo mógł mi w końcu sam to wyjaśnić. Tak czy owak, chyba wszystko przepadło. Jako „histeryczna kobieta” zdyskwalifikowałam się sama.

Pograżona w poczuciu własnej małości na nic nie miałam ochoty. Kawiarnia przestała mnie cieszyć, snułam się po niej jak struta, więc Ivanka zabroniła mi wychodzić do gości. Czyżby też się bali takich kobiet? Przesiadywałam w kuchni od rana do nocy i całą uwagę koncentrowałam na paplaninie Kasi i Juanity. Dzięki temu dowiedziałam się, gdzie kupić fantastyczne, ręcznie szyte espadryle (zawsze aktualne) i co najlepiej wysusza pryszcze (dawno nieaktualne). Do domu wracałam późno, odżywiałam się mrożonkami, które dowoził Jesús z BoFrostu, i zasypiałam przed telewizorem. Rano piłam kawę na stojąco, a na śniadanie zjadałam w kawiarni kawałek tortu. I z przerażeniem skonstatowałam, że od tygodnia wkładam co dzień te same klapki! Czyli ciężka depresja.

– Tęsknisz za nim – diagnozowała Ivanka, być może na podstawie kłapek. – Rozmawiacie ze sobą?

– Już nie. Niepotrzebnie poszłam do Bandala. Obraził się śmiertelnie.

– E, jak miluje, to mu przejdzie. Napij se! – I dolewała



mi wina. – Vidim, że tęsknisz!

Codzienna firmowa kuracja winem słabo działała na ducha, za to mocno na wątrobę. Jeszcze dwie sesje i wyląduję u hepatologa. Ivanka obiecała, że coś wymyśli.

– Letime do Barcelony! Załatwiłam tanie bilety na jutro! – zapiszczała parę godzin później.

Nie, nie na wakacje, nie na shopping i nie by zwiedzić La Sagrada Familia czy nawet Museo Erotico. Nie!

– Muzea? Po co?! Pooglądamy sobie prawdziwych facetów! – powiedziała podniecona. – Tu, na Majorce, ich nie ma! Dobrze ci to zrobi! Wieczorem będziemy z powrotem.

\* \* \*

Wylądowałyśmy w Barcelonie w pełnym makijażu i najlepszych butach, a Ivanka dodatkowo w ulubionym gorsecie i lokach. W końcu jechałyśmy na kontynent, do miasta.

– Niech pan jedzie do centrum możliwie najdłuższą drogą, i koniecznie po Diagonal! – powiedziała do taksówkarza.

– Ale to nie po drodze – zdziwił się.

– Nie szkodzi! A może pan powiedzieć, gdzie jest najwięcej biur? Ale muszą być dobre biura! Na przykład adwokackie...

– To zależy... nie można tak jednoznacznie powiedzieć.

– A gdzie eleganccy mężczyźni jedzą lunch?

– Pewnie gdzieś w Eixample, tam gdzie pracują.

– To poprosimy tam! – powiedziałyśmy chórem.

Siedziałyśmy już trzecią godzinę na ruchliwej ulicy Arago i gapiłyśmy się na przechodniów jak dzieci na paradę pluszowych misiów. Mijali nas faceci w garniturach, z komórkami przy uchu, wysocy, przystojni, korporacyjni,

pracujący! Zajęci, zabiegani, poważni. Jacy inni niż w Palmie, Ince czy Soller!

– A tego widziałas? – Ivanka wykręcała głowę o sto osiemdziesiąt stopni a to za jakimś skandynawskim blondynem w lnianym garniturze, a to za rasowym południowcem w najnowszej kolekcji Armaniego.

Ale ja wolałam oglądać kobiety. Brzydkie, o trochę męskiej urodzie, niezgrabne i przysadziste. Z wielkimi głowami i krótkimi nogami. Chropowatym głosem krzyczące do telefonów, przesadnie gestykujące. Ale przy tym eleganckie, zadbane, modne, wielkomiejskie. Nie interesowały mnie ich uczesane u fryzjera włosy ani staranny makijaż, który nie musiał konkurować z pokusą wiecznego opalania. Nie zachwycałam się świetnie skrojonymi sukienkami, które nadawały im światowego szyku, ani tym bardziej biurowymi kostiumami czy grzecznymi białymi bluzkami. Nawet drogie, markowe torby nie wzbudzały szczególnych emocji. Zazdrościłam im... pończoch. Cieniutkich, ledwie widocznych, a jednocześnie kobiecych i profesjonalnych. Bo gdzie, jak nie do pracy, wkładały je w ciągu dnia? Oczywiście nie nosiły ich do sandałów i kłapek ani do piętnastocentymetrowych szpilek, tylko do poprawnych czółenek, których kiedyś tak bardzo nienawidziłam. A teraz? Wiele bym dała, żeby choć na chwilę zamienić się z tymi kobietami, naciągnąć jedwabne pończochy na opalone łydki, gładko wsunąć stopy w buty na półsłupku i pomaszerować w nich do pracy. Wjechać windą do jasnego biura, usiąść za własnym biurkiem. A w przerwie pobiec w nich na lunch do modnej knajpy w centrum miasta i poprosić o rachunek na firmę. A ja? Będę do końca życia piec torty w kłapkach na gołych nogach? Sprzątać taras w trampkach? Stać za ladą w sandałach, na dodatek już zupełnie płaskich!? Po to studiowałam architekturę? Jak tylko stanę na nogi, zrobię wszystko,

żeby te nogi jak najszybciej nosiły pończochy!

– Tęsknisz za Markiem, prawda? – Ivanka wyrwała mnie z zadumy swym sztandarowym pytaniem.

Popatrzyłam na nią zdziwiona.

– Właściwie to zastanawiałam się, czy w pobliżu jest jakiś fajny sklep z butami. Chyba nie wrócimy z pustymi rękami! A ty co się tak za facetami oglądasz? Paco ci nie wystarcza?

– Do seksu je dost! Ale nie o to chodzi... – Posmutniała.

– A o co, jak nie właśnie o to?

– Chtela bych prawdziwy związek. Dla niego jestem tylko sexy Ivanka. On nigdzie ze mną nie chodzi, nie znam jego rodziny. Paco Correat de Bandal nigdy nie ożeni się z Ivaną Purková, rozwódką z dwiema dietmi. On nawet nie chce słyszeć o moich synach. Udajemy, że ich w ogóle nie ma...

– Przecież znacie się dopiero miesiąc, może trochę dłużej. Jeszcze przyjdzie czas – kłamałam. Typy pokroju Bandala nie żenią się z nikim i nigdy, a tym bardziej nie marzą o pasierbach. – Zamówmy jeszcze po mojito!

– Ale podwójne! – dodała Ivanka. Uwielbiałam ją za to.  
– Wypijemy szybko, a potem coś zjemy. Už je czas!

Piękny kelner w długim, czarnym przypasanym z przodu fartuchu przyniósł nam kartę. Zerkałam na jego naprężone pod białym podkoszulkiem mięśnie i nie mogłam się skupić na menu.

– Polecam steki kobe z kartofelkami La Bonotte. Do tego najlepsza będzie Rioja Gran Reserva... Po kieliszku czy całą butelkę?

– Butelkę! – powiedziałyśmy jednocześnie.

Oddałam mu kartę, nie było sensu dalej czytać, wierzyłam piękniśowi, że polecił nam to, co najlepsze.

Jedzenie było pyszne, choć Ivanka poskarżyła się kelnerowi, że ziemniaki ciut za słone.

– Señora, to są najlepsze kartofle świata. Francuskie! Muszą tak smakować, bo nawożone są tylko glonami. Rosną wyłącznie na wyspie Noirmoutier – wyjaśnił z trochę zbyt pobłażliwym uśmiechem. Poczułam się jak prowincjuszka.

Przy deserze Ivanka wróciła do tematu.

– Koneckoncu masz więcej szczęścia. Marek nie był z tobą tylko dla seksu!

– Może chciał za darmo... pomieszkać?

– Co ty mówisz? – oburzyła się szczerze. – On cię miluje! I odwrotnie niż mój Paco, chce się z tobą ożenić.

– Nie sądzę. Boski ten krem Catala!

– Nie rozmawiacie ze sobą?

– Zadzwoił wczoraj wieczorem... i nic. On ciągle swoje, że niby nie mógł mi wtedy powiedzieć. Poza tym nadwyrężyłam jego zaufanie, no ale przecież on mnie okłamał. W kółko to samo.

– Aleś ty uparta! Czemu to takie ważne? Co za różnica? Ja ci też o rodzicach nie opowiadałam, a może mam tatinka a maminku...

– A właśnie, à propos opowiadania... ciekawe, kto mu doniósł o moim spotkaniu z adwokatem? Nawet ty o tym nie wiedziałaś, prawda?

Ivanka spuściła wzrok.

– Przepraszam! Wybaczysz mi? Paco opowiedział mi tę całą historię, a ja nie wytrzymałam. Marek do mnie prawie codziennie dzwoni. Podobno kilka lat temu, jak tylko się dowiedział, że matka żyje, przyjechał na Majorkę. Nie poznała go, powiedziała, że nie miała nigdy syna, i wtedy się załamał. Ale dba o nią. Zatrudnił dla niej opiekunkę.

– Wiem, Cortega mi mówił. Tylko dziwne, że taki dobry synek, a do matki zapomniał się przyznać!

– Magda! Jak możesz? Ja ci to mówię, bo to je super chlap! I poważny! Daj już spokój! Nudna jesteś! O co wy się

w ogóle klóćcie? – uniosła się.

– Pewnie masz rację. Już i tak wszystko schrzaniłam. Irreparable!

– Nechcete spróbować? Może się jeszcze poskleja? Koneckoncu się kochacie...

– A on chce? A zresztą kiedy? Za dwa dni wraca Michaś. Jak ty sobie to wyobrażasz? Będziemy sklejać przy dziecku? Zapomnij!

– W sobotę Michaś wraca? O której? Tym popołudniowym letadlem? – Ivanka przerwała mi w pół zdania.

– Letadlem? A tak, samolotem koło czwartej, to już ostatni czarter z Polski. Przylatuje po turystów. Michaś nawet się ucieszył, bo będzie pewnie jedynym podróżnym. Cały samolot jego!

– Poczekaj chwilę, potrzebuję zlepszyć make-up. Zaraz wracam! A ty poproś o rachunek, pójdziemy jeszcze po buty!

Gdy zobaczyłam wydrukowany na śnieżnobiałym papierze rachunek, zrozumiałam niezwykłość ziemniaków La Bonotte i japońskiej wołowiny. Oraz że zjadłam właśnie dwie pary najlepszych szpilek.

– Nic się nie martw! – zawołała Ivanka nie wiadomo czemu nagle bardzo podniecona. – Wszystko będzie w porządku! Jeszcze sobie kupisz duuuużo butów!

\* \* \*

Butelka drogiej Riojy i kilka porcji mojito zmetabolizowały się w samolocie do stanu wczesnego kaca. Chciałam już tylko do domu, ale Ivanka upierała się, bym wpadła na chwilę do Amapoli.

– O tej godzinie? Przecież już mamy zamknięte!

– Lepiej sprawdźmy, jak sobie holki same dały radę.

Pierwszy raz je zostawiłyśmy na cały dzień.

Po drodze zrobiła się strasznie nerwowa. Cały czas wysyłała SMS-y, wierciła się na siedzeniu. Gdy podjechałyśmy pod jej dom, który, choć dopiero dochodziła dziesiąta, tonął w ciemnościach, Ivanka wyskoczyła z auta jak oparzona i krzyknęła:

– Zdenko! Zapalaj!

Nad wejściem do kawiarni rozblysnął fioletowy napis „Amapola”. Neon był dokładnie taki, jak sobie wymarzyłam, stylizowany na lata sześćdziesiąte.

Zza neonu machał uśmiechnięty Altos.

– Piękny! Ale zrobiliście mi niespodziankę! Iva, chyba rozbiłaś bank! Altoś się dorzucił?

– Wszystkiego tu dziś dopilnowałem! Beze mnie Zdenko krzywo by powiesił – pochwalił się Altos. – I dałem kurierowi napiwek. Pięć euro!

– To prezent od Marka! – powiedziała Ivanka. – I te bilety do Barcelony też. Cieszysz się? Neplacz, hloupa!

Nie wiedziała, że płaczę, bo nie chcę do końca życia mleć maku. Chcę nosić pończochy i wjeżdżać windą do biura! Wszystko jedno gdzie!

## BEZ POŃCZOCH

Samolot z Warszawy przyleciał z godzinnym opóźnieniem.

Zawołałam kelnerkę i zapłaciłam za wodę i trzy kwadransy wertowania prasy w lotniskowej kawiarni. Oddałam wymięte, wielokrotnie przeczytane gazety i po raz setny tego dnia sprawdziłam wiadomości. Nic. Marek milczał.

Podeszłam do metalowej barierki, która oddzielała oczekujących od podróżnych. Wypatrywałam Michasia, starałam się wyłowić go z tłumu, który co sekundę wylewał się zza szklanych drzwi. Gdzieś z boku mignęła mi znajoma sylwetka. Nie, to nie mógł być Marek. Pewnie fatamorgana historycznej kobiety. Halucynacje z odstawienia, jakbym w każdym chwaście konopie widziała.

– Mama, tu jestem!

Odwróciłam się. Rozpromieniony Michaś rzucił mi się na szyję.

– Ale miałem fajny lot! Sami lecieliśmy, tylko załoga i jakiś pan! Bo ten samolot zabiera ostatnich ludzi z Majorki, wiesz? I byłem nawet w kokpicie! Ten pan znał kapitana! – krzyczał podekscytowany. – Dał mi nawet swój telefon!

– Michasiu! – Przytuliłam go. – Miałeś nie rozmawiać z obcymi! Kto ci dał? Kapitan?

– Nie, ten pan, ale chyba go zgubiłem.

Boże święty, może to jakiś zboczeniec.

– Michaś!

– Co? Już nie jestem dzieckiem, wiem, co robię! Pojedziemy prosto do kawiarni? Muszę zobaczyć naszą fabrykę tortów! Powiedziałem babci, że będę po szkole tam pracował, ale chcę stać przy kasie i liczyć pieniądze, dobrze?

– Tak, mówiła mi – powiedziałam.

Nie dodałam, że przy okazji wykrzyczała, że kawiarnia to skandal, że nie mam ambicji, nie po to studiowałam, a z dziecka zrobię kupca i Żyda.

\* \* \*

Michaś był zachwycony Amapolą. Najpierw musiał zobaczyć naszą kasę i prawdziwe pieniądze. Trochę się rozczarował, bo podobno widział już bogatsze, ale terminal do płacenia kartą bardzo mu się spodobał.

– To ile dziennie zarabiacie? – chciał wiedzieć. – Hmm... Razy trzydzieści... Strasznie dużo! Wreszcie nie będziesz dla mnie taka skąpa! I może nie wyłączą ci już telefonu!

– Ty radszy bież se pobawit z moimi dietmi! – zrugowała go Ivanka.

– Dzięki, kochana! – Posłałam jej całusa.

– ¡De nada!<sup>[20]</sup> – uśmiechnęła się. – Dziś zasługujesz na święty spokój!

– Dlaczego? Przecież dopiero przyjechał!

– Chłopaki, lecimy robić desant! – krzyknął Michaś i cała banda z dzikim wrzaskiem zniknęła w ogrodzie.

Do zmierzchu biegali po kawiarni, zaglądali w każdy zakamarek, siadali po kolei na wszystkich krzesłach, bujali się na huśtawce, myszkowali po kuchni, objadali się tortem i ciastkami. W końcu zmęczeni i umorusani padli na kanapę. Już dawno nie widziałam go w takiej euforii. Chyba był naprawdę szczęśliwy. Dla tego widoku mogłabym jednak codziennie mleć ten mak. I nie nosić pończoch. Nagle zapalałam do Amapoli gorącą miłością.

– Zrobię im kolację – powiedziała Ivanka. – Michaś, chcesz u nas spać? Pożyczyłam dwa superfilmy.

Popatrzyłam na nią zdziwiona.

– Taaak! Fajnie, filmy! – podchwycił. – Mama, mogę tu



zostać?

– Nie stęskniłeś się za swoim pokojem?

Wzruszył ramionami.

– Przywiozę ci go jutro w południe. Nie martw się. No, jedź już do domu! – wtrąciła Ivanka.

– Mnie nie zaprosisz na kolację? W sumie też umieram z głodu... – Wcale nie miałam ochoty ich zostawiać. I mojej Amapoli.

– Wybacz, ale nie. Jutro ci to wytłumaczę.

Wracałam do domu smutna. Poczułam się samotna i niechciana. Przez cały świat, czyli przez rodzone dziecko i Ivankę. O Marku nie mówiąc. Zadzwoiłam do Rosy, mogłabym po drodze wpaść do niej na winko. Albo choćby na wodę lodową. Wyjaśniłaby mi, że dzieci są tylko gośćmi w naszym życiu i nie można ich na siłę zatrzymać. Są wolne i samodzielne. Bardzo chciałam to teraz usłyszeć, ale nie odebrała telefonu.

Więc Altos. Zgłosił się jakiś zaspany i kłamał, że go obudziłam.

– O ósmej wieczorem?

– Tak, śpię. I nie mogę się z tobą zobaczyć – uprzedził moje pytanie.

– Co wy dziś wszyscy do mnie macie? A raczej przeciwko mnie?

– Nie wiem, Prinzessin, jedź do domu i przyjmij swój los taki, jakim jest.

Oszalał!

\* \* \*

Gdy podjechałam pod dom, było już zupełnie ciemno. Brama znowu się zaciągała, więc zostawiłam samochód na ulicy. Wyciągnęłam z auta wielką torbę Michasia i przetargałam ją przez podwórko. Małe kółka głośno

skrzypiały na asfalcie, ale nawet pies sąsiadów nie zwrócił na to uwagi. Jednym kopnięciem otworzyłam furtkę i wsunęłam klucz do zamka wejściowych drzwi, ale nim go przekreśliłam, drzwi otworzyły się same. Weszłam do przedpokoju i poczułam się nieswojo.

– ¡Hola! Ktoś tu jest? – Po omacku pokonałam kilka stopni do salonu. Dopiero teraz zobaczyłam, że taras jest oświetlony choinkowymi lampkami, które zostały tam od świąt, a na ławie ktoś leży. Jeśli to złodziej, to jakiś wariat. Widziałam tylko jego rękę, która opierała się na butelce stojącej na ziemi. Cofnęłam się.

– Nie bój się! To ja! – usłyszałam znajomy głos.

– Marek! Aleś mnie przestraszył! Co ty tu robisz? Czemuś mnie nie uprzedził? – Nie lubię takich niespodzianek. Nawet nie pamiętam, w jakim stanie są moje łydki!

– Nie mogłem dłużej czekać! Straciliśmy tyle czasu, zupełnie bez sensu. Chodź tu! – Przyciągnął mnie do siebie, a ja od razu naładowałam się do odczuwalnych dwudziestu tysięcy woltów.

Poczułam znajome ciało, jego zapach, ciepły oddech na szyi. Natychmiast zapomniałam o wszystkich nierozwiązanych konfliktach i niewydepilowanych łydkach. Każdy problem przegrałby w konkurencji z tymi turkusowymi diodami i męskim całokształtem, którego bardzo mi ostatnio brakowało. Przechodziłam właśnie ze stanu elektryzacji do nirwany, gdy usłyszałam:

– Wyjedź ze mną!

– Taaak... – zamruczałam gotowa na wszystko – a dokąd?

– Do Polski, do Warszawy... Przyjechałem po ciebie!

– Zwariowałaś?

– Chyba nie chcesz piec tortów do końca życia? Marnujesz tu czas. Powinnaś tworzyć, malować... Zabieraj

Michasia i przyjeżdżaj!

Natychmiast oprzytomniałam.

– Uderzasz w mój najczulszy punkt. To nie fair! – odsunęłam go.

– Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa! I chcę być z tobą.

– To zamieszkaj tu...

– Nie mogę. Jeszcze nie. Jutro ci to wytłumaczę...

– Nie! Powiedz mi teraz! Co cię w Polsce trzyma?

Hurtownia?

– Cortega pewnie ci mówił, że dostałem spadek. Kupiłem kilka firm, zatrudniam ludzi. Oliwa to tylko pretekst, żeby odwiedzać matkę, sama wiesz. Kiedyś pewnie wyremontuję Sant Elm...

– Kiedyś?

– I wtedy może tam zamieszkać.

– Może?

– Tak. Z tobą.

\* \* \*

Obudziłam się późno, dochodziła dziesiąta. Marka już nie było. Zebrałam pościel z łóżka i wyrzuciłam ją na balkon. Zalało mnie jasne wrześnie światło. Wystawiłam twarz do słońca i stałam tak przez chwilę, rozkoszując się ciepłem.

Spod poduszki wypadła koperta. Niebieska, taka sama jak wtedy, w korcu maku.

Rozerwałam ją.

W środku był kartka i trzy pośpiesznie napisane czarnym flamastrem słowa.

„Czekam w Warszawie. M”.

Odłożyłam kartkę na poduszkę i patrzyłam, jak wiatr zdmuchuje ją z balkonu. Szybowała nad piniami, w dół skarpy, w kierunku zatoki, przez ulicę, nad plażą, aż

zupełnie zniknęła mi z oczu.

Powietrze pachniało morzem, solą i rozmarynem, świeże i czyste. Oddychałam nim zachłannie i głęboko. Czułam się lekka i wolna. Popatrzyłam na swoje bose stopy, opalone i gładkie od słonej wilgoci. Uwolnione od obcasów i pończoch. Szczęśliwe.

W dali migotało spokojne, srebrnoturkusowe morze. Gdzieś na horyzoncie zlewało się z błękitem nieba. Kochałam ten widok, uspokajał mnie. Uśmiechnęłam się do niego. Był już taki mój. Morze i niebo. *Mar y ciel.*

Lubię tak zaczynać dzień, kolejny dzień na mojej wyspie.

[20] (hiszp.) – Nie ma za co!